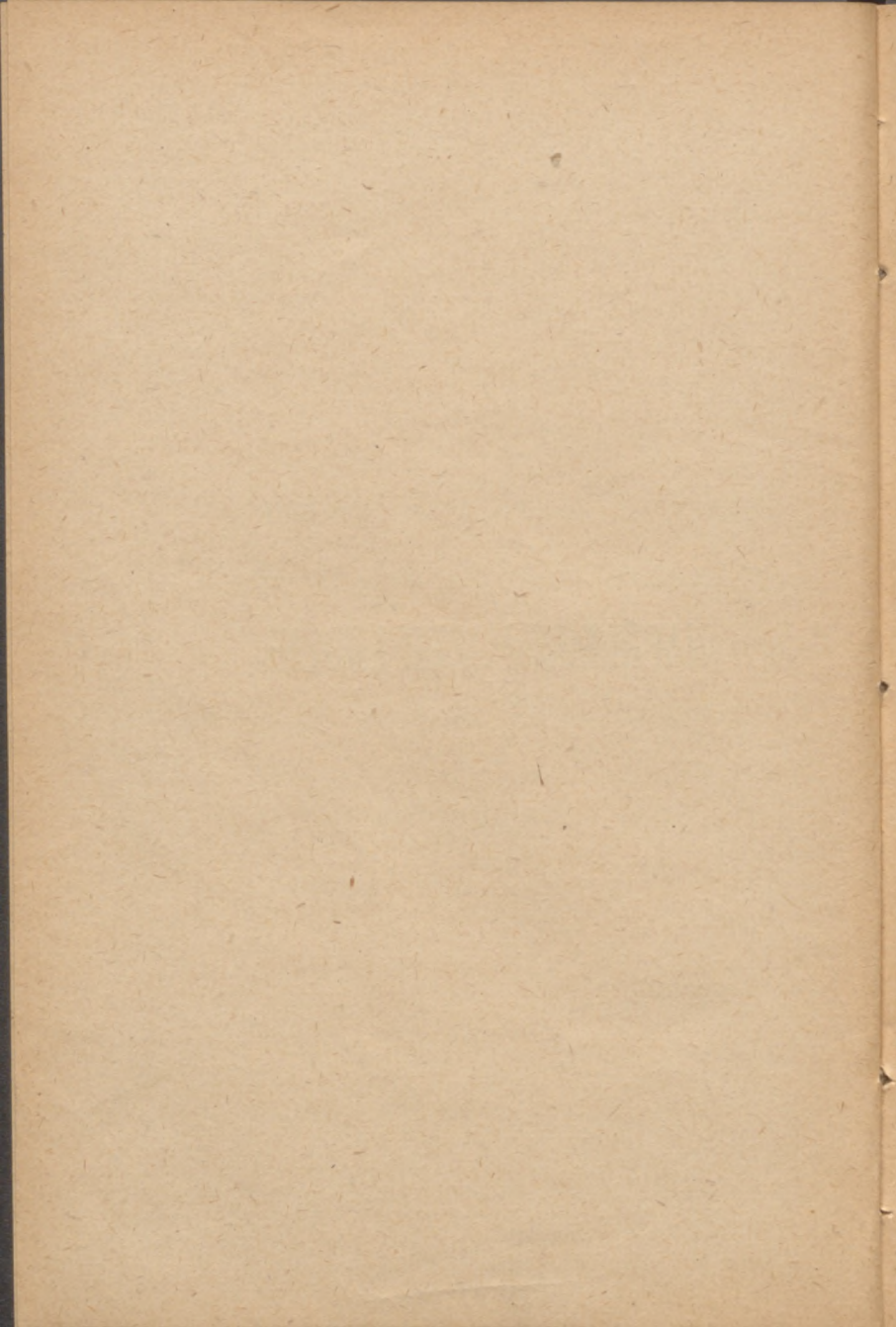


NAPOLEON I JEGO LUDZIE.



BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

Aleksander L. Kielland.



Napoleon

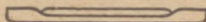
i jego ludzie

przekład

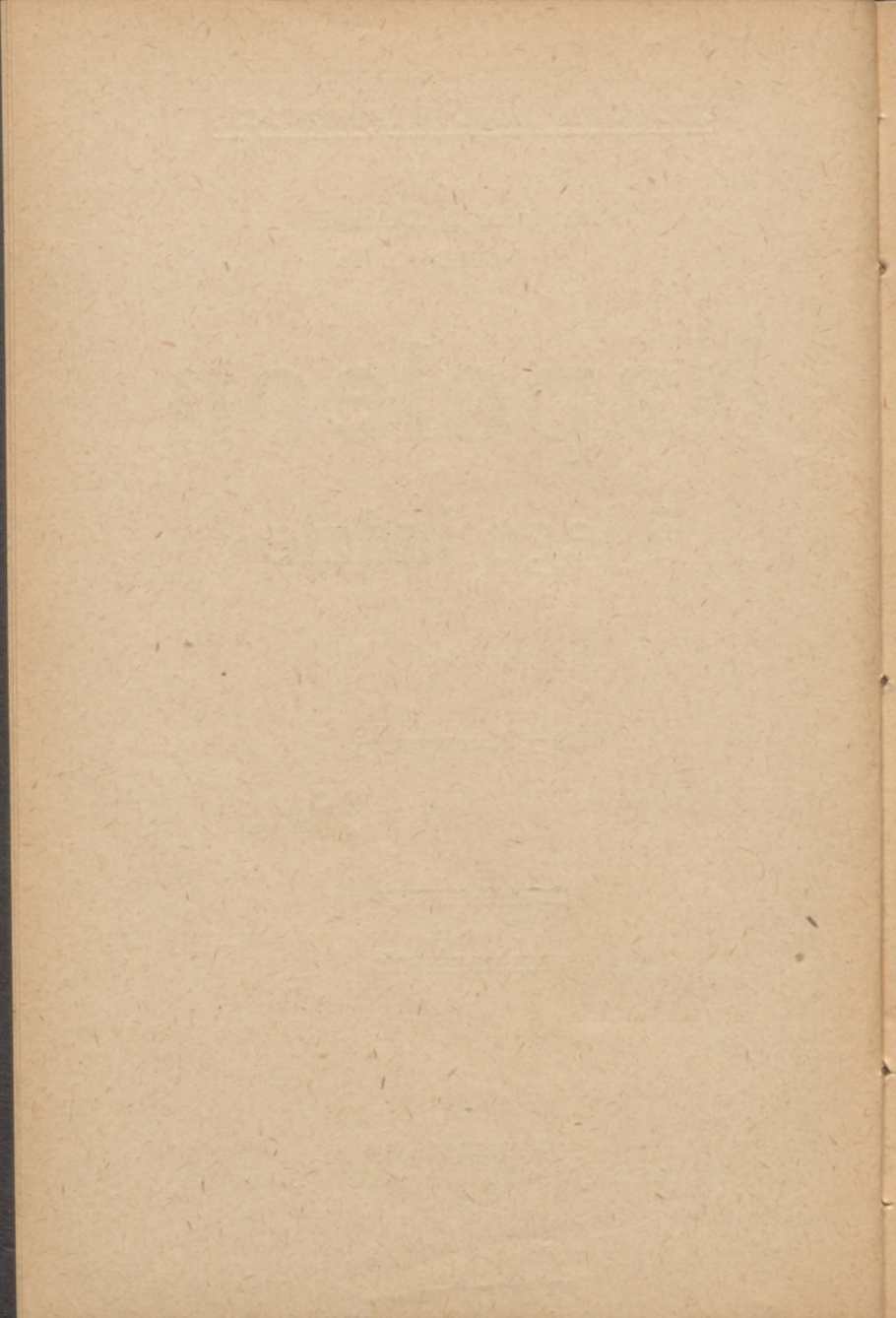
Maryi Kreczowskiej.



TOM II.



WARSZAWA
DRUKARNIA ED. NICZ i S-ka, NOWY-SWIAT 70.
1908



VI.

Już w roku 1808, gdy sojusz między Rosją a Francją nie był jeszcze zawarty, marszałek Bernadotte rozłożył się z hiszpańskimi wojskami w Jutlandyi, by, zagrażając Szwecyi z tej strony, ułatwić Rosyi podbicie Finlandyi. W rzeczywistości jednak miał marszałek wyraźny rozkaz od cesarza, by niczego przeciw Szwecyi nie przedsięwziął. Tę część rozkazu wszakże zataił, a później chwalił się tą bezczynnością, jak gdyby Szwecya była mu za nią zobowiązana do wdzięczności.

Ale gdy w r. 1811 stało się jawnem, że lada chwila musi wybuchnąć wojna między Napoleonem a Aleksandrem, Bernadotte starał się przekonać francuskiego ambasadora w Sztokholmie, że wkroczenie szwedzkich wojsk do Finlandyi byłoby wielką pomocą dla Napoleona. Za tę pomoc następcę tronu szwedzkiego żądał Norwegii.

Ba, miał nawet bezczelność—powiada Thiers—grozić Francuzom, że będzie im szkodził, jeśli mu nie będą pomocni przy podbiciu Norwegii—bezczelność tembardziej oburzająca, że sam do niedawna nosił francuski mundur.

Bernadotte nie mógł zapomnieć, że Napoleon nie poparł jego planu co do Norwegii. Zawdzięcza-

jąc wybór na następcę tronu przeważnie sławie francuskiej armii i wcale nie zyskując na bliższem poznaniu — rychło bowiem przekonano się, że jest człowiekiem próżnym, chępliwym, rzucającym pustemi obietnicami, zaś wojskowy jego talent wcale nie był tak wielki, jak on sobie pochlebiał — marzył o tem, by jakimś podbojem zyskać miłość Szwecyi.

W listopadzie 1811 r. miał on rozmowę z panem Alquier, francuskim ambasadorem w Sztokholmie.

Po kilku wymijających objaśnieniach co do pewnych przywilejów, jakich kupcy angielscy zażywali już w Göteborg, Bernadotte z bezwstydnem zachwalstwem zapytał, dlaczego Francya tak źle wynagradza jego usługi?

Ambasador zauważył, że tron szwedzki jest chyba nagrodą wystarczającą.

— Gdyby — powiada Thiers — można było w owej chwili przewidzieć przyszłość, byłoby się głupią tę pychę traktowało z pobłażliwością. Łatwo jednak zrozumieć rozgoryczenie francuskiego ambasadora, gdyż są rzeczy, których nie można znieść nawet w obliczu śmierci.

Nowo kreowany dziedzic korony okazywał wogóle w całej tej rozmowie dziwną chępliwosć. Wyliczał wszystkie bitwy, w których brał udział, twierdząc, co zresztą zwykł był czynić w poufnych kółkach, że on wygrał bitwę pod Austerlitz, gdzie w rzeczywistości ani jednego nie dał strzału; tak samo bitwę pod Friedlandem, gdzie nie był nawet obecnym; a także bitwę pod Wagram, gdzie wraz ze swą „granitową kolumną“ przez dwa dni bitwy ustawicznie uciekał.

Poczem się zerwał, oświadczając, że doskonale wie, jak nieprzychylny nastrój panuje względem niego w Paryżu. Ale teraz rządzi on narodem ol-

brzymów, który go ubóstwia, a przed którym nie ostoi się żaden wróg, gdy on da hasło do boju.

— Tego za wiele!—krzyknął ambasador. Ale Bernadotte w gorączkowym podnieceniu przywołał swego synka Oskara, wołając:

— Nieprawdaz? Pójdiesz za przykładem ojca i śmierć przeniesiesz nad hańbę?

Pan Alquier całą tę rozmowę powtórzył cesarzowi, który się tylko uśmiechnął i zerwał ze Szwecyą wszelkie stosunki.

W Szwecyi fakt ten wywołał wielkie zaniepokojenie i zarówno sędziwy król, jak następca tronu poczęli czynić próby zbliżenia. Równocześnie jednak nawiązał Bernadotte na własną rękę potajemne intrygi z Rosyą i Anglią, podając na usprawiedliwienie swego odstępstwa i zdrady wobec swego dobroczyńcy, że Napoleon, niestety, całe życie dręczy go swą zazdrością.

A co prawda, to pierwszym powodem nienawiści Bernadotte'a była zazdrość, którą żywił do Napoleona, aż do jego upadku.

Z natury zawistny, śmiał nim być nawet względem człowieka, stojącego zbyt wysoko, by być przedmiotem jego zazdrości, bo generał Bernadotte żadną miarą nie mógł być porównywany z generałem Bonaparte.

Można jeszcze od biedy zrozumieć zazdrość Bernadotte'a względem Moreau'a, Masseny, Lannesa lub Davoust'a, jakkolwiek każdy z nich tysiącrotnie go przewyższał. Aby jednak człowiek o podobnie małodusznym charakterze i nieznaczących zdolnościach umysłowych mógł być zazdrosnym z powodu Napoleona, do tego potrzeba było zazdrości, graniczącej z obłądem.

To też mnie, który to wszystko o Bernadocie czytałem, dziwnem wydać się musiało, gdy w r. 1896 usłyszałem z ust króla Oskara II takie powie-

dzenie: „Jedynym człowiekiem, który mógł zastąpić Napoleona, był mój dziadek.“

Król powiedział to tak spokojnie i stanowczo, że można było poznać, że w ten sposób uczono go historii.

Dn. 20 maja w r. 1812 francuska para cesarska przybyła do Drezna.

Napoleon obawiał się, że wobec naprężonego stosunku między dworem rosyjskim a francuskim, może się hrabiemu Narbonne nie udać załatwienie jego misji osobiście z cesarzem. A że Napoleon największą do tego przywiązywał wagę, więc raz jeszcze przez swego ambasadora w Petersburgu, hrabiego Lauristona, starał się cel ten osiągnąć.

Udzielił więc Maretowi, księciu Bassano polecenie: „Pisz pan do Lauristona, by się udał do Wilna, (gdzie cesarz Aleksander bawił przy armii) i zawiadom go, że w chęci położenia kresu tej wojnie papierowej, polecam mu, by, łamiąc wszelkie szranki, dostał się do swego cesarza i z własnych jego ust usłyszał słowo, mogące utorować drogę do porozumienia między mną a nim.“

Lauriston po otrzymaniu tego listu, natychmiast poprosił o zwrot swych paszportów, by mógł opuścić stolicę i wyjechać do Wilna, lecz mu ich nie wydano.

W Dreźnie tymczasem zgromadził się u starego króla saskiego, dokoła francuskiej pary cesarskiej, dwór, jakiego Europa nigdy nie widziała i widzieć już nie będzie.

Cesarz i cesarzowa Austrii przybyli z własnego popędu, by przywitać córkę i zięcia i życzyć mu szczęścia do tej wielkiej wyprawy. Przybył także król pruski. Zaofiarował Napoleonowi własnego syna na adjutanta, czego ten przez delikatność nie przyjął. Wszyscy królowie i panujący książęta z całych Niemiec stawili się z najgorętszymi życzeniami

i zapewnieniem wierności w walce z cesarzem, który teraz wydawał się wrogiem ich wszystkich!

Podczas pobytu w Dreźnie, hrabia Ségur starszy powiedział swój sławny dowcip. Zdarzyło mu się, że spóźnił się nieco na jedno z posiedzeń. Cesarz obrzucił go surowem spojrzeniem, lecz zręczny mistrz ceremonii rzekł:

—Najjaśniejszy pan wybaczy, że się trochę spóźniłem, lecz w przedpokojach Jego Cesarskiej Mości tak się tłoczą królowie, że nie mogłem się przedostać.

Wszyscy ci monarchowie mieli wystawić korpusy wojsk, by wzięły udział w wyprawie. Cesarz upodobał sobie w Paryżu księcia Szwarzenberga i zażądał, by on dowodził wojskiem austriackiem, które od południowego zachodu miało zająć rosyjską granicę i służyć wielkiej armii za pomoc i osłonę.

Wśród wszystkich tych obcych sprzymierzeńców nie było chyba ani jednego, któryby w głębi duszy nie życzył Napoleonowi niepowodzenia, aby mieć odwagę odpadnięcia od niego i cofnięcia mu swej pomocy. W całych Niemczech wrzało, ruch narodowy począł zacierać nienaturalne granice między drobnymi państewkami krzywdzonego narodu. Nic dziwnego, że wszyscy łaknęli zemsty i byli gotowi do zrzucenia straszego ciężaru.

Po wsze czasy natomiast wywoływać musi zdumienie i urągać wszelkiemu pojęciu honornu zachowanie Bernadotte'a, który z początkiem roku 1812 przerozmaite nawiązał intrygi.

Angielskiej partyi w Szwecyi oświadczył, że nie chce być niewolnikiem Napoleona, a chodzi mu przede wszystkim o handel i korzyści własnego kraju.

Własnej partyi, która go wybrała jako generała armii Napoleona—mówił patetycznie o honorze szwedzkiej armii.

A sprzymierzonych książąt zapewniał, że gotów jest na pierwsze hasło zrzucić jarzmo Francyi. Może wylądować z 30,000, nawet 50,000 Szwedów i zniszczy Francuzów w Polsce, jeśli mu tylko zapewnią Norwegię...

Obce mocarstwa nie mogły wierzyć w taki ogrom fałszu, który przedewszystkiem zraził i odepchnął prawego króla pruskiego.

Bernadotte posunął się nawet tak daleko, że dla ulżenia Rosyi zaofiarował się, iż doprowadzi do skutku pokój z Turcyą; wszędzie też występował jako najzawziętszy wróg Francyi.

Dn. 5 kwietnia Szwecya zawarła przymierze z Rosyą, która przyrzekła jej pomoc przy podbiciu Norwegii. Umowa ta miała pozostać w tajemnicy.

Oficyalnie miał gabinet szwedzki oświadczyć, że nie sprzymierzył się z Rosyą. Neutralność ta miała w stosownej chwili przeobrazić się w wojnę przeciw Francyi. W taki sposób przygotowano wiarołomstwo, należące do najohydniejszych faktów, jakie zna historia.

Tymczasem następczyni tronu Dezyderya, która ciągle jeszcze bawiła w Paryżu, a zajęta innemi sprawami nie dała się skłonić do przybycia do Sztokholmu, w przykry sposób odczuła naprężony stosunek między Szwecyą a Francyą i starała się spowodować ponowne zbliżenie.

Temu należy przypisać, że Bernadotte wysłał pana Signeul z dwoma dokumentami do Mareta, księcia Bassano, bawiącego z cesarzem w Dreźnie. Jeden z tych dokumentów, oficjalny, zawiadamiał, że Szwecya jest co prawda w danej chwili głównie po stronie Rosyi; nadto Bernadotte ponownie uczynił śmieszną propozycję pośredniczenia między Aleksandrem a Napoleonem.

Drugi tajny dokument zawierał wyznanie, że Bernadotte nie ma żadnej korzyści z Finlandyi; je-

śli mu jednak zostanie przyznana Norwegia, gotów jest natychmiast sprzymierzyć się z Francją.

Napoleon, znający doskonale jego potajemny układ z Rosją, zawarty 5 kwietnia zawołał: „Nikczemnik! nie chcę odtąd słyszeć o tym człowieku!

La grande armée — jaką była w najwyższej swej świetności, gdy wiosną 1812 r. z głównych swych kwater wyruszała na Wschód, obejmowała następujące siły:

Pierwszy korpus pod marszałkiem Davoustem składał się z sześciu dywizyi, między którymi były znakomite wojska Moranda, Frianda i Gudina. Reszta korpusu obejmowała mieszane regimenty badeńskie, holandzkie i polskie. Pod komendą Davoustu pozostawał też pruski generał Grawert ze swym oddziałem liczącym 17,000 żołnierzy. Korpus Davousty liczył razem 114,000 znakomitego wojska. Oprócz trzech generałów: Gudina, Moranda i Frianta, miał jeszcze Compansa i Pajola i pięknego generała Fryderyka.

Drugim korpusem dowodził marszałek Oudinot. Miał przy sobie generałów Maisona i Merle'a, dywizye Legrandy i Verdiersa — starych żołnierzy Lannesy i Masseny — ogółem wraz z kawalerją pod generałem Dumerc 40,000 ludzi.

Trzecim korpusem dowodził marszałek Ney. Dwie dywizye starych żołnierzy, wyćwiczonych pod księciem Montebello; prócz tego byli w tym korpusie Wirtemberczycy, którzy przedtem służyli pod Neyem — razem 39,000 żołnierzy. Nadto dwa korpusy kirasierów z kawalerji rezerwowej w liczbie 10,000 ludzi.

Czwarty korpus był pod księciem Eugeniuszem z Junotem, jako następcą wodza. Tu byli generałowie Grouchy i Broussier i dwaj bracia Delzon, najlepsi żołnierze armii włoskiej — razem 45,000 ludzi.

Piąty korpus liczył 26,000 żołnierzy wszystkich rodzajów broni; przeważnie byli tu Polacy pod wodzą księcia Poniatowskiego.

Szósty korpus pod generałem St. Cyr obejmował 25,000 ludzi, przeważnie cudzoziemców od r. 1809 służących w wojsku francuskim.

Korpus siódmy, pod generałem Reynier. Było tu 17,000 ludzi, głównie Sasów, mających służyć razem z Polakami.

Korpus ósmy. Król Hieronim na czele 18,000 Westfalczyków i Hesów.

Nadto cztery korpusy kawalerii rezerwowej rozdzielone między Davoustą, Oudinota i Neyą. Reszta, 15,000 doskonałych jeźdźców maszerowała wraz z gwardyą cesarską.

Gwardya ta, pozostająca pod rozkazami marszałków Mortiera i Lefebvra, podzielona była na dwa korpusy: stara gwardya złożona z zielonych strzelców i błękitnych grenadyerów pieszych i młoda gwardya: tyralierzy i lekka jazda; ogółem 47,000 ludzi, pośród których było 6000 wyborowych jeźdźców i 200 armat z obsługującymi je ludźmi.

Do tego park inżynierii złożony z saperów, górników, budowniczych mostów i wojskowych rzemieślników wszelkiego rodzaju.

Park artylerii i tren wozowy z obsługą i końmi. Do obu tych trenów należało 18,000 koni.

W armii czynnej, maszerującej przeciw Rosji było 423,000 wyćwiczonych żołnierzy, a mianowicie 300,000 piechoty, 70,000 jeźdźców i 30,000 artylerzystów z 1000 armat, nadto 6 trenów z mostami, ambulansami i prowiantami na cały miesiąc.

Jako rezerwa stały: dziewiąty korpus pod marszałkiem Victorem i dziesiąty korpus pod Augereau'em w pobliżu Magdeburga, mające stopniowo służyć do skompletowania armii.

Cała masa wojska, ciągnącego przeciw Rosyjanom, składała się z 620,000 ludzi. Prócz tego pozo-

stało we francuskich twierdzach i magazynach wojskowych 150,000 ludzi; 50,000 stało we Włoszech, a na półwyspie hiszpańskim walczyło 300,000 znakomitych żołnierzy pod wodzą Masseny, Soult'a i Sucheta. Cała więc armia francuska, pozostająca pod rozkazami tego jednego człowieka obejmowała powyżej miliona zbrojnych żołnierzy.

Zważywszy jednak, jak rozmaitej narodowości byli żołnierze, ciągnący pod wodzą tego jednego człowieka na Rosyę, to stosunek liczebny okaże się następujący:

Francuzów było 370,000, Polaków 50,000, Włochów 20,000, a Szwajcarów 10,000 — wszystkie te oddziały można było liczyć za pewne i oddane.

Było jednak także 150,000 Prusaków, Bawarów, Sasów, Wirtemberczyków, Westfalów, Kroatów, Hiszpanów i Portugalów. Siły te były na ogół niebezpieczne i mniej lub więcej niepewne.

Napoleon jednak wcale się o to nie troszczył; żołnierze byli dla niego żołnierzami i niczem innem. Przytem małe państewka niemieckie były z sobą tak powaśnione, północne plemiona w takiej żyły niezgodzie z południowymi swymi pobratymcami, że pod sztandarem Napoleona często walczyli Niemcy przeciw Niemcom, oczywiście, aż do czasu, gdy niedoła pod despotycznymi rządami Francyi, wzrosła do tego stopnia, że monarchowie musieli się zwrócić o pomoc do swych poddanych.

Dn. 7 lipca cesarz przybył do Gdańska, stąd udał się do Królewca, odbywszy po drodze przegląd sześciu wzorowych dywizyi Davoust'a.

Dn. 18 lipca przybył do Insterburga, gdzie wzdłuż brzegów rzeki napotkał rozłożony tren z prowiantami; równocześnie z czterech rozmaitych stron nadciągało 220,000 gotowych do walki żołnierzy.

Wreszcie dn. 19 lipca otrzymał bliższą wiadomość, że cesarz Aleksander nie daje się skłonić do przyjęcia Lauristona.

A zatem musi użyć przemocy i cesarza pokonać, w sposób taki, czy inny; bądź co bądź rozprawi się z cesarzem osobiście.

Z tem postanowieniem Napoleon przekroczył Niemen.

Terenem, zamkniętym przez Dniepr, zwracający się pod Orszą na południe i Dźwinę, płynącą od Ostrowca w kierunku północnym, postanowił Napoleon wkroczyć do Rosyi.

Pierwszym krokiem Rosyan było wciągnięcie armii północnej pod generałem Barclay de Tolly do obwarowanego obozu w Drysie, dokąd udał się sam cesarz, skłonny, jak się zdaje do przyjęcia bitwy. Południowa armia Rosyan, pod księciem Bagrationem miała się w ten sposób połączyć z północną, że Bagration co szybciej skierował się na północ, przeslizgując się ze swą armią koło maszerujących na przód Francuzów.

Napoleon chciał przy pomocy korpusu Davousty przeszkodzić temu połączeniu się dwóch armii, każdą z osobna zwabić do walki i wpędzić Bagrationa na bagna. Cesarz tymczasem, nie przyjąwszy wielkiej stanowczej bitwy, tak bardzo upragnionej przez Napoleona, cofnął się tak daleko, że Francuzi dodarli do Wilna, dawnej stolicy Polski.

Tylekroć w swych nadziejach zawiedzeni Polacy sądzili, że teraz przyszedł właśnie ich czas. Szlachta polska ogłosiła wskrzeszenie Polski i wysłała do cesarza Napoleona deputację, by uznał odbudowane Królestwo; toby im już wystarczyło.

Ale Napoleon, który nigdy nie sympatyzował z narodowymi żądaniami Polaków, dał odpowiedź wymijającą, która wiernym Polakom odjęła wszelką odwagę i nadzieję, a także we Francyi wielkie wywołała niezadowolenie.

Tymczasem dla wykonania manewru Napoleo-

na, uniemożliwiającego połączenie się armii de Tolly'ego z armią Bagrationa, król Hieronim powinien był ze swym korpusem dotrzeć znacznie dalej, niż to był uczynił. Niestety, nawet dzielny generał nie mógłby był tego dokonać, z powodu słotnego powietrza i gwałtownych deszczów, jakie panowały w końcu czerwca.

Napoleon tymczasem wyczekując wiadomości w Wilnie, zniecierpliwiał się na koniec, a tak samo Davoust, wskutek czego król Hieronim otrzymał rozkaz, sformułowany przytem w tonie obraźliwym, by niezwłocznie stawiał się pod komendę Davoust.

Król Hieronim uczuł się mocno dotkniętym, co zresztą nie może dziwić; opuścił więc armię i wrócił do ojczyzny.

Ale przez tę sprzeczkę braci, przeoczono korzystną chwilę, kiedy Bagration mógł zostać odcięty i zniszczony, a co gorsza, stracono bezużytecznie jedenaście cennych dni czerwcowych na czekaniu w Wilnie.

A przewlekanie kampanii aż do zimy, stanowiło właśnie nadzieję Rosyi i trwogę Francuzów, znających klimat rosyjski.

W kołach rosyjskich krążyła już uwaga kowala wiejskiego, który zaśmiał się, gdy mu przyniesiono znaną po drodze francuską podkowę.

— Ani jeden z tych koni nie wyjdzie żywy z Rosyi, jeśli tu zostaną do nastania mrozów—powiedział ów kowal.—Bo francuskie podkowy nie mają zakrzywionych haków, bez czego zwierzęta nie potrafią po gładkich, zamarzniętych drogach ciągnąć armat i ciężkich wozów ni do góry, ni z góry.

Mimowoli nasuwa się wspomnienie o młodym generale Bonaparte z pierwszych jego wypraw, jak to w razie dłuższej przerwy podczas marszu wysiadał z powozu i, przysiadając na skraju rowu, wskazywał na którykolwiek z ciężkich wozów trenu i zadawał pytanie:

— Co jest w tym wozie?

Oficer, odpowiedzialny za tren, musiał na polu kazać wypakować całą zawartość wozu i przeliczyć: naczynia, podkowy, gwoździe, narzędzia, śruby i okucia—biedny młody oficer musiał zdawać sprawę z każdego drobiazgu, a generał wiedział całkiem dokładnie, co wóz miał zawierać.

Jeśli taki młody człowiek popełnił błąd, to mógł popaść w wieczne zapomnienie, ale mógł też skończyć jako generał intendenty, jeśli był czegoś wart.

Wyprawa do Rosyi nie była tak przygotowana.

Gdy Napoleon nareszcie w końcu czerwca ruszył ku Drysie, cesarz opuścił to silne stanowisko, które obwarowywano przez cały rok, by je uczynić niezdobytem. Cofnął się aż do Petersburga i tam pozostał.

Na rozkaz Napoleona wszystkie korpusy francuskie przybyły tego samego dnia nad Dźwinę; zastały jednak tylko opróżniony obóz i bez rozstrzygającej bitwy musiały dalej prowadzić kampanię, z tym samym celem przed oczyma: było nim uniemożliwienie połączenia się obu rosyjskich armii.

Barclay de Tolly wciąż się jeszcze cofał przed napierającą główną armią, lecz w pierwszych dniach lipca zamierzał stanąć w Witebsku i zostawić Bagrationowi czas do zbliżenia się, aby obie ich armie mogły się połączyć w Smoleńsku. Ale pod Mobilem Bagration natknął się na Davoustą, który miał tu święcić jeden ze swych wielkich dni. Książę Bagration poniósł taką klęskę, że o połączeniu z Tolly'm pod Smoleńskiem nie mogło już być mowy.

W niepojęty sposób udało się Bagrationowi przesłać wiadomość o owej klęsce poprzez linie francuskie tak, że nie została przejęta; a gdy przed południem 27 lipca Napoleon z całą armią główną ruszył na Witebsk, pragnąc co rychlej stoczyć roz-

strzygającą bitwę, Barclay de Tolly zdołał się już był cofnąć.

Tak więc i tu nie doszło do walnej bitwy, upragnionej przez wojska francuskie, lecz pod Ostrowcem Murat i Eugeniusz zwyciężyli w ważnej potyczce. Tu mały oddział, liczący niespełna 300 ludzi—młodzieńców z Paryża—należących do dziewiątego regimentu — w oczach całej armii francuskiej przebił się przez chmarę rosyjskich kirasyerów. Cesarz sam widział ten świetny czyn waleczności i zawołał: „Każdy z nich zasłużył na krzyż“.

Dla Napoleona było to nowem rozczarowaniem, że także pod Witebskiem nie doszło do tak stanowczej bitwy, po której możnaby było przystąpić do układów.

W tych dniach armia francuska strasznie cierpiała z powodu upałów i wtedy już rozpoczęło się w armii rozprzężenie—zwłaszcza pośród wojsk niemieckich. Napoleon zatrzymał się na czternaście dni w Witebsku; podczas tej wyprawy nie był w ogóle podobny do siebie.

Wielu się dziwiło, że on, którego niezwykłość polegała właśnie na oszałamiającym pośpiechu, jakim nieprzyjaciela obezwładniał, błyskawicznie rozstrzygając losy kompanii, tym razem wcale się nie liczył z bezowocnie marnowanym czasem. Bo, jakkolwiek nie miał dostatecznego wyobrażenia, co znaczy zima w Rosyi, czego należałoby wymagać od hetmana jego rangi, a z czem byłby się niechybnie liczył Bonaparte z pierwszych wypraw, to jednak niezrozumiałem wprost wydać się musi niepotrzebne trwonienie czasu w Wilnie, a następnie w Witebsku.

Mnie się wydaje, że całe zachowanie się Napoleona należy tłumaczyć tem, iż z dnia na dzień wyczekiwał on adjutanta od cesarza, któryby całą tę wojnę przemienił w układy między nim a Aleksandrem. Przez cały czas był on przeświadczony, że

cesarz jest tumaniony przez swe otoczenie, a wystarczy go należycie uświadomić, by się przyłączył do jego własnych, nowoczesnych idei przyszłościowych.

To samo mniemanie o stosunku cesarza do idei nowoczesnych żywiło zresztą wielu mądrych ludzi jeszcze w sto lat później.

Armia rozkwaterowała się w okolicy Witebska. Gromadzono zapasy i napowrót zapędzano do szeregów uciekinierów i maruderów. Jakkolwiek ogółem padło dotąd najwyżej 7,000 żołnierzy, to jednak brakowało już w szeregach 150.000.

Zniszczenie wielkiej armii podczas kampanii rosyjskiej, nie należy przypisywać wyłącznie zimnu i straszemu powrotowi. Armia była w rzeczywistości zniszczona, zanim jeszcze dotarła do Moskwy; po pierwsze z powodu nadmiaru sił cudzoziemskich, a powtórnie skutkiem szalonego zaciągania do armii młodych chłopców, którzy umieli wprawdzie walczyć, lecz absolutnie nie byli w stanie znosić strasznych trudów i ograniczeń. Nadto wielka liczba jeźdźców musiała już teraz iść pieszo.

Oglądając na karcie miejscowości, do których dotarli Francuzi w czasie swego pochodu i odwrotu, widzimy, że nie było to zbyt głębokie wtargnięcie w organizm potwornego kolosa. Od Niemna do Mohilewa, Ostrowna, Połocka, Krasnoje po raz pierwszy; Smoleńska, Walutyny, Borodina i spalenia Moskwy; następnie z powrotem przez bitwy pod Winkowem, Małym Jarosławcem, Wiazmą, Wopem, Krasnoje po raz drugi; Berezyną, Wilnem i Kownem—przestrzeń nie jest zbyt wielka, lecz wielki się tu rozegrał kawał dziejów.

W czasie swego pobytu w Witebsku cesarz prowadził ten sam tryb życia, jakby mieszkał w Tuileryach; tylko, że prócz tego dniem i nocą myślał o ruchach swych korpusów, o żołnierzach i pielęgnowaniu rannych.

Nie go nie zdołało przerazić, ani odpadnięcie Bernadotte'a, ani powstanie ludowe w Rosyi, które cesarz sam przeciw niemu wywołał, a które tem się przejawiało, że Francuzi napotykali po drodze same opustoszałe wsie i wyludnione lub palące się miasta.

Nie zdawał się też zauważać zmiany usposobienia i lekkiego szemrania w najbliższym swem otoczeniu. Zapatrzony w swe plany i niezłomny w postanowieniu powziętem, w dalszym ciągu ścigał główną armię cofających się Rosyan, równocześnie mając na oku swe skrzydła na południu i na północy.

Księżę Szwarzenberg, oraz marszałkowie Victor i Augereau otrzymali rozkaz podążenia z pomocą generałowi Reynier, gdyż od południa nadciągał generał Tormasow.

Na północy w pobliżu Dynaburgu stał Macdonald, a marszałek Oudinot wplątał się koło Połocka w walkę z generałem Wittgensteinem. Generał Gouvion Saint-Cyr otrzymał rozkaz wzmocnienia stanowiska Oudinota swym korpusem bawarskim.

Dn. 17 sierpnia marszałek Oudinot chciał się nieco cofnąć, by korzystniejszą zająć pozycję. Wittgenstein wziął ten manewr za odwrót i rzucił się na cofających, a w walce, która się wywiązała marszałek został ciężko ranny i musiano go wynieść z pola bitwy.

Komenda przeszła w ręce generała St.-Cyra, który także był ranny i w ciągu całej tej bitwy wydawał rozkazy, siedząc na małym polskim wózku.

Ten chłodny dowódca i wielki taktyk wykonał dn. 18 sierpnia pod Połockiem mistrzowski manewr, zamieniając niespodzianie rzekomy odwrót w gwałtowny atak, dzięki czemu odniósł zwycięstwo, które mogłoby być jeszcze świetniejsze, gdyby w chwili rozstrzygającej generał nie został był w ścisku obalony wraz z wózkiem. Dostał się pod

konie i z trudem wydobyty, natychmiast objął znów dowództwo.

Francuzi zabrali tu 1,500 jeńców i 14 armat, porządnego strachu napędzając Wittgensteinowi.

Po bitwie pod Połockiem cesarz zamianował generała St. Cyr marszałkiem. W bitwie tej zginęło dwóch bawarskich generałów: Derois i Lieben. Derois przywoził był Bawarom pod Ulmem w r. 1805 i pod Wagramem w r. 1809. Od najwcześniejszej młodości całe życie nierozłącznie spędził ze swym przyjacielem Liebenem; obaj w służbie Napoleona zostali generałami i obaj zginęli tego samego dnia pod Połockiem.

Dn. 17 sierpnia Napoleon dotarł do Smoleńska, do którego obwarowanych przedmieść przypuścił szturm o godzinie drugiej popołudniu, na czele sławnych dywizji Moranda i Gudina. Generał Ledru z korpusu Ney'a oblegał przedmieście Krasnoje; we wszystkich obwarowanych pozycjach, otaczających to miasto, Rosyanie zaciekle stawiali opór.

Na prawem skrzydle Polacy pod Poniatowskim walczyli jak lwy, celem odzyskania Smoleńska, miasta swych ojców. O godzinie piątej w oczach cesarza wzięto pozycję na lewym brzegu rzeki. Generał de Tolly ścigał nowe siły: generała Baggowouth z całym korpusem, księcia wirtemberskiego z dywizją grenadyerów i dwa bataliony gwardyi rosyjskiej.

Dopiero o godzinie szóstej posunięto się o tyle, że armaty dosięgały już murów samego miasta i niebawem można już było myśleć o przypuszczeniu szturm.

Szturmem też wzięli Francuzi Smoleńsk, lecz było już tak ciemno, że Barclay de Tolly zdołał uprowadzić z miasta resztki swej armii.

Regimenty francuskie wkroczyły przy dźwięku muzyki, dumni ze zwycięstwa, narażającego Rosyę na straty niezmierzone; wszędzie jednak zastali pust-

ki, a niebawem cały Smoleńsk stanął w płomieniach. We Francyi biuletyn, donoszący o zdobyciu spalonego miasta, niewielki wywołał entuzjazm, raczej posępny budząc nastrój; a w samej armii niektórzy oficerowie zaczęli się niepokoić co do dalszego przebiegu kampanii.

Ale Napoleon dzień po dniu parł naprzód, by wreszcie pobić któryś z cofających się przed nim wielkich korpusów armii rosyjskiej.

Ze Smoleńska wysłał był dywizye Compansa i Gudina, kawalerję generała Bruyère i króla Joachima Murata w pościg za Barclay de Tolly'm. Równocześnie Junot otrzymał rozkaz zajęcia pozycji pod Walutyną, w celu zamknięcia Rosyanom wąskich przejść.

Generał de Tolly zmienił tymczasem pierwotny plan ruszenia w kierunku północnym do Petersburga. Raz jeszcze chciał podjąć próbę połączenia się, z Bagrationem na drodze do Petersburga.

Napoleon dowiedział się o tem i co śpieszniej wysłał naprzeciw niemu marszałka Ney'a. Wojska spotkały się pod Walutyną i Ney odniósł świetne zwycięstwo, lecz i tu, jak stale w ciągu tej wyprawy, zdarzyło się coś niepomyślnego.

Udało się nakoniec uderzyć na armię Barclay de Tolly'ego, odciętą od Bagrationa i to w pozycji takiej, że ani jeden człowiek nie byłby zdołał umknąć, gdyby generał Junot spełnił był rozkaz i zajął stanowisko koło wąskich przejść, stanowiących jedyne wyjście z pola bitwy pod Walutyną.

Gdy generał Grouchy przyniósł cesarzowi wiadomość o zwycięstwie, Napoleon udał się do Ney'a, a obejrzawszy pole walki wszyscy zgodnie oświadczyli, że jedynie z winy niedbalstwa i tępoty księcia Abrantes rosyjska armia nie została doszczętnie zniszczona, lub pojmana w niewolę.

Na tem skończyła się też świetna karyera tego człowieka.

Napoleon obsypywał Junota bogactwami, które on niszczył w sposób najgłupszy, rujnując przytem silny swój organizm najwyuzdańszą rozpustą. Walecznością dorównywał on najzuchwalszym w całej armii, najlepiej strzelał z pistoletu, przytem był wesołym i dobrym towarzyszem, lecz równocześnie człowiekiem niebezpiecznym, o namiętnościach wprost nieposkromionych.

Czy to było winą nadmiernego jego szczęścia, czy dzikiego życia, lub wreszcie następstwem otrzymanego kiedyś cięcia szablą przez głowę—czem stała go unfewinniała księżna Abrantes—dość, że całe życie był nieobliczalnym fantastą, co z latami wzmoгло się do tego stopnia, że zakończył manią wielkości i obłędem.

Już pod Smoleńskiem, gdzie Junot miał rozpocząć szturm, rozkazy jego były niejasne i niepewne.

Murat galopem przypędził do niego, pytając:

— Co ty robisz? Czemu nie nacierasz?

— Moi Westfalczycy nie chcą iść do szturmu.

— Ja ich zachęcę! — zawołał król Joachim i z kilku szwadronami rzuciwszy się na Rosyan, poczał siec na prawo i lewo, zmiatając przed sobą wszystko, co mu stawiało opór.

— Patrz! — krzyknął znów do Junota — oto masz nawpół zdobytą łaskę marszałkowską, uderzaj teraz, a zdobędziesz ją napewno! Rosyanie prawie rozbici.

Ale Junot nie ruszył się z miejsca; był już chory na umyśle, chociaż o tem jeszcze nie wiadano.

Gdy teraz pod Walutyną zaniedbał swego obowiązku, psując Neyowi świetne zwycięstwo, Napoleon rozgniewany chciał go pozbawić dowództwa, lecz inni generałowie wstawili się za Junotem i wybaczył mu ze względu na dawną przyjaźń.

Ale z Junotem miało się szybko ku końcowi

i musiano go wysłać z Rosyi do domu, do Iliryi, gdzie był gubernatorem.

Tu zachowywał się bardzo dziwnie. Wydał w stolicy swej wielki bal, na którym zjawił się w błyszczących trzewikach, z szpadą u boku, obwieszony wszystkimi swymi orderami, z ufryzowanym włosom, trójkątnym kapeluszem pod pachą i w białych rękawiczkach—po za tem goły jak wąż.

Stąd wyprawiono go co rychlej do Medyolanu. Tu kazał do swej najwspanialszej karety zaprządz sześć koni, sam w pełnym mundurze siadł na koźle i jadąc przez ulice Medyolanu, wsadzał do karety wszystkie napotykanne po drodze ladacznice. Wówczas odesłano go do Montbard, jego rodzinnej miejscowości we Francyi. Tu też skończył życie, w przystępie obłędu rzucając się z muru ogrodowego i w straszny sposób łamiąc nogę. Miotał się tak gwałtownie, że niepodobna mu było zrobić opatrunku. Umarł w lipcu 1813 r.

Księżna Abrantes znosiła wszystko cierpliwie i, dopóki się dało, starała się go na wszelki sposób utrzymać na stanowisku. Ostatecznie jednak Junot stracił całą przyjaźń cesarza, pomimo, że w młodości łączył ich stosunek najserdeczniejszy, jaki wogóle łączyć mógł kogokolwiek z Napoleonem.

Gdy 29 sierpnia armia francuska przybyła do Wiazmy, zastała, jak w Smoleńsku, miasto wyludnione i nawpół spalone, Francuzi musieli tu sami gasić pożar, by ocalić wielkie zapasy żywności, niektnięte jeszcze przez płomienie.

Tu wybuchła sprzeczka między Davoustem a Muratem. Porządny i solidny książę Auerstädtu od dłuższego już czasu oburzał się postępowaniem lekkiego króla Neapolu, który co ranka urządzał sobie wycieczki, wyczerpując zmniejszającą się z dnia na dzień kawalerję. A tem mniej miał ochotę popierać te bezowocne popisy jazdy siłami swej dobrej piechoty. Dlatego wobec całego korpusu za-

kazał generałowi Compansowi słuchać poleceń króla Joachima.

W sprawę tę wmieszał się sam Napoleon, a jakkolwiek w głębi serca niewątpliwie musiał przyznawać słuszość Davoustowi, to jednak ze względu na pokrewieństwo i królewską godność Murata wydał Compansowi rozkaz, by zajął miejsce w przedniej straży pod komendą króla Neapolu.

Pod bitwie pod Smoleńskiem siły armii stopniały w sposób zatrważający, a wówczas Berthier zebrał się na odwagę i przedstawił cesarzowi, że sprawy źle stoją. Ale Napoleon nazwał go starą babą i spytał, czy ma ochotę wracać do Paryża.

Bo pewne niezadowolenie, zwłaszcza między starszymi i wyższymi oficerami, którzy po przebytych trudach wojennych poczęli zażywać wywiecasu w Paryżu, na swych włościach lub jako gubernatorzy i komendanci w rozmaitych częściach Europy, będącej podówczas Francją—niezadowolenie to fermentowało między nimi już od chwili, gdy Napoleon oderwał ich od tego spokojnego życia, by ich znów poprowadzić na wyprawę rosyjską.

Wysokie stanowiska, jakie dla nich stworzył, związane z wielkimi dochodami, rozbudziły w nich i w ich żonach upodobanie do życia wystawnego i zbytkownego. Po za tem wielu z nich, tak samo jak ich monarcha, przekroczyli już czterdziestkę; ambicja, której uczynili zadość w czasach dawniejszych, znikła z biegiem lat, a rodzina przy której bawili tylko krótko, w międzyczasie dwóch wypraw, pragnęła ich zatrzymać przy sobie.

Niemniej zjawili się wszyscy na wezwanie cesarza, straciwszy z oczu żony i dzieci; poczuwszy się znów na siodle, otoczeni starymi żołnierzami i rwącymi się w świat młodymi, rychło odzyskali dobry humor i ruszyli na nowe zwycięstwa z dawną walecznością i otuchą.

Zwłaszcza na początku, gdy na czele wspinałych swych regimentów maszerowali na wschód przez zdobyte kraje, z miasta do miasta, z zamku do zamku jak panowie świata; gay w Dreźnie spotkali towarzyszy broni i przyjaciół i widzieli, jak wszystkie koronowane głowy Europy chyła się przed ich cesarzem — wówczas la grande armée promieniała znów w całej swej świetności, a każdy poszczególny jej członek, od najwyższego oficera do prostego szeregowca, był bohaterem.

Ale jakkolwiek nikt z ludzi nie mógł przewidywać tych okropnych nieszczęść, ku którym dążyli, to przecież samo już wkroczenie do Rosyi od samego początku różniło się od wszystkiego, do czego byli przyzwyczajeni i oficerzy bardzo rychło zaczęli sobie wzajem rzucać niespokojne spojrzenia.

Zawsze, co prawda, istniała garść niezadowolonych, lecz ci nie doszli byli dotąd do słowa, gdyż Napoleon raz po raz olśniewał zwycięstwami, nie zostawiając czasu ni chęci do szemrania.

Tym razem było inaczej. Poczęli odczuwać, że Napoleon stał się innym. Może tak i było; ale oni również nie byli tem, czem dawniej.

VII.

Im bardziej Francuzi zbliżali się do Moskwy, tem niespokojniejszy nastrój panował w Rosyi i tem bardziej wzmagalo się ogólne niezadowolenie z Barclay de Tolly'ego. Wielka partya u dworu i właściwe masy ludowe uczuły nieprzewyciężoną chęć porzucenia systemu cofania się armii i nagle zapragnęli wszyscy wielkiej stanowczej bitwy.

Opinia publiczna wyznaczyła na dowódcę starego, jednookiego marszałka polnego, Kutuzowa. Nie on przegrał był bitwę pod Austerlitz, gdyż wbrew jego woli przyjęto wówczas plan generała Weirotha. Kilkakrotnie natomiast pobił on Turków i był wielkim dowódcą, oraz człowiekiem przezornym i chytym.

Trudy i rozpusta tak mu zniszczyły organizm, że z wielką męką mógł siedzieć na koniu; był fałszywy, wiarołomny, kłamliwy i zdeprawowany do szpiku kości, lecz był także cierpliwy i uparty.

Został teraz zamianowany naczelnym wodzem, a za szefa sztabu przydano mu generała Bennigsen, zwycięzcę z pod Iłowa.

Powiadano, że Barclay de Tolly chciał wydać bitwę, zanim Kutuzow stanął na czele armii, lecz

stary marszałek polny sam już wyznaczył na pole bitwy wzgórze przy wsi Borodino.

Dnia 5 września maszerująca naprzód armia francuska ujrzała całe wojsko rosyjskie ustawione na pobliskich wzgórzach w szyku bojowym.

Ważna pozycja Szwardyna była silnie oszańcowana jak reduta, a bronił jej osobiście książę Bagration. Ale dywizya Compansa ze zwykłą brawurą tego samego dnia po południu zdobyła redutę. Był to pierwszy tryumf Francuzów.

W ciągu nocy i następnego dnia nadciągnęły oddziały francuskie i zajęły swe stanowiska.

Po kilkugodzinnym śnie w swym namiocie, Napoleon wczesnym rankiem był już na koniu. Wśród zamieszania, panującego w przededniu walki, przybył monsieur Bausset, gruby pedogryczny oficer pałacowy, pozostający w bliskich stosunkach z rodziną cesarską. Przybywał właśnie z Tuileryów przywożąc list od Maryi Ludwiki i portret małego króla Rzymu.

Cesarz pokazał portret generałom i oficerom, którzy się zgromadzili, by czekać rozkazów na dzień jutrzejszy, poczem ku radości starych grenadyerów ustawił obraz na krześle przed swym namiotem.

Tego samego dnia przybył też z Hiszpanii pułkownik Fabrier, z niepomyślną wiadomością o klęsce marszałka Marmonta.

Napoleon jednak, nie tracąc równowagi, cały dzień był w drodze, czyniąc przygotowania do zwycięstwa, o którem ani on, ani nikt w armii na chwilę nawet nie wątpił.

Nazajutrz rano, dnia 7 września, wyszedł pogodny ze swego namiotu, wołając do oficerów:

— Patrzcie panowie, co za piękne słońce! to słońce z pod Austerlitz.

Jego krótką i zwięzłą proklamację do żołnierzy odczytywano wszystkim kompaniom: Nareszcie stoicie przed główną bitwą, której pragniecie od

tak dawna. Teraz zwycięstwo zależy od was—zwycięstwo, będące dla nas wszystkich koniecznością. Da ono nam w nadmiarze wszystkiego, czego potrzebujemy; zapewni dobre kwatery i rychły powrót do ojczyzny. Sprawcie się jak pod Austerlitzem, Frydlandem, Witebskiem i Smoleńskiem, a w najdalszej przyszłości będą z dumą rozpowiadać o waszych czynach. Niechaj o każdym z was opowiadają: brał udział w wielkiej bitwie na równinach Moskwy“.

Napoleon zsiadł z konia przy reducie Szwardyna, wziętej i obsadzonej przez Compansa i rozpoczęła się krwawa walka pod Borodino. Francuzi nazwali bitwę od przepływającej rzeczki Moskwa; dlatego jeden z potomków marszałka Ney'a dotąd nosi tytuł: *prince de Moskwa*.

Pod osłoną dwóch baterii gwardii pod generałem Sorbier, wyruszył generał Compans ze swoją dywizją i dywizją Desaixa — imiennika wielkiego Desaixa, który padł pod Marengo.—Obydwie te dywizye przypuściły szturm do szaniec, chroniących lewe skrzydło Rosyan, którem dowodził generał Bagration i przez pewien czas wszystko szło dobrze.

Ale niezadługo kula trafiła Compansa w ramię; Desaix, który na jego miejsce objął komendę, również został ciężko ranny; a Rapp, który zajął miejsce Desaixa został w krótkim czasie czterokrotnie raniony; najpierw dwa lekkie postrzały, następnie kula w nieszczęsne lewe ramię, a na koniec granatem, który trafił go w lewy bok i obalił. Równocześnie zastrzelono konia pod marszałkiem Davoust, przyczem jeden z pistoletów w olstrach został strasany, skutkiem czego także Davoust padł na ziemię.

Generał Sorbier kazał cesarzowi zameldować, że zginął książę Eckmühl. Tak źle jednak nie było. Davoust podniósł się i dosiadł innego konia. Je-

dnakowoż te niepowodzenia sprawiły, że pierwszy atak się nie udał.

Napoleon co śpieszniej wysłał na pomoc marszałka Ney'a, by ponowił szturm.

Tymczasem wicekról Eugeniusz zdobył wieś Borodino; wśród gwałtownej walki Ney i Davoust wzięli po kolei reduty Bagrationa, osłaniające lewe skrzydło Kutuzowa.

Była zaledwie godzina dziewiąta rano, a lewe skrzydło Rosyan było niebezpiecznie odsłonięte i prawie bez posiłków.

Generał Baggowouth został wysłany na pomoc księciu Bagration na lewe skrzydło; po za tem miał Kutuzow dość do czynienia ze swem centrum, gdzie generał Bonani zdobył był szanec, zwane wielką redutą. Tu dzielny generał zaciekle się bronił, aż okryty ranami padł na szanec, a Rosyanie pod generałem Paskiewiczem po wielkich stratach napowrót odzyskali redutę.

Kutuzow ściągnął teraz ogromne masy wojska na pomoc swemu zagrożonemu lewemu skrzydłu, lecz Napoleon wysłał naprzeciw niemu baterję rezerwy z 24 armatami. Rosyanie znów się rzucili naprzód, lecz generał Lepoultre, kirasyerzy Saint-Germaina i huzarzy Pajola i Brayère'a odrzucili ich po krwawej walce.

Wreszcie zbiera Napoleon wszystkie siły, by złamać linie nieprzyjaciela, który się teraz ustawił po raz trzeci.

Pod strasznym gradem kul armatnich tuż z pobliza — po obu stronach strzelano z ośmiuset armat—Poniatowski ze swymi Polakami rzuca się na prawe skrzydło. Książę Eugeniusz z trzema dywizjami znów przebija się ku wielkiej reducie. Na czele kirasyerów jak wichra pędzi generał Montbrun. Wkrótce pada, a po nim obejmuje komendę August Caulaincourt.

Z kirasyerami dociera niemal do wejścia wiel-

kiej reduty, a tu i on pada. Równocześnie jednak z innej strony nadciąga książę Eugeniusz i walka kończy się dla Rosyan straszliwą krwawą topielą.

Resztki armii Kutuzowa uporeczywie wytrwały pod ogniem Francuzów do nadejścia mroku; w nocy się cofnęły.

Zwycięstwo Napoleona było całkowite, lecz jak wszystkie zwycięstwa podczas tej kampanii pozostało bez ważniejszych następstw.

Do zupełnego zniszczenia armii rosyjskiej należało się posługiwać gwardyą, która przez cały czas bitwy stała beczynnie. Niejednokrotnie się spierano, czy Napoleon miał słuszość, oszczędzając gwardyę—to jądro armii francuskiej.

Generał Ségur pozostający w pewnych stosunkach z Rosyą, po części dlatego, że ojciec jego służył pod Katarzyną II, po części, że sam był ożeniony z damą, należącą do rodziny Rostopczynów, w pamiętnikach swych podaje pewne szczegóły, w sposób najbardziej stanowczy odparte przez generała Gourgaud, który towarzyszył Napoleonowi na wyspę św. Heleny.

Ségur mianowicie opowiada, że w bitwie pod Borodino Murat musiał wziąć za kolnierza jednego pułkownika, by go skłonić do natarcia.

Gourgaud natomiast twierdzi, że fakt ten nie mógł się wydarzyć, gdyż pułkownik ów służył przy dywizji generała Frianta, gdzie nigdy się nie cofnął żaden żołnierz, a tem mniej wysoki oficer. Dywizya ta nie sprzeniewierzyła się też swej reputacyi w bitwie pod Borodino, gdyż ze zwykłą walecznością zdobyła i zatrzymała stanowisko przy pułku siemionowskim.

Ségur pisze nadto, że Napoleon był przez cały dzień pod Borodino chory i wyczerpany. Twierdzi też, że wszyscy generałowie byli oburzeni, że nie chciał użyć gwardyi. Murat wysłał swego adjutanta Borelli'ego z prośbą o pomoc, której jednak

nie otrzymał. Generał Mouton na własną odpowiedzialność wysłał do ataku część gwardyi, a nakoniec Lauriston otrzymał pozwolenie wyruszenia z artylerją.

Gourgaud zaś akcentuje, że wszystko to jest pustą gadaniną „pałacowego oficera“. Opowiada, że zaraz na początku bitwy generał Sorbier był w ogniu z częścią artylerji gwardyi — co też jest zgodnem z prawdą. A gdy cesarz ujrzał, że nieprzyjaciel rzuca się na pułk siemionowski, wysłał na pomoc dywizyi Frianta nie tylko Murata, lecz także rezerwową artylerję gwardyi. Nadto dywizya Roqueta musiała, jako rezerwa młodej gwardyi, zająć stanowisko za Friantem.

Podczas bitwy stara gwardya w pełnej parady ustawiała się za Napoleonem kolumnami w odległości 60-ciu kroków, przez co wydawała się nieprzyjacielowi dwa razy silniejszą, niż była w rzeczywistości. Młoda gwardya stała przed nim. Nieprzyjaciel uszykował się w formie trójkąta; wierzchołek jego skierowany był ku Szwardynie, gdzie zajął stanowisko Napoleon, a boczne skrzydła nieco się cofały.

Gourgaud zaprzecza też wszystkiemu, co Ségur mówi o znuczeniu cesarza i ogólnem niezadowoleniu z powodu bezczynności gwardyi. Przyznaje tylko, że na parę godzin między 7-m a 8-m września cesarz stracił głos; mimo to ze zwykłą swą żywością sam komenderował i do upadłego zmęczył kilka koni.

Pewnem jest, że Napoleon był przeziębiony i źle się czuł przez cały dzień bitwy pod Borodino, lecz inna choroba, któraby zmniejszyła bystrość jego umysłu, wydaje się mało prawdopodobną.

A jeśli mimo kilkukrotnych nalegań Ney i Murata nie chciał się posługiwać większą częścią gwardyi, to należy zważyć, że przedsięwzięli kampanię ciężką, zdala od Paryża i że gwardya była jedyną

częścią jego armii, nietkniętą jeszcze przez straty i walki. Wreszcie z szanów Szwardyny Napoleon nie mógł widzieć otwierającego się przed Neyem i Muratem wylotu w centrum nieprzyjaciela.

Ale już sama ta niezgodność i krytyczne sądy wykazują, że stosunki dokoła Napoleona zaczęły się zmieniać.

— Biwakowanie w wieczór po bitwie pod Borodino było smutne, — opowiada jeden z oficerów, pozostałych przy życiu. — Kładliśmy jedne zwłoki na drugie, by zdobyć wolne miejsce przy ognisku.

Niekompletne to zwycięstwo zostało nadto okupione niezwykłą liczbą poległych oficerów.

Ogółem padło po obu stronach 90,000 ludzi. Rosyanie stracili czterech generałów: Kutajzowa, obu generałów Tuczaków i samego księcia Bagrationa.

Ale po stronie francuskiej padło trzynastu, nadto dwudziestu generałów otrzymało mniej lub więcej niebezpieczne rany.

Najslawniejszym z poległych był generał kawaleryi, Montbrun, bohater z pod Somo-Sierry, jeden z najlepszych, jacy pozostali po d'Hautpoulu, d'Espagne'u i Lasalle'u. Także August de Coulaincourt brat księcia Vienzyi był świetnym i bardzo lubianym oficerem.

Marszałek Bessieres także utracił brata w randze generała; a generał inżynierii Lariboisière i dzielny generał Friant stracili każdy w tej bitwie syna. Generał Bonami, który, okryty dwudziestu ranami, padł na wielkim szanecie, po odzyskaniu reduty przez Rosyan, umarł, o ile mi wiadomo, z ran otrzymanych.

Tu zginął także wesóły Canouville, który od czasu otrzymania futra z dyamentowymi guzikami Pauliny Borghese, zaawansował na generała kawaleryi.

Można sobie wyobrazić, jak gwałtowna była

walka i jak blisko siebie stały wojska nieprzyjacielskie, skoro lista rannych oficerów wykazuje takie nazwiska: jak Davoust, Morand, Friant, Compans, Rapp, Belliard, Nansouty, St. Germain, Teste, i Tajol — oprócz marszałka cały szereg pierwszych generałów dywizyi.

Prócz tego zginęło tu kilkuset oficerów rozmaitych rang — ludzi, którzy byli z Napoleonem we Włoszech i Egipcie i których on znał osobiście — najbliższe jego otoczenie krwawa zalała kąpiel, jakiej nie było nawet pod Iłowem.

Z najwyższych generałów, zaledwie trzech (po stronie rosyjskiej Barclay de Tolly, a z Francuzów Murat i Ney) wyszło bez szwanku i to trzech najzuchwalszych.

Dwaj ostatni jak posągi stali w gradzie kul, nietknięci ani jedną strzałą. Ney kazał ludziom swym paść na ziemię dla bezpieczeństwa, a sam stał wśród nich jak zwykły kapitan grenadyerów. Murat, zeskoczył z konia i pieszo przy pułku siemionowskim ruszył na czele dywizyi Frianta.

Po bitwie pod Borodino Kutuzow cofnął się w kierunku Moskwy. Przez chwilę się zdawało, że odważy się jeszcze na jedną bitwę pod Możajskiem. Na siwe swe włosy przysiągł bronić do upadłego starej stolicy cesarzów. Ale dn. 14 września marszałek polny ze swą pobitą armią cofnął się poza Moskwę, co u jego oficerów i w armii wywołało wielki żal i rozgoryczenie.

Niemniej kazał Kutuzow obwieścić Moskwie, że Francuzi ponieśli klęskę pod Borodino, a do Petersburga wysłał ze swej kwatery dwa biuletyny, w których donosił, że pod Możajskiem Francuzi zostali doszczętnie pobici, wzięto przeszło 100 armat i 1,000 jeńców, w liczbie których znajduje się wice-król Eugeniusz i książę Auerstädt, a 30,000 kozaków generała Platowa w dalszym ciągu ściga nieprzyjaciela.

Wobec tego cesarz wyznaczył armii wielkie odznaczenia i nagrody. A w rzeczywistości rzecz się miała tak, że Murat i Eugeniusz tak gwałtownie prześladowali Kutuzowa, iż generał Miłoradowicz, chcąc go wyratować z ulic Moskwy, zagroził, iż każe podpalić miasto—jeśli nie zgodzą się na chwilowe zawieszenie broni.

Nie tyle z obawy przed groźbą, ile raczej dlatego, że Napoleon ciągle się jeszcze spodziewał wszystkiego po układach z cesarzem, Francuzi zgodzili się na to zawieszenie broni i to tylko na mocy ustnej umowy, bez innych potrzebnych formalności.

Ze szczytu góry Zbawiciela ujrzała nareszcie armia francuska olbrzymią Moskwę—białe miasto, o złożonych kopułach, jak senne widziadło w błękitnem przestworzu. Nawet Napoleon stracił na chwilę zwykłą swą równowagę, a wszyscy inni wprost się nie posiadali z radości.

Następnego dnia cesarz wprowadził się do Kremlu, starego zamku cesarzów. Z wszystkich cudzoziemskich zamków, które kolejno zajmował był w Europie, ten był najszczególniejszy, a ten wjazd był też najbardziej awanturniczy ze wszystkich w życiu Napoleona.

Moskwa nie była całkiem opustoszała.

Francuzi zastali otworem wiele pałaców szlachty rosyjskiej ze służbą i doskonale we wszystko zaopatrzonych. Bogaci kupcy oddawali swe mienie i składy pod opiekę oficerów francuskich, w zamiarze rychłego powrotu. Kreml był przepełniony prochem i bronią.

Miasto w takim stanie byłoby wygodną i przyjemną siedzibą zimową dla zmęczonej armii. Napoleon natychmiast się zabrał do porządkowania i organizowania—przedewszystkiem stosunków armii, gdzie dyscyplina nieco się była rozluźniła i nie wszystko było tak, jak być powinno. Miał dość wojska, by sobie dać rady z Kutuzowem, a zajmu-

jąc teraz jedną stolicę—gdy cesarz zajmował drugą, pewny był, że szlachetny monarcha, którego poznał w Erfurcie, wyciągnie doń rękę do zgody. Na wiosnę będzie mógł przyjść do skutku pokój między nim, a jego przyjacielem i wielbicielem.

Żołnierze ze swej strony powitali Moskwę, jako kres wszystkich prób, a w bezgranicznem zaufaniu do swego wielkiego wodza, któremu dotąd stale sprzyjało szczęście, zabierali się z dumą do wypoczynku we wspaniałej stolicy cesarzów. Wszyscy byli spokojni, bezpieczni i pełni otuchy.

Ale w nocy z 15 na 16 września, Moskwa zaczęła się palić, i to w sposób, nie pozostawiający wątpliwości, że ogień został podłożony w wielu miejscach, w zamiarze zniszczenia całego miasta.

Pożar został też spowodowany przez gubernatora Moskwy. Kazał on w swym ogrodzie pałacowym złożyć masy palnych materiałów, które rozdzielił między uwolnionych z więzień zbrodniarzy. Ci musieli przebiegać całe miasto i wszędzie podkładać ogień. Sikawki kazał wpierw usunąć, skutkiem czego wszystkie usiłowania Francuzów w celu stłumienia pożaru, rychło się okazały bezowocne.

Krok za krokiem musieli znów opuścić miasto. Także Napoleon musiał opuścić Kreml, zawierający mnóstwo dynamitu. Ogień zaczął tu już zagrażać napelnionym prochem wozom, które wjechały były na wielkie podwórze zamkowe.

Dn. 16, 17 i 18 września Moskwa paliła się dniem i nocą, podczas burzy, kilkakrotnie zrywającej się nanowo. Zgorzały cztery piąte Moskwy, jak wszystkie wschodnie miasta rozrzucone na ogromnej przestrzeni, ze swemi przedmieściami, pałacami, klasztorami, wielkimi ogrodami i parcelami budowlanymi. W szpitalach spaliło się 15,000 rannych Rosyan.

Książę Rostopczyn, gubernator Moskwy, wydał

na łup płomieni swe bogactwa i wspaniały pałac przodków.

— Nie zabrałem nic, prócz tego surduta, który mam na sobie—oświadczył. Twierdzono, że gubernator z własnej woli i, nie zdradziwszy przed nikim swego planu, spowodowany rozpaczliwym patriotyzmem, kazał spalić Moskwę. Nie wydaje się to jednak prawdopodobnem. Podobnie samowolny czyn ze strony wysokiego urzędnika nie byłby możliwy w żadnym kraju na świecie.

Książę Rostopczyn poświęcił swój pałac i świętą Moskwę, ponieważ był posłusznym poddanym i ponieważ każdy człowiek ruski nosi w swem sercu wyryte prawo: „Wszystko dla cesarza!“ Miał też niewątpliwie wyraźny rozkaz, lub pełnomocnictwo, upoważniające go do posunięcia się do ostateczności.

Bo w Rosyi nie się nie dzieje bez wiedzy i woli cesarza.

Po pożarze chłopi rosyjscy i francuscy żołnierze rzucili się do piwnic i śpichrzy w celu plądrowania. Cesarz po raz drugi, o ile się dało, rozbił główną swą kwaterę w Kremlu; teraz tam być *chciał*.

Ale dn. 21 września generał Sebastiani zameldował, że stracił z oczu nieprzyjaciela i Francuzi zaczęli się obawiać, że zostali odcięci, a Kutuzow stara się ich obejść z tyłu. Taki też był zamiar rosyjskiego wodza, który z armią swą ruszył teraz na południe i wschód.

Jednakowoż Murat i Bessieres, rzuciwszy się za nim w pogoń—zmusili Rosyan do odwrotu w kierunku Kaługi.

Napoleon ani na chwilę nie tracił nadziei otrzymania wieści od cesarza. Podjął jeszcze parę prób na wpół-oficyalnych, w celu wzajemnego zbliżenia. Teraz jednak musiał się zastanowić, co począć z armią. Była zbyt słaba, by w głębokiem centrum Ro-

si mogła w otwartem polu manewrować przeciw Kutuzowowi. O spędzeniu zimy w Moskwie nie można było myśleć w obec obecnego stanu miasta. Przytem wszyscy generałowie nalegali o powrót do Polski. Napoleon sam jeden wzbraniał się przed odwrotem, który zniszczyłby jego nimb niezwyciężoności i zbuntował przeciw niemu całą Europę.

Tak już było wszystko zmienione w okół Napoleona, że cesarz musiał kazać swój plan spisać i przedstawić ludziom, dotychczas przyzwyczajonym tylko do odbierania i spełniania rozkazów.

Plan cesarza polegał na tem, by pomaszerować jak najdalej na zachód i północ, w celu połączenia się z marszałkami: Victorem, St. Cyrem i Macdonaldem, którzy zajęli stanowiska w prowincjach nadbałtyckich. Z temi siłami i wszystkiemi, jakie się da ściągnąć, zamierzał z wiosną ruszyć na Petersburg.

Plan ten datuje się z pierwszych dni października. Jednakowoż wszyscy generałowie byli przeciwni i dalszemu pochodowi na północ i dalszym zdobyczom, a Napoleon nie mógł już rozkazywać, jak za dni szczęścia;—musiał się poddać.

Następnie miał zamiar wysłać Coulaincourta do Petersburga, lecz ten oświadczył, że będzie to zupełnie bezowocnem. Taką samą odpowiedź otrzymał od hrabiego de Narbonne.

Ci dwaj dostojnicy z dawnego dworu, najrzeczniejsi dyplomaci i posłowie cesarza w sprawach najważniejszych, narażeni byli teraz na wszystkie uciążliwości kampanii rosyjskiej.

Hrabia Narbonne był jedynym, który przez cały czas zachował dobry humor i lekki pogodny ton. Natomiast inni, którym ogląda i maniery wielkoświatowe nie weszły jeszcze tak głęboko w krew i kości, odrzucili w ciężkich tych dniach polor zewnętrzny, brutalnie ujawniając i zawód i rozdrażnienie. O hrabiu Narbonne opowiadają, że aż do naj-

rozpaczliwszych chwil pod Berezyną, codzień rano siadał na kamieniu lub na pniu ściętego drzewa i kazał sobie nakładać kunsztowną, pudrowaną perukę.

Jakkolwiek liczył już lat pięćdziesiąt, z kampanii tej wyszedł żywy, lecz zmarł już w r. 1813 jako gubernator w Torgau, skutkiem nieszczęśliwego upadku z konia.

Następnie wyprawiono do Kutuzowa generała Lauristona, w celu uzyskania pokoju, w każdym razie zawieszenia broni. W rosyjskiej głównej kwaterze został on podług wszelkich reguł sztuki oszukany i wywiedziony w pole.

Tymczasem przyszło do skutku zawieszenie broni, którem jednak Rosyanie wcale nie czuli się związani.

Jeden z przybocznych adjutantów cesarza, schwytany przez Francuzów, został wysłany do Petersburga z ponownymi próbami zbliżenia. Cesarz postanowił czekać na odpowiedź, dziesięć do dwunastu dni, lecz w Petersburgu nikt nie myślał o wysłaniu odpowiedzi.

Mówiono Napoleonowi, że mrozy nastają dopiero w połowie listopada. Zbierał tedy zapasy żywności, przygotowywał broń, naprawiał i obwarowywał nawet Kreml, zaprowadził przedstawienie teatralne i za pośrednictwem swych kuryerów rządził z Moskwy Francją i Europą. Z tego też czasu, podpisane przez cesarza w Kremlu, datują się nawet pewne rozporządzenia, dotyczące Théâtre Français.

Tymczasem dokonało się znaczne zbliżenie Rosyi do Anglii, a cesarz Aleksander zniżył się do spotkania z Bernadottem w Aabo, gdzie postanowiono odłożyć na razie podbicie Norwegii, a wojska rosyjskie, stojące w Finlandyi, odkomenderować do Rygi.

Z Turcyą zawarła Rosya pokój; skutkiem czego admirał Cziczagow mógł objąć naczelne dowództwo nad wojskami, które, pod generałem Tormasowem,

od południa zagrażały odwrotowi Francuzów. Zjednoczone te siły poprowadził na północ w okolice Berezyny.

Plan zniszczenia powracającej armii Francuskiej był następujący: Wittgenstein miał na nią uderzyć od północy, Kutuzow z tyłu, a admirał Cziczagow, który się okazał doskonałym generałem na lądzie—miał napasać od południa.

Armia Francuska, po wypoczynku w Moskwie i doprowadzeniu do ładu rozmaitych oddziałów, miała jeszcze 100,000 najlepszych żołnierzy i 600 armat; stan koni był nieświatny.

Powietrze było śliczne, łagodne i czyste. Napoleon ustawicznie myślał o swym planie ruszenia na Petersburg, lecz z każdym dniem, zbliżającym do zimy, generałowie mniej mieli chęci maszerowania na północ—raczej na południe, ku Kałudze i urodzajnym prowincjom.

Trwały jeszcze narady, gdy pewnego dnia—Napoleon odbywał właśnie rewję korpusu marszałka Ney'a, mającego odmaszerować z Moskwy—nadeszła wiadomość, że marszałek polny Kutuzow złamał dn. 18 października zawieszenie broni i z ogromnymi siłami napadł nocą na króla Joachima.

Murat był zupełnie nieprzygotowany; jako człowiek honorowy, polegał był na umowie, obowiązującej obopólnie do uprzedzenia o zakończeniu rozejmu na parę godzin przed rozpoczęciem nowej walki. Ale dzięki szeregowi dzielnych czynów wojennych i zręcznych manewrów, Murat i Poniatowski zdołali się szczęśliwie wydostać, straciwszy tylko część bagażu.

Ten wiarołomny napad pod Winkowo, gdzie Kutuzow wysłał generałów: Baggowutha, Ostermana, Doktorowa, Orłowa, Denisowa i Müllera przeciw Muratowi, Poniatowskiemu i Sebastianiemu, zajmującym właściwie tylko stanowisko forpoczt, zmienił się w rzeczywistości w ważną walkę, z której

Francuzi mogli być dumni. Zwycięstwo to nie miało jednak znaczenia, a cesarz był niezadowolony z Murata, że się pozwolił wywieść w pole.

Teraz cesarz postanowił ruszyć przeciw Kutuzowowi. Opuszczono Moskwę dn. 23 października. Tego samego dnia Napoleon otrzymał wiadomość o sprzysiężeniu Maleta w Paryżu.

Cała ta sprawa miała w rzeczywistości zupełnie podrzędne znaczenie i stała się nawet trochę śmieszną, lecz na cesarzu wywarła wrażenie bardzo przychylnie.

Generał Malet był ciasnym i egzaltowanym republikanem; już w r. 1807 został uwieczony za spiski przeciw istniejącemu rządowi, a w r. 1812 został osadzony w zakładzie dla chorych w Paryżu. Ale pewnego dnia wyskoczył przez okno i pobiegł do miasta. Miał przygotowane proklamacye i mianowania, które zaczął rozdawać, a niebawem przyłączył się do niego szereg młodych ludzi, którzy na prędce przywdziali uniformy i trójkolorowe szarfy.

O godzinie pierwszej w nocy Malet wtargnął do pułkownika Soulier, dzielnego lecz głupiego oficera, który w dodatku nie znał Maleta. Tu przedstawił się jako generał Lamotte, oświadczył, że właśnie przybywa z Rosyi z wiadomością, że cesarz umarł 8 października i zażądał, by mu natychmiast oddano na rozkazy część wojska.

Soulier dał się otumanić i dał mu 1200 żołnierzy, lecz bez patronów i skalek. Na czele tych ludzi generał Malet ruszył do więzienia La Force i oswobodził więzionych tam za polityczne knowanie generałów: Guidala i Lahoriego.

Następnie wydał Malet szereg rozkazów, udał się do komendanta Paryża, generała Hullin i przestrzelił mu policzek. W tejże chwili jednak wbiegło kilku oficerów, a Malet został pojmany i uwięziony.

W międzyczasie tego zajścia, uwolniony z wię-

zienia generał Lahorie, wtargnął do mieszkania ministra policyi, Savary'ego, którego kazał uwięzić i odprowadzić do więzienia La Force.

Ten przewrót jednak nie trwał dłużej nad pół godziny. Gdy Savary i inni odzyskali przytomność, cały zamach został zniweczony; a minister policyi, książę Rovigo, wróciwszy z więzienia do biura swego ministerstwa, zastał już generała Lahorie'go przywiązanego do krzesła.

Savary jednak nigdy nie zapominał tego swego śmiesznego uwięzienia.

Tak przedstawiała się cała ta sprawa. Jednakowoż z faktu, że sama pogłoska o jego śmierci mogła wywołać podobne następstwa, cesarz przekonał się, jak luźną była cała jego ogromna potęga i jak on i dynastia jego słabo zapuścili korzenie w narodzie — poza armią. Nikomu w Paryżu nie przyszło w pierwszej chwili na myśl udać się do owdowiałej cesarzowej i małego następcy tronu.

Cesarz opuścił tedy Moskwę, lecz pozostawił marszałka Mortiera dla wysadzenia w powietrze Kremlu. Wszyscy teraz zrozumieli, że rozpoczął się odwrót i ile w Moskwie bawilo francuskich kobiet, służba i rodzina, wszystko przyłączyło się do długiego pochodu. Pogoda ciągle jeszcze była prześliczna — a żołnierze pełni otuchy.

Napoleon miał zamiar ruszyć dawną drogą do Kalugi, naprzeciw Kutuzowa, lecz nagle zmienił ten plan i inną, nową drogą skierował się ku Kałudze. Postanowił bowiem uniknąć w ten sposób spotkania z Kutuzowem i obchodząc go przejść przez Mało-Jarosławiec. Trudny ten manewr został wykonany szybko i w sposób mistrzowski. Tylko tak znakomite wojsko jak francuskie mogło zmylić rozstawione w okół siły nieprzyjaciela.

Szczęśliwy ten plan byłby się powiódł w zupełności, gdyby Eugeniusz, a raczej generał Delzons

obsadził był miasteczko Mało-Jarosławice całą dywizją, jak cesarz był pierwotnie rozkazał.

Kutuzow jednak odkrył manewr Napoleona i wysłał generała Doktorowa przeciw oddziałom Delzonsa, zbyt słabym do odparcia ataku. Generał Delzons naprawił swój błąd, odzyskując napowrót stanowisko, lecz w strasznej walce, jaka się wywiązała, generał zginął. Było dwóch braci-generałów Delzonsów; gdy jeden padł, drugi podbiegł ku niemu i również zginął, śmiertelnie ugodzony.

Napoleon nadjechał galopem i powstała gwałtowna walka koło Mało-Jarosławca, w ciągu której miasteczko pięcio lub sześciokrotnie zostało utracone i znów odzyskane. Nakoniec przybył Davoust z dywizjami Gerarda i Compansa i odparł Rosyan tak skutecznie, że musieli się wyrzec powstrzymania na tem miejscu pochodu armii, zwłaszcza, że zapadł mrok wieczorny.

Po bitwie pod Mało-Jarosławcem armia francuska nie próbowała już wydawać wielkiej bitwy; mimo wszystkich jej zwycięstw jedynym jej rezultatem było tylko osłabienie sił. Powietrze stawało się zwolna słotne i ostre. Generałowie chcieli przez Możajsk cofnąć się na drogę, do Smoleńska wiodącą, a dn. 26 października Napoleon musiał się poddać ich woli i przyzwolić na odwrót. Dotychczas nigdy w życiu nie poddał się był woli swego otoczenia.

Tymczasem marszałek Mortier dopędził wojska. Wysadził był Kreml w powietrze; odchodzący słyszeli z oddali straszny łoskot.

Podeczas odwrotu z Moskwy zaczęły się właściwe okropności tej kampanii.

Generałowie tracili stopniowo władzę nad zrozpaczonymi żołnierzami; ranni pokotem kładli się wzdłuż dróg; wysadzano w powietrze wozy z prochem, a rozprzężenie szerzyło się w całej armii.

Nawet Davoust nie mógł temu przeszkodzić;

maszerował na samym ostatku z resztkami swego pięknego pierwszego korpusu, mając z jednej strony odpowiedzialność za wszystkich, wlokących się za armią, z drugiej—codzienną walkę z wrogiem. Kutuzow poprzestał teraz na podążaniu w możliwie najmniejszej odległości za armią i trapieniu Francuzów przez kozaków i lekką jazdę generała Platowa.

Jakkolwiek Davoust ze swymi ludźmi z nie-zrównaną dzielnością spełniał tę ciężką służbę, cesarz był tak niesprawiedliwy, że oddalił pierwszy korpus, nie w celu pozwolenia mu na wypoczynek, tak bardzo mu potrzebny, lecz dlatego, że — twierdził — marszałek maszeruje za powoli i za metodycznie.

Cesarz sam szedł na czele swej gwardyi, która wszystko spożywała i wszystko za sobą paliła. Nie widział też całej nędzy nieskończonego pochodu ludzi bezbronnych, których codziennie potrzeba było bronić przed kozakami i zaopatrywać w żywność.

Nie *chciał* nie widzieć, w milezeniu jadąc z Berthierem, który stracił głowę i był prawie nieprzytomny. Od czasu do czasu cesarz zrywał się gwałtownie i w gorzkich słowach wyrzekał na generałów.

Jednego dnia przyszło do gwałtownej sceny między cesarzem a Davoustem; od tego czasu aż do końca kampanii prawie z sobą nie zamienili słowa.

Oślanianie tyłów armii objął teraz marszałek Ney, księżę Moskwy. Dn. 9 listopada, podczas wymarszu z Dorohobusz rozpoczęły się śnieżyce. Wówczas wlokło się za armią niemal 50,000 bezbronnych mężczyzn i mnóstwo kobiet.

Cała jazda—z wyjątkiem gwardyi—straciła już była konie. Zwierzęta wymęczone były do ostateczności po bagnach i uciążliwych drogach; a gdy teraz nastały mrozy, okazało się, że konie francu-

skie absolutnie się nie nadają do kampanii rosyjskiej podczas mrozu i gołoledzi.

W drodze z Dorohobusz do Smoleńska otrzymano wiadomość, że wojska rosyjskie, naprzeciw którym teraz zdążano, nadciągają z północy i z południa, by się połączyć nad Berezyną i koło bagien, ciągnących się wzdłuż tej rzeki. Tym sposobem został zniweczony plan Napoleona: wypoczęcia w Smoleńsku, zaopatrzenia się w środki żywności i zjednoczenia z nowymi wojskami.

Podczas tego marszu, a mianowicie przy przeprowianiu się przez rzekę Wop ucierpiał bardzo korpus wicekróla; zabrano mu cały bagaż, wszystkie armaty, przyczem wielu ludzi straciło życie.

Od najwcześniejszych czasów Bonapartego, Ney brał udział we wszystkich wielkich bitwach i wszędzie, gdzie chodziło o wykonanie śmiałych manewrów. Mimo to imię jego pozostanie po wsze czasy najściślej związane z odwrotem armii francuskiej z Rosyi.

Niezwykły ten człowiek, o niezłomnej woli i żelaznym organizmie, nie znał znużenia i choroby, sypiał na gołej ziemi, lub czuwał dniem i nocą, jadł lub znosił głód, a wszystko to zdawało mu się nie czynić żadnej różnicy. Podczas tego odwrotu z Moskwy szedł przeważnie pieszo pośród swych ludzi, a nieraz, zabrawszy z sobą pięćdziesięciu do stu ludzi, wiódł ich jak zwykły kapitan piechoty w ogień kul i granatów. Zawsze był spokojny i pogodny; uważał się za niedosiężonego przez kule i zdawał się nim być rzeczywiście.

Wśród walki wyrывał nieraz umierającemu żołnierzowi broń z ręki i sam dalej nią walczył. On to budził śpiących i pędził ich w bój, nie dając się wzruszyć przez rannych, proszących o ambulans. Odpowiadał szorstko, że sam ma tylko dwie nogi, by iść naprzód, a możliwem jest, że nazajutrz on też legnie na drodze.

„Niewielu tylko jest ludzi z żelaza—powiada Thiers—jednakowoż wolno być twardym dla innych tylko wówczas, gdy się nim jest dla siebie.”

Na drodze między Dorohobuszami a Smoleńskiem Ney rozpoczął bohaterskie, codziennie się powtarzające walki, by ocalić cesarza i resztki *la grande armée*.

Śnieg sypał teraz gęstymi płatami, a mroźny wicher szalał po wielkich płaszczyznach. Prawie już nie było koni i wszyscy szli pieszo. Niektórzy, zmożeni trudem, kładli się wzdłuż drogi, innym, pomarżyły ręce i nogi, a wszyscy cierpieli głód. Nieliczni uzbrojeni musieli bezbronnych bronić przed kozakami, którzy dniem i nocą ciągnęli za smutnym pochodem, pojedynczo chwyтали nieszczęsnych, rabowali ich i męczyli, a potem zostawiali wśród szczerego pola, gdzie ginęli z zimna i głodu.

Mimo to, wśród całego tego rozprzężenia i nędzy pozostało jeszcze jądro oficerów i żołnierzy — starzy towarzysze cesarza — którzy w walce tej okropnej zachowali zimną krew i siłę, budzącą u Kutuzowa szacunek. Cesarz sam znosił nieszczęście, jak mężczyzna, chłodno i nie chcąc patrzeć na szczegóły, a w głowie roił już nowe plany.

Odstąpiwszy od swego planu i pozwoliwszy go sobie narzucić przez drugich, cesarz nie umiał już rozkazom swym nadawać tej siły, którą trafiał w samo sedno, nigdy nie chybiając celu.

Wydał rozkaz, by armia w trzech oddziałach wyruszyła z Dorohobusz w następujących po sobie przerwach jednodniowych. Z tego wynikło, że cesarz, ze swą gwardyą pierwszy wkroczył do Smoleńska, zajął wszystkie wolne miejsca i zaopatrzył się w środki żywności. Nie było jednak zapasów tych w takiej ilości, na jaką Napoleon mógł liczyć, wnosząc z rozkazów jego i poleceń.

Gdy więc kolejno przybyły inne oddziały wojsk, powstał straszny zamęt. Plądrowano maga-

zyny, waleczono o kwatery, ustala wszelka dyscyplina, a nieład ostatecznych dosięgnął granic. Mała więc była radość z tego pobytu w Smoleńsku, gdzie Napoleon spodziewał się zreorganizować najlepsze części armii, a w każdym razie znaleźć wypoczynek i poddostatkim żywności. W tym samym więc nieładzie i tej samej nędzy ruszono stąd dalej, by dosięgnąć mostu na Orszy.

W Smoleńsku otrzymał Napoleon wiadomość, że generał d'Hilliers został zupełnie pobity pod Elna. Cesarz w niełasce odprawił go do Paryża. A chociaż powrót do ojczyzny mógł być godnym zazdrości wobec okropności tej kampanii rosyjskiej, to jednak dumny oficer tak sobie wziął do serca tę obrazę, że nie dotarł dalej jak do Berlina. Tu dzielny generał umarł ze zgryzoty. Od pierwszych wypraw włoskich był stale w pobliżu Napoleona; do Egiptu mu nie towarzyszył, otrzymawszy na Malcie pozwolenie powrotu do Paryża, gdyż ogromnie tęsknił za żoną.

Resztki armii, obciążonej 60,000 ludzi bezbronnymi, nieujętych żadną dyscypliną, opuściły Smoleńsk w dotychczasowym porządku: dn. 14 listopada cesarz, następnie Eugeniusz z Davoustem 15 listopada, a na koniec Ney 16 listopada.

Kutuzow, po gwałtownej bitwie pod Mało-Jaroslławcem, począł już ze swem wojskiem uciekać i przez chwilę obie armie stały od siebie odwrócone. Z chwili tej mógł być Napoleon korzystać, gdyby był tym, co dawniej. Teraz Kutuzow dopędził francuską armię na czele olbrzymich wojsk; cesarzowi pozwolił przejść aż do Krasnoje, lecz Eugeniuszowi i Davoustowi zastąpił drogę swem ośmdziesięcioletniem wojskiem pod wodzą Rajeńskiego i Miloradowicza.

Dywizya Delzonsa, która teraz przeszła pod komendę generała Guillemina, część kawalerii Broussieres'a i generał Ornano zdolali się przebić.

Wicekrólowi udało się zręcznym manewrem zmylić Rosyan i przejść mimo. Ale Davoust został odcięty, nie mówiąc już o Ney'u, oddalonym jeszcze co najmniej o dzień marszu.

Napoleon powinien był teraz z gwardyą i innymi towarzyszącymi mu oddziałami dosięgnąć Orszę, by się połączyć z marszałkiem Victorem i resztą wojsk rezerwowych, lecz niepokoił go los ciągnących za nim obu marszałków. Przez parę dni ostatnich cesarz był w stanie głuchej apatii, z której się teraz otrząsnął i nagle objął osobiście dowództwo. Z laską w ręku, cesarz pieszko na czele gwardyi znów wracał z Krasnoje, by zastać Davoustą w strasznym ogniu artyleryi, z trzech stron na niego skierowanym.

Drobne siły, z jakimi szedł na masy Rosyan, składały się z resztek dobrych korpusów: młoda gwardya pod marszałkiem Mortier, kilkuset jeźdźców ze sławnych dragonów Latour Maubourga i słaba artylerya pod niewzruszonym Drouotem. Generał Claparède miał tymczasem bronić Krasnoje przed Rosyanami, którzy byli wszędzie. W toku walki generał Laborde otrzymał od marszałka Mortier rozkaz, by się powoli zaczął cofać. Krzyknął swym ludziom: „marszałek rozkazał: powoli! a zatem zwykłe tempo marszu.” I żołnierze cofali się w karnym porządku, stopniawszy do kilku zaledwie tysięcy.

Kutuzow raz jeszcze pozwolił sobie zaimponować; odwołał do siebie siły Miloradowicza, z czego korzystając Davoust wśród wielkich strat zdołał się przebić i połączyć z cesarzem.

Ale o Neyu, oddalonym o cały dzień marszu, żadnej jeszcze nie było wieści.

Tymczasem szło przedewszystkiem o dotarcie do Orszy. Napoleon przed wymarszem pozostawił niejasny rozkaz, nie chcąc brać na siebie odpowiedzialności za pozostawienie marszałka Neya bez pomocy.

Davoust miał czekać na Ney'a, brzmiał rozkaz, lecz jednocześnie miał towarzyszyć marszałkowi Mortier. Gdy więc Mortier w oznaczonym czasie musiał wyruszyć, Davoust zmuszony był iść za nim.

Pierwszem miejscem spotkania było Liady, gdzie też wszyscy nadeśli, w najwyższym stopniu niespokojni o Ney'a, którego ostateczna zagłada zdawała się teraz nieuniknioną.

Marszałek Ney miał przy sobie 7,000 ludzi, z którymi miał się przebić przez 50,000 Rosyan. Jego generałowie: Ricard, Dufour i dzielny pułkownik Pelet cztery razy złamali pierwsze szeregi Miloradowicza. Ale 7,000 żołnierzy stopniało do 3,000 a tych marszałek z nastawionymi bagnietami poprowadził do ataku na wzgórze, gdzie stała cała armia i olbrzymia artyleria. Za nim ruszyli generałowie Marchand, Ledru i Razoul. Zostali odparci; Ney ponownie zebrał swe siły, o ile się to dało, sam spokojny i stanowczy jak zawsze.

Wówczas przybył pułkownik od Miloradowicza, wzywając marszałka Ney'a, by się poddał. Ney jednak nie chciał się ani poddać, ani ustąpić, chociaż ludzie jego padali w okół niego jak kłosa.

Pułkownik Pelet siedział na koniu, obie nogi i ramię mając strzaskane od kul. Poddął on marszałkowi myśl cofnięcia się ku wsi Dubrowna, gdzie znajdował się most na Dnieprze. Ney usłuchał tej rady, lecz, przybywszy do Dubrowny, zastał most zerwany. Davoust przeszedł tedy przed chwilą i wysadził za sobą most. Nie było innego wyjścia jak przebyć rzekę o cienkiej powierzchni lodu. To też Ney uczynił nocną porą; przedostał się na drugi brzeg i dotarł do Orszy z 1500 ludźmi. Tyle mu pozostało.

Mimo to wielka była radość, gdy bohater przywlokł się ze swymi zmarzniętymi, nawpół nieżywymi ludźmi, którzy na chwilę mogli wypocząć zaczerpnąć sił obok swych towarzyszy.

Napoleon, którego stosunek do Davoust'a był już poprzednio napięty, okazał się o tyle niesprawiedliwy, że popierał tych, którzy twierdzili, że Davoust opuścił był Neya, gdy w rzeczywistości książę Eckmühl postąpił tylko podług wyraźnego rozkazu cesarza.

W Orszy było co najwyżej 25,000 zbrojnych ludzi i tyluż maruderów—jednem słowem ósma część wielkiej armii, która w czerwcu przeprowała się przez Niemien.

Tu spalono teraz wszystkie wozy, wszystkie papiery cesarza i dwa kompletne treny mostowe.

Wieści od marszałków Victora i Oudinota były druzgocące. Wittgenstein, nadciągający z północy, a Cziżagow od południa niewątpliwie spotkają się nad rzeką Berezyną i stanowczo, po raz ostatni, zamkną odwrót armii.

Dn. 22 listopada Napoleon otrzymał wiadomość, że jego dzielny polski generał, Dąbrowski, jeden z towarzyszy broni z Egiptu, został pobity przez Rosyan pod Borysowem, wskutek czego Francuzi utracili jedyny swój most nad Berezyną.

Napoleon odbył teraz naradę z pierwszymi generałami inżynierii. Byli nimi: Lariboisière, Chasseloup, Eblé, Haxo i Szwajcar, generał Jomini, uchodzący za wielkiego taktyka.

Poniżej Borysowa niepodobna się było przedostać; należało ruszyć dalej na północ, trzymając się źródeł rzeki i tam spróbować się przeprować. Bo wydało się wszystkim niepodobieństwem rzucić most w obliczu nieprzyjaciela nad taką rzeką jak Berezyna.

W tem wśród wszystkich tych nieszczęść zdarzył się wypadek pomyślny.

Generał Corbineau, brat tego, co padł u boku cesarza w bitwie pod Iłowem, nadciągnął od zachodu z prawego brzegu rzeki. Przebił się z siedmiuset jeźdźcami przez linie Wittgensteina i dotarł

do brzegu rzeki właśnie w chwili, gdy jakiś chłop rosyjski, dobrze znający okolicę, w bród przebywał Berezyne.

Dzięki temu odkryto płytkie miejsce koło Studzianki, a wszyscy natychmiast się zgodzili, że jedyny to sposób uniknięcia niewoli lub zagłady.

Zręcznymi manewrami udało się zmylić czujność Cziczakowa, który sądził, że Francuzi zechcą się przedostać poniżej Borysowa i bród koło Studzianki pozostawił niestrzeżony.

Wogóle pozostaje niewyjaśnionym takt, że Rosyanie tak silni liczebnie i wiedząc o co chodzi, mogli pozostawić przejście to niestrzeżone.

Generał Eblé tymczasem zabrał się ze swymi ludźmi natychmiast do roboty, by co prędzej rzucić nad rzeką dwa mosty. Był on tak ostrożny, że gdy Napoleon kazał spalić treny mostowe, on ocalał kilka wozów, część narzędzi, okuć i węgli. Przy pomocy Chasseloupa ocalał on wraz ze swymi doskonałymi budowniczymi resztki armii i osobę cesarza.

Dzieło to słusznie stało się tak samo sławne jak wielki czyn wojenny. Rzeka była w niektórych miejscach do ośmiu stóp głęboka, przytem silny prąd pokryty był bryłami lodu. Musiano sobie pomagać belkami, drewnianymi brykami i wszystkim, co tylko mogło pływać; przytem podczas całej roboty oficerzy i szeregowcy musieli pracować w wodzie i pod wodą.

Most w ciągu budowy trzykrotnie się rozpadł, a stary generał Eblé sam musiał wchodzić do rzeki. Tego dzielnego człowieka sławią ogólnie jako wzór oficera, tak ze względu na imponującą powierchowność, jak na charakter. W armii mówiono o nim i o Larrey'u, przybocznym lekarzu cesarza, że ci dwaj mogliby od ludzi swych żądać czynów najniemożliwszych, a zawsze zostałyby spełnione.

Była to chyba najcięższa praca, jakiej można było żądać od ludzi: w największym pośpiechu wśród najrozpaczliwszych warunków stawiać mosty dla armii nawpół zdeorganizowanej—bo taką była wówczas armia francuska. Gdy jednak mosty były gotowe, wojsko przepравиło się w porządku. Na zachodnim brzegu spotkali forpocztę Victora i Oudinota. Młodzi żołnierze z przerażeniem spoglądali na zniszczone i upokorzone szczątki wielkiej armii.

Gdyby maruderzy byli chcieli, mogliby się również byli przepравиć na drugi brzeg w nocy z dn. 26 na 27 listopada. Ale demoralizacja doszła do takich granic, że zamiast się ratować, rozłożyli się na wschodnim brzegu koło bagaży i kilku znajdujących się tam domostw.

Gdy nieprzyjaciół zobaczył wreszcie, że Francuzi przedostają się na drugi brzeg i ze wszystkich stron zaczął nadciągać, koło mostów powstał tak straszny zamęt i ścisk, że mnóstwo ludzi zginęło w najokropniejszy sposób. Nazajutrz rano, t. j. 29 listopada miano spalić mosty, by Rosyanom uniemożliwić dalszy pościg. Eblé i Victor zadawali sobie wszelkie trudy z ogłupiałymi maruderami, którzy nie chcieli się ruszyć ze wschodniego brzegu.

Ale o pół do dziewiątej rano, gdy Rosyanie napierali już całą siłą, generał Eblé sam podpalił swe mosty. Wówczas dopiero nieszczęśni maruderzy zrozumieli całą grozę swej sytuacji i rzucili się ku mostom, lecz było już zapóźno. Kozacy rzucili się na nich, część zamordowali, a resztę, niby trzode bezbronną zapędzili do zimnej Rosyi, gdzie zginęli wśród najstraszliwszych męk.

Podczas przeprawiania się przez mosty, po obu stronach rzeki toczyła się walka i resztki artylerii francuskiej po raz ostatni odpowiadały olbrzymiej przewadze rosyjskich armat.

Było tu jak w symfonii Czajkowskiego, gdy milkną ostatnie tony Marsylianki, a całe stronic

partytury pod Berezyną, nie zawierają nic, prócz bezlitosnego szczęku szabel, które świszczą, świszczą, świszczą bezustanku, aż na koniec wielka matuszka Rosya znów każe dźwięcznym, poważnym dzwonom rozbrzmiewać po krwawych równinach.

W walce na wschodnim brzegu, toczącej się podczas przeprawy armii francuskiej, marszałek Victor, książę Belluno, dokonał arcydzieła waleczności i roztropności, które mu Napoleon źle nagrodził, czyniąc mu zrzuty, że zginęło tylu maruderów. Tylko jeden oddział korpusu Victora, pozostający pod komendą generała Partouneaux, zabłąkał się podczas walki i został pojmany w niewolę. Był to w ciągu całej tej kampanii jedyny oddział francuski, który z bronią w ręku został ujęty.

Rano 28 listopada, marszałek Oudinot, którego pod tym względem stale prześladowało nieszczęście, znów został ciężko ranny i musiano go wynieść z pola bitwy. Na jego miejsce objął dowództwo Ney, do którego w dalszym ciągu odwrotu przyłączyli się: Lefebvre Desnouettes — stary Lefebvre, książę Gdańska brał udział w całej kampanii — generałowie dywizyi: Maison i Legrand, oraz generał kawalerii Dumerc.

Maison pomagał Neyowi podczas odwrotu. Legrand był jednym z wielkich generałów piechoty z dobrych czasów. Był pod Fleury i pod Hohenlinden i we wszystkich późniejszych bitwach. Po Tylży otrzymał tytuł hrabiowski. Napoleon ożenił go z młodą córką generała Scherera, która szanowała swego starego bohatera i do nowych podniecała go czynów. Pod Berezyną Legrand pierwszy się przeprawił i naglił do pośpiechu. Tu został ranny. Żołnierze nieśli go przez długi czas, lecz zmarł im po drodze. Znów jeden z tych, co byli Napoleonowi najbliżsi.

Wśród oficerów poległych i rannych pod Berezyną widnieją znów najlepsze nazwiska: Da-

browski, Fournier, Girard, Claparède i Polak Zajączek, który stracił tu nogę. Po bitwie pod Berezyną armia powlokła się w kierunku Smorgonia. Wiedzano, że Maret, książę Bassano nagromadził w Wilnie znaczne zapasy; następnie, że bawarski generał Wrede jest w pobliżu, gotów przyjść z pomocą, a oprócz niego byli jeszcze inni generałowie z rezerwowymi siłami.

Dn. 3 grudnia przybyło niemniej jak czterestu kuryerów z Paryża, którzy pędzili tu i tam, szukając cesarza. Przez 21 dni Europa nie miała żadnych wieści o wielkiej armii.

Cesarz zreagował wówczas dwudziesty dziwny biuletyn, datowany z 3 grudnia 1812 roku, w którym, nie nie ukrywając, otwarcie przedstawia straszny stan armii i wszystkie nieszczęścia odwrotu. Dziwnie dość kończy to sprawozdanie słowami: „cesarz nigdy się nie czuł lepiej“.

Czy sam może czuł, że chory był podczas wyprawy, czy też wiedział przez Fouché'go, że szepetano o tem w Paryżu, lub może sądził, iż podziela to krzepiąco, że bądź co bądź on pozostał nietknięty i gotów klęskę powetować?

Pomylił się w swych przypuszczeniach. Biuletyn 29-ty, a zwłaszcza zakończenie, mocno mu zaszkodziły w opinii narodu.

Generał Heudelet nadciągnął od Niemna z 10,000 żołnierzy, generał Loison z taką samą siłą z Wilna. Zdawało się jednak, że ci na pozór tak silni żołnierze po to tylko przybyli, by wśród mrozu i nędzy zginąć wraz z bezładną masą, którą zastali.

W Smorgoniu cesarz opuścił potajemnie swą armię i dn. 5 grudnia wyjechał na zachód. Zabrał z sobą Coulaincourta, Duroca, Moutona i Lefebvre-Desnouette'a. Najkrótszą drogą, przez lody i śniegi ruszyli w zwykłych chłopskich saniach. Po drodze cesarz spotkał Mareta i wraz z nim odbył przegląd wielkich zasobnych magazynów w Wilnie.

Tu nagromadzone były zapasy wszelkiego rodzaju dla 100,000 ludzi na dni czterdzieści.

Stąd mały orszak ruszył przez Warszawę i Drezno, dokąd przybyli dn. 15 grudnia, dalej przez Lipsk i Moguncję; a dn. 19 grudnia w nocy Napoleon znów był w Tuileryach i trzymał na ręku małego króla Rzymu.

Potajemna podróż skroś Europy odbyła się bez żadnej złej przygody.

Zrozumiałem jest, że armia — a raczej smutne jej szczątki — w ciężkiem swem położeniu gorzko odczuła odjazd cesarza. Istnieje pewna pociecha — zupełnie zresztą słusznie — w fakcie, że sprawca nieszczęścia, do ostatniej chwili pozostaje na gruzach swego dzieła; jako dobry towarzysz, któremu dla tej właśnie wierności wiele się przebacza.

Ale Napoleon nie był dobrym towarzyszem. I w Egipcie, i tu nie myślał tylko o sobie i swej potędze, jak zresztą sam powiedział, opuszczając Smorgoń: „Jestem silniejszy, przemawiając z mego tronu w Tuileryach, niż na czele armii, zniszczonej przez mrozy“.

A to wyrozumowanie było dla niego powodem wystarczającym. Nie był on wcale obojętnym dla swych ludzi. Niewielu generałów przed nim uczyniło tyle dla dobra żołnierzy, zarówno w domu jak na polu bitwy. Wszelako wojsko było dlań tylko siłą, którą mógł rozporządzać. Co było zniszczone i stracone, o to się nie troszczył, gdyż było mu już nieprzydatnem. Co go to kosztowało, nikt nie wie, lecz inaczej postępować nie mógł.

Opuszczając Wilno, liczył on na znajdujące się tamże zapasy. Na północy stał marszałek MacDonald ze świeżemi siłami, a na południu jego austriaccy sprzymierzeńcy pod Schwarzenbergiem. Te i inne nadciągające siły chciał zgromadzić w Wilnie, a Niemen miał tworzyć wał obronny przed walącym od wschodu nieprzyjacielem. Te swoje idee

powierzył Berthierowi. I nie jest wykluczonem, że jemu, wielkiemu hetmanowi, mogłoby to wystarczyć do zamienienia klęski w zwycięstwo. I przedtem bywał już w ciężkiem położeniu, lecz nigdy jeszcze nie stracił był wiary w siebie.

Ale teraz dopiero spadło istotne nieszczęście: silne mrozy. W nocy po wyjeździe cesarza ze Smorogonia był mróz, przekraczający 28° Réaumura, a z resztek armii wymierało codziennie po kilka tysięcy. Nawet świeże wojska, które stały w Wilnie, marnie teraz ginęły, gdyż książę Bassano kazał im ruszyć do Smorogonia naprzeciw cesarzowi i dla niesienia pomocy wyniszczonej armii.

Ale wobec nagłego i strasznego wprost obniżenia się temperatury w tych dniach, młodzi ci żołnierze—przeważnie Włosi—prawie wszyscy na śmierć zmarzli po drodze. Dowodzącymi generałami byli tu: Heudelet i Loiseau jednoręki; następnie pułkownik Coutard, krewniak Davoust'a i Franceschi, Włoch; z ich brygad w ciągu 5 lub 6 dni zmarzło na śmierć 10,000 ludzi.

Podług zlecenia cesarza, naczelne dowództwo miał teraz objąć Murat, ze względu na swą godność królewską. Jednakowoż człowiek ten tak zuchwał w bitwie, zupełnie teraz stracił głowę. Berthier był i pozostał chorym i apatycznym. Davoust chmurny i obojętny nie mówił słowa, chyba, że wydawał rozkazy. On był może tym, który najwięcej cierpiał, zmuszony patrzeć, jak wszystko się rozprzega i w niwecz obraca: komenda i karność, zaufanie do cesarza, łączna praca generałów; i jak własne jego wzorowe oddziały zamieniają się w luźną zdemoralizowaną bandę, z dnia na dzień przebijającą się ku rychłej ostatecznej ztratcie.

W owych czasach pozostał jeden Ney, niezrównany Ney, na którego barkach wszystko spoczęło.

Trudno zrozumieć, dlaczego ten generał wczesnie już zdobył sławę najwaleczniejszego z walecz-

nych, bo wszak walecznymi byli oni wszyscy; i nie mogło być inaczej. Koło takiego dowódcy jak Napoleon mogli być tylko ludzie, nie znający trwogi,

Gdy mimo to niektórzy z nich zyskali szczególną sławę, jak Ney i Murat, to w odwadze ich musiało być coś niezwykłego, coś, przekraczającego zwykłą odwagę i pogardę śmierci, a przytem zapal, udzielający się innym i podniecający ich do walki na śmierć i życie u boku mężnego wodza.

Nikt nie umiał z równą pogardą śmierci, rok po roku iść z walki do walki, jak Joachim Murat; i nikt też nie posiadał w równym stopniu pięknego daru udzielania własnego męstwa drugim. Gdy się wspiał na swego rumaka bojowego — piękny mężczyzna we wspnianym aksamitnym stroju barwy amarantowej, białe, niezmiernie długie strusie, spływające od kapelusza pióra, uzbrojenie i siodło błyszczące złotem i drogimi kamieniami—dyabel wstępował w szeregi; człowiek i koń pędzili bez opamiętania i nie nie mogło się im oprzeć.

A jednak okazało się, że ten rodzaj odwagi nie przekracza pewnych granic.

Król Joachim upadł na duchu, gdy nie stało rumaków bojowych, ni jeźdźców o błyszczącej broni i fruwających dolmanach. Pozostał tak samo nieustraszony jak dawniej, lecz męstwo jego straciło całą świetność, gdy nie mógł już komenderować, a mógł tylko ratować armię, która niestety nie była już nawet armią.

Poczucie obowiązku i męska odwaga ustąpiły przed innemi uczuciami. Musiał myśleć o swym pięknym Neapolu i tej koronie, której ciągle musiał się dotykać, czy istotnie jest jeszcze na jego głowie. Teraz miał wrażenie, że korona ta się obłuźniła i stracił chęć i odwagę rozbijania się co dnia z kokami.

Wówczas okazało się, że Ney posiada tę wytrwałość, właściwą żołnierzom od piechoty. Tu nie

ma wspaniałych koni, ni szalonych szturmów, lecz zato wytrwałe męstwo w codziennej walce, sztuka utrzymania się na własnych dwóch nogach, dotarcia tam; gdzie potrzeba i cofania się z godnością.

Takim był także Lannes; poza tem książę Montebello był pod każdym względem bardziej uzdolniony niż biedny książę Moskwy, mający jedynie swą odwagę.

W Wilnie poszło tak samo jak w Smoleńsku. Wyglodzeni żołnierze rzucili się na ogromne zapasy, plądrowali wszędzie, waleząc o jadlo i napój, wśród strasznego zamętu. Nie było już ani jednego korpusu, któryby miał pod chorągwią choćby resztki wojska. Gdy marszałek Victor, którego korpus miał właściwie tworzyć awangardę, stanął u bram Wilna, nie miał przy sobie ani jednego żołnierza. Z nowo przybyłej dywizyi Loison pozostało zaledwie 3000 ludzi i niemal tyłu ze starej gwardyi.

Dn. 9 grudnia pierwsze oddziały Kutuzowa spadły na Francuzów, plądrujących Wilno. Ney i stary książę Gdańska latali po mieście. Zbierając ludzi do obrony, Murat natomiast nie próbował nawet bronić miasta, lecz nocą uciekł do Kowna.

Bawarski generał Wrede ofiarował się marszałkowi Neyowi, że przy pomocy 60 jeźdźców, których jeszcze miał do dyspozycyi wyprowadzi go z miasta. Lecz Ney wskazał rój uciekinierów, zalegających ulice, a których należało ratować i nocą wyprowadzić z miasta. Przysiągł, że wszyscy kozacy z całego świata nie zdołają jego, ni jego pięćdziesięciu grenadyerów przed ósmą z rana dnia następnego wypędzić z domu, w którym się zabarykadowali i skąd panowali nad bramą, uniemożliwiając Rosyanom wstęp do miasta.

Tysiące rannych pozostało w Wilnie, by znaleźć śmierć pod razami kozaków. Nadto było mnóstwo maruderów, którzy, głuchą rozpaczą ogarnięci,

woleli pozostać w domach, niż wystawiać się na zimno, dochodzące 30° Réaumura.

Mile za Wilnem cały ten nędzny pochód zatrzymał się przed nieznacznym wzgórzem. Droga była tak ciężka i śliska, że ludzie i konie padali, a armaty i wozy ześlizgiwały się wstecz.

Tu stracono wiele rosyjskich chorągwi i trofeów, nadto kasę wojenną, zawierającą 10 milionów w złocie.

Marszałek zaczął przedewszystkiem rozdzielać złoto między gwardzistów — a każdy z nich, o ile tylko wrócił do Paryża, oddał powierzoną mu kwotę w kasie państwowej — lecz za zbliżeniem się kozaków rozluźniła się wszelka karność i powstał ogólny rabunek, którego dokonali kozacy, rozpędziwszy Francuzów.

Dn. 12 grudnia uciekający wpadli do Kowna, gdzie powtórzyły się te same sceny, co w Smoleńsku i Wilnie, tylko jeszcze dziksze i okropniejsze. Jak dzikie zwierzęta żołnierze rzucali się na zapasy żywności, a wielu na śmierć się upiło gorzałką.

Murat zwołał tu radę wojenną, podczas, której wszyscy miotali wściekle oskarżenia przeciw cesarzowi — tylko Ney i Davoust nie rzekli słowa. Ney oświadczył gotowość bronienia Kowna długo: aż uciekający zdołają przeprowić się przez Niemen do Królewca lub do zimowych kwater Macdonalda, znajdujących się w pobliżu. Naznaczono miejsca spotkania dla rozmaitych korpusów, poczem wszyscy generałowie ruszyli do Królewca, pozostawiając w Kownie Neyą.

Teraz nie było już cienia z wielkiej armii — wszystko zniknęło. Ney miał przy sobie tylko kilku adjutantów, gdy wjeżdżał do Kowna. Tu zastał 400 ludzi pod generałem Marchand i 300 żołnierzy niemieckich. Rosyjanie następowali mu prawie na pięty, usiłując wtargnąć przez bramę, zwróconą ku drodze do Wilna. Ney pobiegł natychmiast ku za-

grożonej bramie, lecz cztery armaty, które tam zastał, były zagwożdżone, a artylerzyści uciekli. Także niemieccy żołnierze rozbiegli się na wsze strony, gdy dowodzący nimi oficer z rozpaczy się zastrzelił.

Ney się jednak nie poddał. Postanowiwszy bronić Kowna do następnego dnia, marszałek sam chwycił za broń i strzelał jak prosty grenadyer, a za jego przykładem poszedł orszak wysokich oficerów. General Gerard, który zaszczytnie wytrwał u boku Ney'a podczas tych ostatnich konwulsyjnych momentów kampanii, zebrał był 30 ludzi i wraz z nimi bronili bramy Wilna, powstrzymując całą armię rosyjską.

Adjutantowi Rumigni udało się zebrać inną gromadkę ludzi z 29-go regimentu, a gdy z nimi przybył, Kowno zdawało się być uratowane. Ney uradowany uściskał oficera za tę pomoc. Gdy Marchand co rychlej został wyprowadzony do jedynego mostu nad Niemnem, który był całą ich nadzieją, a obsadzony został przez wroga, Ney walczył przez cały dzień, aż do zmroku utrzymawszy się na swem stanowisku.

Ale w nocy wysunęli się z Kowna, dotarli do rzeki, gdzie marszałek napowrót zdobył most całkiem zniszczony i tak przez Niemen umknęli z Rosyi w liczbie pięciuset ludzi.

Ale kozacy nie dali im jeszcze spokoju. Przy małym wzniesieniu na drodze, znów wszystko przystało. I tu też pozostawiono wszystko, z czem się tak długo wleczone po ciężkich drogach. Kozacy rozpędzili w mroku pozostałych 400 czy 500 ludzi, że oprócz kilku oficerów nikt już prawie nie pozostał przy Neyu i Gerardzie. General Marchand inną umknął drogą. Nakoniec przybyli do Królewca.

Odtąd nie było już ani najdrobniejszej części armii pod bronią. Dalszy odwrót był prosto ucieczką małych grup, zmykających przez polskie równiny przed kozakami, którzy ścigali ich jeszcze

kilka mil za Niemnem. Tu rosyjska jazda zawróciła, a armia cesarza, która również straciła dwie trzecie swych sił, nareszcie zaprzestała walki.

Stara gwardya, przez cały czas kampanii najmniej narażana — po części ze szkoda dla innych wojsk — ze swych 7,000 ludzi mogła w Królewcu zebrać zaledwie 500; była to jedyna zbrojna resztką z wielkiej armii. Młoda gwardya zupełnie została zniszczona, a inne korpusy zniknęły bez śladu.

W Królewcu leżało 10,000 chorych i rannych, wśród których wybuchła choroba, przez ówczesnych lekarzy zwana zimnicą. Sam lekarz naczelny, bohaterski Larrey uległ tej chorobie, a jej ofiarą padli także generałowie Lariboisiere i Eblé; z ich stu wyborowych budowniczych mostów zaledwie dwunastu uszło z życiem po strasznych dniach nad Berezyną.

Ogółem zginęło podczas wyprawy Napoleona do Rosyi 300,000 żołnierzy, nadto mnóstwo kobiet i osób cywilnych, których liczby nie dało się ściśle oznaczyć.

W Królewcu zgromadzili się generałowie bez wojsk. Oburzenie na cesarza było ogólne, lecz niemal wszyscy byli przez długi czas jakby bezprzytomni z nieszczęścia i niesłychanych trudów.

W tym czasie rozpoczęło się odpadanie obcych wojsk posiłkowych, które trwało aż do nowego roku. Wprawdzie oficerowie i wojska złożyły były Napoleonowi i francuskim sztandarom rodzaj przysięgi i podłym było postępkim, gdy w 1813 r. wojska niemieckie wśród walki przeszły do swych ziomków, aby strzelać do szeregów, które dopiero co opuściły. A jednak! podług naszych pojęć narodowościowych musiały przecież zerwać nienaturalny przymus i przyłączyć się do swych ziomków,

celem zrządzenia nieznośnego jarzma, przez długi czas nakładanego Europie przez Francję.

Pomiędzy rosyjskim generałem Dybiczem a pruskim generałem Yorkiem, który ze swymi ludźmi stanowił główną część korpusu Macdonalda, doszło do skutku potajemne zawieszenie broni. Dnia 31 grudnia generał York odmaszerował ze swymi regimentami, a marszałek Macdonald, nie mogąc dłużej utrzymywać Rosyan w pozycji zaszachowanej, musiał się cofnąć z 7,000 Polaków, którzy przy nim pozostali pod wodzą Grandjeana.

Stopniowo stawało się niemożliwością utrzymanie Niemna jako linii obronnej, a rychło musiało też wyrzec się Wiśły. Opuszczono Królewiec i znów Ney był tym, który z resztkami dywizji Heudeleta i Loisona miał kryć odwrót. Wszyscy cierpieli z powodu zimna, a zapasy żywności należało drogo opłacać, lub brać gwałtem. Najbliższą przystanią miał być Gdańsk, gdzie generał Rapp sprawował rządy gubernatora. Zamknął on się teraz w mieście i przygotowywał się do obrony. Stanowisko to Napoleon dawno był przeznaczył dla Rappa, gdyż podczas jednej z bitew w Rosji cesarz wydał już był temu generałowi rozkaz przystąpienia do szturm, gdy nagle się rozmyślił i wysłał innego generała kawaleryi. Słyszano jak do siebie mamrotał: „Rapp potrzebny mi w Gdańsku.“

Murat miał główną swą kwaterę początkowo w Toruniu, a później w Poznaniu. Ale ostatecznie nie mógł już dłużej wytrzymać. Dnia 16 stycznia 1813 r. opuścił armię i poruczone mu przez cesarza stanowisko i uciekł do Neapolu.

Naczelne dowództwo przypadło teraz Eugeniuszowi, wicekrólowi Włoch, który z obowiązku tego wywiązał się ze zwykłą swą punktualnością i prawością. Gdy podczas całej kampanii z zimną krwią i męstwem prowadził swych ludzi przez wszystkie trudy i cierpienia, teraz był tym, który przerwę

ustanowił w odwrocie. Na miesiąc zakwaterował się w Poznaniu, zaprowadził napowrót ład i dyscyplinę, pozwolił ludziom wypocząć i dał im czas do gromadzenia się pod chorągwie. Dnia 21-go lutego wkroczył do Berlina, spaliwszy za sobą mosty pod Krossen i Frankfurtem nad Odrą.

Księżę Szwarzenberg przez cały czas tumaniał Napoleona, trzymając stronę Rosyan. Teraz jawnie odłączył się od Francuzów.

Generał Grenier bawił od 1811 roku we Włoszech i wówczas już otrzymał był od cesarza tajemny rozkaz, by miał na oku Murata, którego słaby charakter cesarz znał aż nadto dobrze.

Teraz, w pierwszych dniach 1813 r. Grenier przybył ze swym korpusem do Berlina, wzmacniając tem samem siły marszałka Angereau o 28,000 żołnierzy. Rapp w Gdańsku miał 25,000, a nadto stało kilka garnizonów w twierdzach nadwiślańskich i w Warszawie. Było to wszystko, co Napoleonowi pozostało w tych stronach ze sił zbrojnych.

VIII.

Wielka była różnica w wyglądzie armii, która swego czasu ze śpiewem ciągnęła do Włoch — nawpół w lachmanach republiki, nawpół w nowych mundurach Bonapartego, a wzorowymi żołnierzami, którzy w 1806 roku wyekwipowani do najdrobniejszych szczegółów, ruszyli pobić starych żołnierzy Fryderyka Wielkiego.

I znów była różnica między tymi żołnierzami a *la grande armée*, w chwili jej wkroczenia do Rosyi.

Wojska te były niewątpliwie najpiękniejsze, jakie kiedykolwiek widziano. Całe uzbrojenie, wyekwipowanie i materyał były zupełnie świeże i nowoczesne, a wiele wojsk cudzoziemskich przyczyniało się jeszcze do podniesienia wrażenia potęgi wszech-obejmującej, która niby olbrzymia rewia popisowa zalała polskie równiny, bo istotnie marsz ten miał w sobie coś z parady wojskowej.

Jako dowód zaślepionej ambicyi Napoleona uważano podjęcie tej wyprawy tak źle przygotowanej, z tak niedostateczną znajomością geografii i klimatycznych warunków kraju. Pchnął go jednak do tego raczej błąd całego jego życia, ten, który

mu kazał wierzyć, że dla niego i jego rodziny istnieje miejsce wśród legitymistycznych władców Europy, a po wszystkim, co przeżył i dokonał, nie mogło mu się wydawać niemożliwem.

Wiedział, że dwory w intrygach swych nie kierują się sentymentem wspomnień, dlatego wojsko musiało być tak silne i atak tak zwarty, aby trwoga zmusiła cesarza do podania ręki. Tylko, że tym razem Napoleon i jego otoczenie nie pracowali może z tak drobiazgową przezornością, jak zwykle, przed rozpoczęciem kampanii.

Wszyscy wyżsi oficerowie szli na tę wyprawę mniej lub więcej niechętnie. Tylko żołnierze rwali się do boju pełni zaufania do swego niezwyciężonego bożyszcza. Przed kampanią tą nie zachowano wszystkich ostrożności, nie zasiągnięto informacji; szpiegry i przekupstwa nie utorowały wszystkich dróg tajnych. Cesarz i cały jego aparat byli już trochę zużyty; nie było dawnej absolutnej ścisłości we wszystkich drobiazgach.

Pod Austerlitz w 1805 r. Napoleon sam powiedział o generale Ordener, tym samym, który aresztował był księcia Enghien: „Ordener już zużyty. Tylko przez krótki czas człowiek nadaje się do wojny. Ja sam wytrzymam najdłużej pięć lub sześć lat—potem muszę zaprzestać“.

Właśnie w siedem lat później był pod Borodino chory i znużony.

To wszystko razem się złożyło, że wyprawa do Rosyi różniła się od wszystkich—nietylko swem nieszczęśliwym zakończeniem. Zaraz na początku brak było przy wmaszerowaniu wojsk tego, co cechowało stale wszystkie wyprawy napoleońskie, począwszy od owego ranka 1796 r. kiedy to wszystkie korpusy wojsk republikańskich punktualnie i w najlepszym porządku spotkały się w blaskach wschodzącego słońca pod Bormidą. Brak było tego niesłychanego porządku i ścisłości. W 1812 r. za-

częło się od tego, że rozkazy zostały fałszywie zrozumiane. Odległości zostały źle obliczone i tracono niepotrzebnie mnóstwo czasu, a nawet w bitwach zwycięskich — ciągle jeszcze odnoszono zwycięstwa — brak było rąk, któreby jak dawniej, umiały z wszystkiego wyciągnąć korzyść.

Caly plan wyprawy był więcej polityczny, niż strategiczny. Mniej chodziło cesarzowi o pobicie Rosyan, a raczej o pozyskanie cesarza. Dlatego wspaniały zjazd monarchów w Dreźnie nosił jakby charakter parady wojskowej, tak samo rozstawianie ogromnych sił zbrojnych i pochód wojsk w kierunku Niemna; a wszystko dokonywało się tak powoli i tuż przed oczyma Rosyi, by cesarzowi pozostawić czas do wyciągnięcia dłoni.

Napoleon nie zrozumiał tego, co mógłby mu wytłómaczyć każdy z nas, urodzonych w sto lat później. Wyobrażał sobie, że potomkowie rozbójnika z Korsyki będą mogli się zjeżdżać z Habsburgami, Hohenzollernami i Romanowymi i zamieniać z sobą pocałunki, których echo odbzmiewa na wszystkich liniach telegraficznych.

Niewątpliwie zbliżał się do nich bardzo. Już w 1806 r. podczas podróży z Tylży do Paryża dopędził go w Marienwerder adjutant króla saskiego z listem treści następującej:

„Cesarz Franciszek prosi o rękę mej córki, Augusty! Co mam uczynić?”

Napoleon przybył do Drezna i udaremnił starania cesarza austriackiego.

— Postąpiłem bardzo źle — mówił później na wyspie św. Heleny. — Obawiałem się, że związek rodzinny z cesarzem Franciszkiem oddali odemnie króla saskiego; tymczasem Augusta byłaby mi właśnie zjednała cesarza Franciszka i nie siedziałbym teraz tutaj!

Zbliżył się do nich tak bardzo, że w tak po-
ufnych sprawach pytali go o radę. W parę lat pó-
źniej cesarz Franciszek dał mu swą córkę za żonę;
a jednak dopiero po klęsce ostatecznej Napoleon
zrozumiał, jaka otchłań dzieliła go od władców
Europy!

Dlatego przykre wprost czyni wrażenie, gdy
Napoleon 25 sierpnia 1805 r. uskarża się przed księ-
ciem Metternichem, że cesarz i nowa cesarzowa
Austrii nigdy nie pytają francuskiego ambasadora
w Wiedniu o zdrowie cesarza Francyi.

— Wszak pan wie—mówił—że ja również nie
zadaję panu takich pytań w celu dowiedzenia się cze-
goś, o czem wiem bez tego. Czynię to tylko po to,
by cały świat wiedział, że istnieje między nami
stosunek, jaki istnieć powinien między dwoma mo-
narchami. Patrz pan, jak zupełnie inny stosunek
łączy mnie z cesarzem Aleksandrem! Przesyłamy
sobie wzajem dary, nie jakoby te dary same przez
się miały jakieś znaczenie, lecz zbliżają nas do sie-
bie. Byłbym waszej cesarzowej posłał ślubny po-
darek, lecz nigdy nie wspomniała nawet mego imie-
nia. Nigdy żadnej uprzejmości z waszej strony!—
A memu ambasadorowi również nie okazuje się tych
względów, co ambasadorowi Bawaryi lub Wirtem-
bergii, wcale już nie mówiąc o ambasadorze z Pe-
tersburga. A drobnostki te mają wielkie znaczenie.

„Wziąłem to—pisze Metternich—ze strony zar-
tobliwej i odparłem:—Sire! natychmiast się postaram,
by z Wiednia wysłano trochę cennej porcelany,
jeśli to posłuży do utrwalenia naszego dobrego
stosunku“.

W r. 1813 przed wyprawą do Saksonii, Napo-
leon powiedział:

— Wojna, którą teraz prowadzę—jest wojną po-
lityczną. Chętnie zaoszczędziłbym Rosyi wszystko
to zło, które sama na siebie ściągnęła. Gdybym
był chciał, mógłbym być zbuntować przeciw cesa-

rzowi masy ludności — proklamując zniesienie pańszczyzny. Wzgardziłem jednak tym środkiem walki, który byłby spowodował ostateczną ruinę niezliczonych rodzin i nieskończone mordy.

Nakoniec — już na wyspie św. Heleny — cesarz powiedział raz w toku rozmowy:

— Niech o tem sądzą, jak chcą, lecz przysięgam, że nigdy nie żywiłem bezpośredniej lub osobistej nienawiści do książąt, przeciw którym podnosiłem broń. Dla mnie było to wszystko ustawicznym sporem politycznym; — tak swobodne, a nawet powiedzieć mogę, tak życzliwe było moje usposobienie. Co prawda — Ludwik XVIII i inni monarchowie uznali mnie za wyjątego z pod praw i o ile sobie przypominam, wyznaczyli cenę na mą głowę. Ale to wszystko było w moich oczach tylko stylem manifestów.

Jakkolwiek wszystko to tchnie wielką naiwnością, to w każdym razie błąd nie tkwił w przeceńnianiu ze strony Napoleona znaczenia, jakie mogło mieć dla niego i jego potomków dostanie się do magicznego kręgu.

Bo pod tym względem miał on słuszość: zarówno wówczas jak dzisiaj władza spoczywa w ręku książąt, a losy narodów w mocy kilku starych rodów.

Napoleonowi jednak, który dopiero co wyszedł był z ognistego pieca rewolucyi — bliższą musiała być myśl zdobycia miejsca w kole książąt, niżli nam, którzy, oddaleni długim przeciągiem czasu od wielkiego obrachunku z królami i ostudzeni całowiekową reakcyę, znów się oswoiliśmy z dawną niedorzecznością, że do kierowania współczesnymi państwami potrzebne są rody królewskie — tak samo jak za lat chłopięcych wmawialiśmy w siebie, że w prawdziwej lukrecyi musi być krew z kota.

Po powrocie do Paryża, Napoleon podjął natchmianst zwykły tryb życia, jako niezmordowana głowa państwa, pełen lodowatego spokoju, którym chciał okazać, że czuje się wyższym nad wszelkie zrządzenia losu. Ale wszędzie, na wszystkich twarzach czytał rezultat klęski i swego 29-go biuletynu, w którym tak otwarcie przedstawił całe nieszczęście. I teraz nie starał się przesłonić tej sprawy frazesami lub wybiegami, lecz z przesadną gorliwością, rzucił się na aferę Maleta. Z wielką ostentacją kazał uwięzić prefekta Frochot'a i wdrożyć śledztwo.

Po części czynił to niewątpliwie w celu odwrócenia uwagi Paryżan od nieszczęśliwej wyprawy, lecz po części także z rozgoryczenia i niepokoju. Z zapisków bowiem policyi dowiedział się teraz, jak wielu jego wiernych gotowych było na samą pogłoskę o jego śmierci wziąć udział w zamachu stanu, a ani jeden nie pomyślał o niesieniu pomocy cesarzowej i następcy tronu.

Następnie z bezprzykładnym zapałem zabrał się do nowego zbrojenia wojsk i zaciągania rekrutów. Uzupełniał przerzedzone regimenty i ściągał wojska z wszystkich obozów Europy. I gdyby nie miał na półwyspie hiszpańskim tak olbrzymiej masy najlepszych swych żołnierzy, to niezadługo miałby znów być pod ręką 500,000 ludzi.

Tymczasem żądał, aż do r. 1814, ponownego zaciągania rekrutów, z czterech ostatnich klas—ogółem 100,000 ludzi. I na wszystko się zgodzono. Każdy uważał za honorowy obowiązek stać na straży sławy Francyi i jej dwudziestoletniej świetności—wobec pierwszej klęski niezwyciężonego bohatera.

A jednak brakło czegoś; naród nie został wezwany w imię wolności—cesarz nie zwracał się do ludu, by w jego ręce złożyć ocalenie Francyi. Mia-

ło nadal pozostać, jak było przedtem: cesarz i jego armia.

Inaczej było w Prusach i Niemczech. Tam zrzućcie jarzma Francuskiego stało się sprawą narodową; a rządy mimo całej obawy przed wszystkim, co się zwalo ludem, musiały jednak na chwilę wypuścić to wielkie zwierzę, by je spętać tem silniej, gdy niebezpieczeństwo minęło.

W całych Niemczech młodzież, dotąd skępowana, śpiewała pełne zapału pieśni o ojczyźnie i wolności; a gdy starzy dyplomaci, zatykając sobie uszy, warzyli swe najwyszukańsze napoje, całe masy niemieckich młodzieńców zaciągały się pod chorągwie, gotowe zginąć za wolność, której nadejście rzekomo się zbliżało.

Wszyscy czuli, że rychło nowa nadejście burza. Że Napoleon swe nawpół zniszczone państwo nie pozostawi niestrzeżone od Wschodu było tak samo jasnem; jak fakt, że wszyscy książęta są jego wrogami i pozostaną nimi do ostatecznej jego ruiny.

Mało przeto zwracano uwagi, na wieloznaczne gesta dyplomatów i na to, co Metternich, starał się w Napoleona wmówić. Wszyscy przecież wiedzieli, że on wie więcej, niż wszyscy razem wzięci. Wojna być miała i wojna też nastąpiła, srożąc się przez trzy lata gorzej niż kiedykolwiek.

Los Napoleona po kampanii rosyjskiej spadał ze stopnia na stopień z taką samą koniecznością nieprzepartą, jak wodospad rozszałały i z taką samą niemal wspaniałością.

Wszyscy jego wrogowie, jak burza, ściągnęli się na wschodzie.

A daleko na krańcach zachodu zaczął się poruszać generał Moreau. Od wielkiego sprzysiężenia w r. 1804 żył spokojnie i zacisznie w swej posiadłości w Delaware. Usłyszawszy jednak o wyniku kampanii rosyjskiej, wyjechał z Ameryki i wrócił do Europy. Wszystkie jego ambitne marzenia znów

ożyły: — teraz zbliża się upadek Napoleona Bonaparte, a generał Moreau zajmie odpowiednie stanowisko.

Po zjeździe w Göteborg, z drugim zdrajcą, Bernadottem, Moreau, wielki generał z chlubnych walk republiki — zwycięzca z pod Hohenlinden — w chwili niebezpieczeństwa, jak zwyczajny renegat przyłączył się do wrogów Francji: Udał się do Pragi, entuzjastycznie witany przez sprzymierzonych książąt. Wyznaczyli mu oni niejako naczelne dowództwo nad sprzymierzonymi wojskami obok księcia Szwarzenberga, gdy do tego doszło, że Austriacy odrzucili wszelką maskę.

Także Bernadotte po najbardziej bezwstydnym intrygach dał się przekupić i zajął miejsce wśród wrogów swej ojczyzny — przeciw człowiekowi, któremu zawdzięczał wszystko.

Powierzywszy regencyę Maryi Ludwice, co tym razem wydało mu się poniekąd uspokojeniem, cesarz dn. 15 kwietnia 1813 r. o godzinie pierwszej w nocy opuścił Paryż i wyjechał do Moguncyi.

Nigdy nie wprawił w większe zdumienie świata i swych wrogów, jak wówczas, gdy, zjawiwszy się w okolicy Jeny, gdzie przed sześciu laty odnosił zwycięstwa, począł szykować nowe siły zbrojne — które w tak krótkim czasie wydobył jakby z pod ziemi. Sprzymierzeni, którzy doskonale wiedzieli, że dwakroć do trzykroć stu tysięcy jego starych żołnierzy znajduje się na półwyspie hiszpańskim, oczekiwali co najwyżej nędznych resztek wojsk ocalałych z kampanii rosyjskiej.

Tymczasem ujrzeli przed sobą te same dobrze znane, silne kolumny, najpierwszej w świecie piechoty i usłyszeli te same wielkie, niezwalczone nazwiska. Do Ney, Oudinota, Eugeniusza i innych wodzów z kompanii rosyjskiej przyłączyły się teraz takie nazwiska, jak Marmonta, Macdonalda, Kellermana i Bertranda. Jazda przedstawiała się marnie,

a przy bliższej obserwacji, dostrzegano w szeregach przynębiającą ilość całkiem zielonych rekrutów. Ale tym właśnie było przeznaczone odnieść przechodzące wiarę zwycięstwo pod Lützen, którem rozpoczęła się wojna w r. 1813.

W przeddzień bitwy, wydarzyło się wielkie nieszczęście. W nieznaczej potyczce, rozgrywającej się w pewnym oddaleniu—marszałek Bessieres został ugodzony kulą armatnią i na miejscu padł trupem. Był to ogromny cios dla Napoleona i całego jego otoczenia, przytem wielka strata dla armii, zwłaszcza dla konnicy, którą marszałek stałą otaczał opieką i zaszczytnie jej przywoził.

Książę Istrii był dzielnym i honorowym żołnierzem, o tyle dziwak, że był jednym z nielicznych wodzów w armii, którzy zachowali pudrowaną peruką, warkocz i pukle koło uszu.

Cesarz przed walką zaznajomił się z wielu nowymi żołnierzami. Poleciał marszałkom: Neyowi, Oudinotowi i Marmontowi, oraz wice-królowi rozstawić wojska w ten sposób, by mógł odrazu przejrzeć wszystkie szeregi. Cesarz powoli jechał wzdłuż długich szeregów, tu i owdzie zatrzymując się dla zamienienia kilku przyjaznych słów z oficerem lub ze znanym mu starym podoficerem; a tymczasem we właściwy mu sposób wodził spojrzeniem po młodych chłopcach, że każdy z nich czuł na sobie jego wzrok. Wszyscy mieli czas go widzieć, starzy i młodzi, a jego widok jednoczył jednych z drugimi i budził w nich pewność, że zwyciężyć muszą, oni z nim, a on z nimi.

Cesarz chciał przede wszystkim odnieść wielkie zwycięstwo, któreby nieprzyjacielowi napędziło strachu i utorowało mu drogę do Drezna; ztamtąd zamierzał prowadzić wojnę na Śląsku i w kierunku granicy Czeskiej.

Dn. 2 maja, o dziewiątej rano cesarz z korpusem Neya, opuścił Lützen i właśnie zeskoczył był

z konia, by z marszałkiem przejrzeć kilka kart, gdy nagle usłyszeli obaj silną kanonadę dochodzącą z tej strony, gdzie wojska Ney'a spędziły ostatnią noc. Rychło się zorientowali, że Macdonald musiał się zetknąć z nieprzyjacielem.

W jednej chwili cesarz zmienił wszystkie dyspozycje i do wszystkich generałów rozesłał adjutantów z poleceniem, by pomaszerowali za odgłosem armat Macdonalda. Wykonanie tego manewru zajęło trzy godziny czasu; to też oddziały, które pierwsze przybyły na pole bitwy pod Lützen, musiały przez kilka godzin walczyć z ogromnie przeważającą siłą.

Stopniowo jednak artylerja rozmaitych korpusów stawiała do walki, a gdy na polu bitwy zjawily się dywizye Bonneta, Moranda, Compansa i Bertranda, walka zakończyła się zwycięstwem na wszystkich punktach. Cesarz sam przez cały dzień był w ogniu bitwy.

Generał Mouton przywoził szesnastu batalionom młodej gwardyi w strasznej walce o wieś Kaja. Gdy młodzi ludzie tracili niemal przytomność wobec okropności, do których nie byli przyzwyczajeni, jedno słowo któregoś ze starych generałów wracało im opamiętanie. A jeśli wśród wrzawy doleciał ich głos cesarza—jednogłośnie wybuchali entuzjastycznym okrzykiem:—niech żyje cesarz!—i jak lawina spadali na wroga z bagnętami.

Był to jednak widok godny pożałowania: ten kwiat młodzieży po obu stronach, wątli chłopcy francuscy i bladolicy Niemiec, studenci o długich włosach, rzucający się na siebie jak dzikie zwierzęta. Dwadzieścia pięć tysięcy ludzi pokrywało plac bitwy o zachodzie słońca, a cztery ogromne płonące wsie rozświetlały mroki równiny.

Pelen zadowolenia Napoleon zredagował biuletyn o tem trudnem do uwierzenia zwycięstwie. Dwie zjednoczone armie starych żołnierzy rosyjskich i

pruskich, 25,000 najświetniejszej jazdy w Europie i niezmierną artylerję pobił swoją piechotą, w której było mnóstwo dopiero co zaciągniętych rekrutów.

Po bitwie pod Lützen nie brano jeńców wojennych — gdyż francuska kawalerya zbyt jeszcze była słaba.

Ale wpływ moralny tego zwycięstwa był olbrzymi. Cesarz Napoleon był znowu sobą. Odzyskał zaufanie generałów: klęska w Rosyi była zmorą — z której się zaczęto otrząsać; a armia, ba — cała Francya ponownie uwierzyła w niezwyciężoność cesarza.

Wśród sprzymierzonych wielkie zapanowało rozczarowanie. Armie ich cofnęły się w stronę Dreżna. Na czele jechał cesarz Rosyi i król Prus — tak samo jak dawniej: generałowie Barclay de Tolly, Wittgenstein, Miloradowicz, Blücher, Kleist — wszyscy z podkulonymi ogonami — tak samo jak dawniej. Marszałek polny Kutuzow nie żył.

Napoleon rybło ich wypędził z Dreżna i wypoczywał tam przez ośm dni. Starego króla Saskiego nie było w kraju. Zmuszony przez Austryę zamieszkał w Pradze i silnie już uległ był wpływowi innych niemieckich książąt. Napoleon skłonił go jednak do powrotu i dn. 12 maja Fryderyk August znów był w swej stolicy.

Cesarz wyjechał z Dreżna naprzeciw i otoczony wspaniałą swą gwardyą, bardzo uroczyście przywitał króla Saksonii. Odnowiono stara przyjaźń i Saksonia została wytrwałą sojuszniczką, aż do końca — Saksonia i wierna Dania.

Stanowisko Austrii stawało się coraz więcej dwuznaczne — to znaczy, że mimo wszystkich wybiegów czuć było, iż w pierwszej odpowiedniej chwili przyłączy się do sprzymierzonych.

W ciągu ośmiodniowego pobytu w Dreźnie, Napoleon otrzymał od króla Saskiego trochę konnicy — której tak bardzo potrzebował.

— Gdybyśmy teraz byli tylko o miesiąc starsi—mówił—bym miał silniejszą konnicę, byłaby najodpowiedniejsza chwila zakończenia całej tej afery z bronią w ręku i z pewnością nie przyzwoliłbym na zawieszenie broni. Oni wcale nie wiedzą, co ich czeka.

Napoleon miał na myśli marsz Ney'a, w kierunku Budziszyna.

Także tu, pod Budziszynem i Wurschën, armia francuska odniosła dn. 20 i 27 maja świetne i krwawe zwycięstwa nad sprzymierzonymi.

W dzień później, armia znajdowała się już na drodze do Śląska, pędząc przed sobą wojska sprzyśniętych. Francuzi prześladowali ich na trzech punktach: marszałek Victor i generał Sebastiani na lewem skrzydle; Macdonald, Marmont i Bertrand, ścigali Wittgensteina na drodze do Świdnicy, a marszałek Ney w kierunku Wrocławia.

Sam cesarz z gwardyą konną, dragonami Latour-Maubourga i częścią piechoty brał udział w tym pościgu. Cały dzień jechał na czele gwardyi i bez przeszkody przybył do Weissenberga.

Nieco dalej, na wzgórzach koło Reichenbach, zajął stanowisko generał Miloradowicz, by zasłonić uciekających monarchów.

Francuska konnica, będąc co prawda zaledwie cieniem swej poprzedniej świetności, miała jednak swych dawnych sławnych wodzów: — Bruyères'a, Lefebvre-Desnouettes'a, Colbert'a i Latour-Maubourga. Po gwałtownej walce Rosjanie zostali odparci.

Ale w tej stosunkowo drobnej potyczce zginął generał Bruyères, jeden z weteranów z czasów włoskich. Napoleon był sam w ogniu—a jeden ze strzelców, z osobistej jego eskorty, został zabity tak blisko cesarza, że nieszczęsny padł tuż pod nogi jego konia.

— Sprzyja nam dziś szczęście Duroc!—zawołał cesarz do swego pierwszego marszałka dworu.

Jechali właśnie boczną wiejską drogą, by się dostać na wzgórze, skąd lepszy był widok. W tem zabłąkana kula armatnia uderzyła w drzewo, zabiła generała Kirchnera, a jadącemu obok niego marszałkowi Durocowi rozerwała ciało. Marszałek Mortier, znajdujący się tuż w pobliżu, wyszedł bez szwanku.

Cesarz, który puścił konia galopem, by co prędzej stanąć na wzgórzu, nie widział tego wszystkiego. Dopiero jeden z adjutantów Oudinota przybiegł mu zameldować, że padł książę Friaulu.—Niepodobna!—zawołał cesarz, wszak w tej chwili z nim mówiłem.

Tymczasem przybył pułkownik Gourgaud z wiadomością od Neya, lecz cesarz, nie wysłuchawszy go, zawrócił ze wzgórza. Z Mortierem i Caulaincourtem udał się do domu, gdzie złożono Duroca. Zamienili kilka słów i cesarz długo siedział przy ranym. Był najzaufanszym jego przyjacielem z czasów młodości i niezastąpionym sługą.

W przeddzień śmierci Duroc powiedział był do Marmonta: „cesarz ma nienasyconą żądzę wojny. My wszyscy, jeden po drugim, skończymy na polu bitwy; taki nasz los.

Zwycięstwo Francuzów i zaciekły pościg za umykającym nieprzyjacielem złamały tymczasem całkowicie odwagę sprzymierzonych, którzy też przybyli, grzecznie prosząc o zawieszenie broni. A jakkolwiek wysłańcem ich był austriacki hrabia Stadion, jeden z najzaciętszych wrogów Napoleona, to jednak cesarz zgodził się na to fatalne zawieszenie broni.

Skutkiem tego utracono wszystko, co dotychczas zyskano. Młody Bonaparte byłby błyskawicznie zrozumiał doniosłość owej chwili i zamiast nieśczęsnego zawieszenia broni, wymusił zaszczytny dla siebie pokój.

Cesarz tymczasem wysłał księcia Vicenzy z tajną misją do cesarza, przenosząc walkę dyploma-

matyczną, którą musiał przegrać, gdyż wszyscy uważali go poprostu za szkodliwego zwierza, wobec którego wszystkie środki były dozwolone.

Samo przeprowadzenie zawieszenia broni zajęło dość czasu; następnie uchwalono kongres w Pradze, na którym zmarnowano cały czerwiec.

Sprzymierzeni oblegali tymczasem Szczecin, którego bronił generał Dufresne. Szwedzki następca tronu, udając, że przygląda się obleżonemu wojskom podczas zawieszenia broni, rozmyślnie podjeżdżał tuż pod twierdzą, by go ujrzeli dawni żołnierze, gdyż wmawiał sobie, że cieszy się ich sympatyą. Nagle z twierdzy zagrzmiął strzał armatni, świniawszy Bernadottemu koło uszu.

Natychmiast sprzymierzeni wnieśli protest z powodu złamania zawieszenia broni. Lecz dowodzący generał w Szczecinie odpowiedział:

— Zameldowano francuskiego dezterera, więc straż dała do niego ognia, oto wszystko.

Dn. 27 czerwca przybył do Drezna książę Metternich w roli pośrednika i w pałacu Marcolinich odbyła się gwałtowna dyskusja między nim, a cesarzem. Żądania Austrii, dotyczące powszechnego pokoju były tak niedorzeczne, że cesarz zawołał: Ile panu daje Anglia za podjudzenie przeciw mnie Austrii?

Na Kongresie w Pradze trzymano się zasady, by tylko gadać, a niczego nie postanawiać. Sprzymierzeni zawierali z sobą układy, lecz wysłańcy Napoleone nie o nich nie wiedzieli, trzymano ich zdala lub rozmyślnie tumaniono.

Król Murat powrócił i ofiarował swe służby. Zbiegłszy swego czasu od armii, zawarł był tajemny układ z Austrią; był bowiem tak głupi i do tego stopnia nieświadom, jak książęta odnoszą się do wszelkich układów i obietnic, że się ludził, iż zdoła zachować swą koronę, gdy zostanie pokonany człowiek, który sam jeden tylko potrafił z kelne-

rów stwarzać królów. Równocześnie jednak miał ochotę ofiarować swe usługi Napoleonowi, a cesarz przyjął je, pomimo, że wiedział o wszystkim. Potrzebował poprostu swego najpierwszego generała kawalerii, a nie spodziewał się od Murata niczego innego, prócz głupoty i niewdzięczności.

Podezas długich układów dyplomatycznych, Napoleon znów rządził światem z Drezną; i znów rościło się tam od generałów i posłów, lecz nie było już tylu królów, jak w roku 1812.

Pod jego ręką wszystko poszło znów zwykłym trybem. Regimenty znalazły kwatery i wikt, rekruci odbywali ćwiczenia, a wszystkie potrzeby armii zaspakajały wielkie składy wojskowe—brakowało tylko koni.

Mała dzielna armia polska pod Poniatowskim nie miała teraz innej ojczyzny prócz chorągwi francuskich, pod którymi tak długo służyła. Napoleon wyznaczył im taki sam żołd i takie same warunki jak żołnierzom francuskim. A miliony zebrane w dobrych czasach jako łup lub odszkodowania wojenne i amieszczone bezpiecznie w pawilonie Marsau w Luwrze, służyły teraz do ulżenia ciężarów biednej Saksonii, będącej obecnie polem walki.

Nagle Metternich oświadczył wobec Caulaincourta i Narbonne'a, że kongres w Pradze został rozwiązany. Sprzymierzeni ukończyli już swe przygotowania i konszachty, a Blücher napadł Francuzów na Śląsku dwa dni przed upłynięciem okresu zawieszenia broni. Z śmiertelnym wrogiem nie liczone się tak ściśle.

Dn. 15 sierpnia miał się skończyć okres zawieszenia broni lecz już 12-go Blücher napadł trzech marszałków: Neyą, Marmontą i Macdonalda, stojących między miejscowością Bober, a Katzbach. Napoleon przybiegł co rychlej i krok za krokiem odparł Blüchera.

Ale 22 sierpnia przybiegł kurier od marszałka

St. Cyr z wiadomości, że wróg jest koło Drezna, mianowicie nadciąga od strony zachodniej, jak gdyby się chciał wcisnąć między Dreznem a Lipskiem. Istniał też zamiar ruszenia w kierunku Lipska, lecz obaj generałowie, Jomini i Moreau zwracali uwagę, jak niebezpiecznie byłoby mieć cesarza z tyłu. Skutkiem tego Szwarcenberg co spieszniej ruszył w stronę Drezna, gdy Napoleon zajęty był wypędzaniem Blüchera ze Śląska.

Książę Szwarcenberg zebrał już był 200,000 ludzi, lecz chciał jeszcze zaczekać na generała Illenau. Moreau był rozdrażniony tem czekaniem i nadmierną ostrożnością; rzucił też parę ostrych słów, że należy korzystać z chwili. Otrzymał na to odpowiedź tonem wyższości.

Wówczas Moreau odrzucił formy dworaka i zgodnie z prawdziwą swą naturą starego republikańina, rzucając na ziemię swój kapelusz, zawołał:— Wie pan, teraz już u licha rozumiem, czemu przez siedemnaście lat nie umieliście nic innego, jak stałe ponosić klęski.

Na wieść o ruszeniu wroga w stronę Drezna, Napoleon natychmiast zawrócił ze swą gwardyą, oraz korpusami Macdonalda i Ney, wobec czego marszałek Macdonald z generałami Lauristonem i Souhamem miał sam teraz stawić opór Blücherowi.

Z nieprawdopodobnym pośpiechem cesarz stanął w Słupsku. Nosił on się z wielkim planem wykonania stąd manewru przez mosty w Lilienstein i Königstein. Ale marszałek St. Cyr począł się w Dreźnie tworzyć. Napoleon wysłał do niego generała Gourgaud z zapytaniem, czy nie zdoła utrzymać miasta jeszcze przez dwa dni. Wysłannik powrócił 25 sierpnia wieczorem, przynosząc wieści tak alarmujące, że cesarz zrzekł się swego planu i pośpiesznym marszem wysłał wojska swe do Drezna.

Równocześnie polecił generałowi Vandamme, by wraz z inżynierem Haxo i kilku dzielnymi ofice-

rami ruszyli do Czech, gdzie podług obliczeń Napoleona mieli spotkać i pojmać w niewolę uciekającą armię sprzymierzonych, których on wprawdzie pobije. Zupełnie jednak inaczej stało się z Vandamme'm i jego wojskiem.

Przed południem dn. 26 sierpnia, cesarz ku ogólnemu zdumieniu przybył do stolicy Saksonii, a był już po temu czas najwyższy. Bo tego samego popołudnia Szwarcenberg na czele wszystkich swych sił przystąpił do szturmu, a wojska jego dotarły już nawet do wielkiego ogrodu, gdzie zostali powstrzymani przez część gwardyi cesarskiej.

Napoleon zgromadził tymczasem swe siły w mieście i nagle młoda gwardya pod wodzą marszałków Mortiera i Ney'a jak rozszalała lawina rzuciła się przez obydwie bramy, zmiatając przed sobą Austriaków, Prusaków i Rosyan. Walka była krótka, lecz gwałtowna; pięciu generałów gwardyi zostało rannych.

Król Neapolu z gwardyą konną i kirasyerami Latour-Maubourga odpędził nieprzyjaciela w kierunku Wilsdruff; Francuzi odzyskali wszystkie swe poprzednie stanowiska, a sprzymierzeni zrozumiałwszy teraz, że sam cesarz jest w Dreźnie, cofnęli się na wszystkich punktach.

Przygotowawszy wszystko do wielkiej bitwy nazajutrz, Napoleon udał się wieczorem do króla saskiego i pozostał na kolacyi, w humorze—jak na niego—wyśmienitym.

W obozie sprzymierzonych spędzono noc na wzajemnych wymówkach.

Następnego dnia 27 sierpnia, gęste panowały mgły; całą noc poprzednią deszcz padał gwałtowny, który trwał cały dzień. Skalki piechoty przy otwartych panewkach były wprost nie do użycia. Wielką bitwę prowadziła artylerya, poza tem walczano szablami i bagnietami. Kanonada rozpoczęła się o siódmej rano i trwała cały dzień.

Murat i marszałek Victor rzucili się na lewe skrzydło Austryaków. Generał Mitzho ze swą dywizją kawaleryi dostał się do niewoli. Centrum sprzymierzonych zostało nakoniec złamane, a na prawem skrzydle, gdzie Napoleon walczył z Rosyanami, Wittgenstein po gwałtownym oporze został odparty.

Na wzgórzach Räcknitz, gdzie ustawili się sprzymierzeni książęta ze swymi generalnymi sztabami i gwardyami, zgromadziły się wielkie masy wojsk, do których tylko artylerya mogła dotrzeć. Armaty gwardyi miały więc rozpuścić stąd wroga, a cesarz sam komenderował zajężdżającymi bateriami.

W owym czasie odległość między jedną armią a drugą, nawet przy artyleryi, była tak nieznaczna, że od francuskich baterii doskonale było widać świetną grupę, otaczającą sprzymierzonych monarchów. Nagle ujrzano, że wśród tych jeźdźców powstało dziwne zamieszanie i niepokój. Domyślano się, że padł lub został ranny któryś z wybitnych oficerów. A gdy wieczorem do pierwszych szeregów francuskich przybiegł pies zbłąkany, noszący halsztuk z napisem: generał Moreau, przypuszczano, że on to właśnie został przedtem trafiony.

I tak też było. Moreau siedział na koniu tuż obok cesarza Aleksandra, gdy dosięgła go kula armatnia. Zmiażdżyła mu nogę, przeszła nawskroś konia i rozerwała drugą nogę generała. Musiano mu amputować obydwie nogi, lecz nie przeżył tej operacyi. Opowiadają, że stary bohater palił cygaro, gdy lekarze odejmowali mu nogi.

Wieczorem i w ciągu nocy Szwarzenberg drogą, wiodącą do Cieplic, cofnął się ku Czechom; wszystkie inne drogi były zamknięte. Zostawił pod murami Drezna 30,000 poległych i 12,000 jeńców.

Napoleon natomiast wjechał do Drezna, spędziwszy na koniu dwanaście godzin wśród ulewne-

go deszczu. Przyjeżdżał z Neustadt przez stary most. Przed nim krok w krok jechała przemokła do ostatniej nitki straż przyboczna; za nią on sam, niedbale przechylony na mokrem siodle, w ociekającym z deszczu mundurze bojowym i sławnym kapeluszu, tak nawskroś rozwilgłym, że szerokie kresy zwykle podniesione do góry, teraz opadały mu aż na ramiona.

Ale żołnierze wydawali okrzyki tryumfu, tak samo całe Drezno. Dwór saski przyjął go z umiarkowaną radością, gdy po kąpieli, w świeżej toalecie, z pogodną twarzą zwycięzcy ukazał się w oświetlonych salach. A dobroduszny Fryderyk August, który przez całe lata wisiał między niebem i ziemią, niepewny swego losu, zaczął już myśleć: i teraz mu się uda.

Tymczasem wszystko to już nie pomogło. Zbyt wiele stracono czasu, a sprzymierzeni książęta mieli na rozkazy przerażający nadmiar ludzi, koni i wszelkiej amunicji. W najbliższych tygodniach po bitwie pod Dreznem, Napoleon pozwolił swym armiom pod dowództwem marszałków i generałów działać więcej na własną rękę i pojedynczo — co dawniej się nie zdarzało. I tu coprawda wielkie jego plany w najgenialniejszy sposób łączyły wszystkie ich manewry, lecz bez liczenia się z możliwymi pomyłkami. Generałowi Bonapartemu, za czasów jego młodości, nie zdarzały się nigdy pomyłki, a w każdym razie nie pociągały za sobą żadnych następstw, gdyż wszystkiemu umiał w każdej chwili zaradzić.

Jego rachunki od maja do września przedstawiają się jak następuje:

Dn. 2 maja wygrał wielką bitwę pod Lützen.

Dn. 20 i 21 maja również zwyciężył pod Budysynem i Wurschen.

Później zawieszenie broni i kongres w Pradze.

Dn. 21 czerwca marszałek Jourdan i król Jó-

zef przegrali rozstrzygającą bitwą pod Vittoria, wskutek czego utracono Hiszpanię.

Dn. 21 sierpnia Napoleon powiedział: „Dziś książę Reggio wkroczy do Berlina.” Oudinot tymczasem był jeszcze daleko od Berlina, powstrzymywany po części przez powódzie, po części gnębiony przez Bernadottego, który go pobił 21 sierpnia pod Grossbeeren.

Dn. 26 sierpnia Macdonald został pod Katzbach pobity przez Blüchera.

Dn. 26 i 27 sierpnia cesarz wygrał wielką bitwę pod Dreznem.

Dn. 30 sierpnia generał Vandamme został pod Kulm, w Czechach, pobity przez generała Ostermanna i wraz z 7,000 ludzi pojmany w niewolę.

A wreszcie dn. 26 września Ney został pod Dennewitz zwyciężony przez szwedzkiego następcę tronu.

Wszystko to, łatwo pojąć, znów dodało odwagi sprzymierzonym księżętom. Całe Niemcy ogarnęła fala ruchu wolnościowego, a powstanie całego niemieckiego narodu bardzo było na rękę generałom i dyplomatom. Sojusznicy Napoleona natomiast odpadali jeden po drugim—jedni dobrowolnie, inni pod przymusem.

Bawarya wypowiedziała mu wojnę, taksamo Wirtembergia, a do nich przyłączył się wielki książę badeński. Jeden tylko król saski wbrew wszystkim groźbom i propozycjom pozostał stanowczy, maszerując z Napoleonem aż do ostatniego miasta Saksonii.

Niebezpiecznem było mianowicie odpadnięcie Bawaryi, gdyż strzegła ona granic Francyi na północ od Moguncyi.

Napoleon nie mógł teraz uczynić nic innego, jak ruszyć do Lipska przed nadciągnięciem wojsk sprzymierzonych, by nie zostać odciętym od Francyi.

Musiał więc opuścić Drezno, które zaczęło się

w jego rękach stawać olbrzymią zbrojną fortecą, skąd z niezwyciężoną swą gwardyą mógł biedz z pomocą każdemu korpusowi. Opuszczając jednak miasto, pozostawił tu dwóch z najlepszych swych generałów: marszałka St. Cyr i generała Mouton z 30,000 znakomitych żołnierzy, których nigdy już nie miał zobaczyć.

Wydał to fatalne rozporządzenie, ciągle jeszcze zajęty wielkim planem zniszczenia armii sprzymierzonych. Ci natomiast stali się teraz tak zuchwali, że plan jego został wkrótce udaremniony, a 30,000 wojska w Dreźnie było poprostu stracone.

A sił tych potrzebował teraz tembardziej, że na otwartych równinach Lipska zmuszony był walczyć ze 155,000 swych żołnierzy przeciw 300,000 armii nieprzyjacielskiej, która nadto miała konnicę dwa razy liczniejszą od francuskiej.

Dn. 15 października obydwie armie zajęły koło Lipska takie stanowisko, że wielka bitwa nazajutrz stała się nieuniknioną. Forpoczty stały na przeciw siebie na odległość strzału.

Następnego dnia o 9 rano, jako sygnał dla sprzymierzonych, huknęły trzy strzały armatnie, a w tejże chwili wyruszyły z korpusów Wittgensteina i generała Kleista trzy silne kolumny, nadto 200 armat.

Tego pierwszego dnia walka toczyła się jeszcze na linii Markleeberg, Wachau, Liebertwolkwitz daleko po za ówczesnym obrębem miasta. Dwie ostatnie wsie zostały w ciągu przedpołudnia kilkakrotnie wzięte i znów utracone.

Marszałek Viktor bronił wsi Wachau przed generałem Kleistem, a Lauriston wsi Liebertwolkwitz przed generałem Gorczakowem. Tu byli z kawalerii francuskiej: Latour-Maubourg, Sebastiani i Milhaud. Austriacy tymczasem, pod wodzą Kleina, próbowali obejść Francuzów od wschodniej

części miasta. Wiedziano bowiem, że nadciąga wojsko od północy: Blücher lub Bernadotte.

Walka od wczesnego ranka toczyła się tak gwałtowna, że przed godziną dwunastą było po obu stronach razem już 18,000 poległych.

W tej chwili zameldowano Napoleonowi, że wróg obchodzi jego stanowiska także od strony zachodniej, a mianowicie generał austriacki Gyulai naciera na generała Margaron. Od północnej strony nadciągnął też istotnie Blücher; słyszał był odgłos dział. Marmont walczył tu z nim przez cały dzień; pomagał mu Ney, przywiódłszy tu dywizye Souhama i Dąbrowskiego.

Po godzinie 12 ej cesarz postanowił od obrony swych stanowisk przejść do gwałtownego ataku na centrum Szwarcenberga.

Wyruszył naprzód Lauriston, Victor i Oudinot; między nimi Drouot'a gwardya konna; także kawaleria gwardyi pod Latour-Maubourgiem, Kellerman i Nansouty; następnie dywizye Curialt, Friandt, Gerard; teraz nie wolno już było myśleć o oszczędzaniu jakichkolwiek oddziałów. Na najdalszem lewem skrzydle Macdonald zaczął odpierać Klenaua, a także księżę Wirtembergii nie mógł dotrzymać placu. Ale 10,000 grenadyerów Rajewskiego stanęło murem przed armatami Drouota, pozwalając się ostrzeżliwać. Za nimi wysłał Szwarcenberg olbrzymie masy rezerwistów, aż ustał pierwszy atak.

O godzinie 4 ej Napoleon postanowił zaryzykować wszystko, by tylko wygrać bitwę. Zebrał całą konnicę, jaką tylko rozporządzał i pębął ją na wieś Wachau. Popędziło 12,000 jeźdźców z królem Joachimem na czele. Murat rozbił nieprzyjacielską jazdę i szeregi rosyjskich grenadyerów, odparł cały korpus księcia Wirtembergii i zdobył dwadzieścia sześć armat.

Ale w chwili rozstrzygającej generał Pajol, weteran z czasów republiki, wyleciał w powietrze

wskutek eksplozyi granatu pod podkowami jego konia; generałowie Maison i Latour-Maubourg zostali ranni i spadli z koni, a podczas zamieszania, które stąd powstało, kozacy zdołali odebrać Muratowi 26 zdobytych poprzednio armat. Nadto nadciągnęły ogromne masy wojsk od strony prawej, gdzie książę Hessen-Homburg usiłował odeprzeć Poniatowskiego i Augereau. Austriacy kirasyerzy generała Nosticza odparli Kellermana i Leforta. Sam Murat musiał się zatrzymać przed wsią Guldengossa. Utracił już zdobyte armaty, a Latour-Maubourg stracił nogę; także generał Pajol był ciężko ranny.

Cesarz zgodził się na wyprowadzenie do boju wszystkich sił, nie wyjmując kozaków i husarzy.

Napoleon zaś, widząc, że także jego wielki atak konnicy nie rozstrzygnął zwycięstwa, postanowił podjąć trzecią próbę i wydał rozkaz skierowania wszystkich sił na jeden punkt: Wachau.

Od strony prawej sprzymierzeni wciąż otrzymywali posiłki. Dowodził tu generał Meerfeldt. Cesarz wysłał przeciw niemu nawet starą gwardyę pod dowództwem generała Curiala, który z ludźmi swymi natarł tak gwałtownie, iż wziął do niewoli generała Meerfeldta z 2,000 żołnierzy (wielka panorama Sindinga). Walka ustała, nie przechyliwszy szali zwycięstwa na żadną stronę, chociaż mrok już zapadał.

Książę Poniatowski przez cały dzień dotrzymywał placu Austryakom, usiłującym zdobyć przejście przez Pleissa. Napoleon zamianował go marszałkiem Francyi.

Pomimo, że zapadł już wieczór, cesarz postanowił raz jeszcze przypuścić atak do nieszczęsnej wsi Guldengosse. Mortier i Maison jak zwykle rzucili się do ataku. Ale Barclay de Tolly wysłał tam gwardyę rosyjską i okazało się niepodobieństwem wypędzić Rosyan ze wsi, pomimo że generał Maison stał w ciemności i ryczał jak lew. Otrzymał kilka

ran i zastrzelono pod nim trzy konie. Rano powiedział był hrabia Maison do swych żołnierzy: „Dziś ostatni dzień Francyi. Wieczór będziemy już wszyscy mieli oczy zamknięte.”

I nie oszczędzali się wcale, ani on, ani jego ludzie. Z dywizyi jego zostało zaledwie tysiąc ludzi.

Poza tem jednak losy dzielnego generała ułożyły się całkiem inaczej, niż owego ranka był przepowiedział. Albowiem generał hrabia Maison po wyprawie do Morei w r. 1828 został marszałkiem Francyi, ambasadorem Ludwika Filipa i żył aż do r. 1840.

Pod Wachau stoczono owego dnia główną bitwę; pałało w niej 50,000 żołnierzy. Tego samego dnia walczone też w zachodniej części miasta, gdzie generał Margeron odpierał Gyulaia, a równocześnie w dzielnicy północnej Marmont zacięty stawiał opór Blücherowi.

Marmont i Compans byli przez cały czas w ogniu. Marszałek miał kilka kul w mundurze, jedna zraniła go w rękę, a jedna w ramię.

Na nieszczęście granat wpadł do wozu z prochem Compansa, a w zamieszaniu, wywołanem przez eksplozyę, nieprzyjaciół zdobył tę baterię i zmusił Marmonta do odwrotu. Na czele 24,000 żołnierzy walczył z wrogiem, liczącym 60,000 żołnierzy, z których 10,000 poległo.

Był to pierwszy dzień bitwy pod Lipskiem.

Następnego dnia, 17 października, nie toczono walki. Obydwie strony miały dość do czynienia, doprowadzając do ładu swe armie po wielkiej bitwie i długich marszach wśród ustawicznych deszczów. Napoleon, jak zwykle, wyjechał na pobojowisko; było ono jednym z najstraszniejszych. Wokół cesarza panowała głucha rozpacz. Nikt nie mógł dłużej przed sobą taić, że cesarz i jego potęg-

ga dobiegają swego kresu i rychło nie z nich nie pozostanie.

Cesarz mówił o odwrocie przez Lindenau w kierunku Lützen; nie mógł jednak uważać wczorajszej bitwy za klęskę, czem w rzeczywistości też nie była. Ale wojska Napoleona były tak zamknięte, że z wielkim tylko trudem mogły otrzymywać nowe zasilki, a każda dalsza bitwa wyczerpywała ich siły. Armia sprzymierzonych natomiast ciągle mogła się wzmacniać.

Ciężko przytem było cesarzowi opuścić te strony i wyrzec się nowych linii granicznych, jakie był państwu swemu zakreślił, zwłaszcza, że miał jeszcze świetne garnizony w Dreźnie, Torgau, Wittenburgu, Magdeburgu, Głogowie, Kistrzynie, Szczecinie, Gdańsku i Hamburgu, ogółem 170,000 ludzi. Nadto oczekiwano lada dzień generała Reynier z 30,000 żołnierzy, co prawda saskich.

Cały dzień spędził cesarz w niepewności, nie czyniąc żadnych poważniejszych przygotowań do odwrotu. Przesłał Poniatowskiemu laskę marszałkowską i kazał przywołać do swego namiotu pojmanego generała Meerfeldta.

Cesarz rozmawiał z nim, zwrócił mu szpadę i wolność. Meerfeld był w r. 1797 przed zawarciem pokoju w Campo Formio jednym z austriackich pośredników, wówczas gdy młody generał Bonaparte takiego napędził strachu hrabiemu Cobenzl, tłukąc kosztowny serwis.

Teraz Meerfeld otrzymał pełnomocnictwo, by udał się do sprzymierzonych książąt, jako wysłaniec Napoleona. Miał im oświadczyć, że cesarz gotów teraz większe ponieść ofiary, celem zawarcia pokoju, niż przed dwoma miesiącami; chociaż Napoleon myślał na razie tylko o zawieszeniu broni, któreby go z chwilowego wybawiło kłopotu.

Oczywiście, że na propozycję tę nigdy nie otrzymał odpowiedzi.

Nareszcie, późnym już wieczorem, Napoleon zaczął czynić pewne przygotowania do odwrotu; miał to być odwrót tak imponujący, by czynił wrażenie manewru.

Sprzymierzeni zachowywali się przez cały dzień spokojnie, po części w celu wypoczynku, i także dlatego, że oczekiwali generałów Colloreda i Bennigsena od wschodu, a Bernadotta od północy. Tego ostatniego musiał Blücher a także angielski ambasador przynaglać do pośpiechu, gdyż był tak ostrożny i trwożliwy, że sprzymierzeni musieli wątpić o jego odwadze, nie mogąc też liczyć na jego charakter.

W ciągu dnia przybyli Austriacy pod wodzą Colloreda i Rosyanie pod Bennigsenem i zajęli swe stanowiska. Niebawem nadciągnął też Bernadotte. Z wież Lipska można było widzieć nadciągające wciąż nowe wojska, które uzupełniały szeregi Szwarcenberga. Wieczorem cały widnokrąg wokół miasta płonął od ognisk obozowych.

Hrabia Rochechouart, emigrant francuski w rosyjskiej służbie, pojechał z rozkazem cesarza Aleksandra do Bernadotta, który stał pod Pannsdorfem. Zastał szwedzkiego następcę tronu na białym rumaku, w płaszczu aksamitnym z fioletowymi i złotymi i sznurami, w kapeluszu o białych piórach, a nad nimi jeszcze piętrzył się wysoki pióropusz w barwach Szwecyi; w rękę trzymał obciągniętą fioletowym aksamitem laskę marszałkowską, zakończoną z obu stron złotą królewską koroną.

Pod koniec walki Bernadotte zawołał: „Jeszcze kilka granatów tym Francuzom, których tak nade wszystko kocham.”

Ale właśnie w czasie, gdy szwedzki następca tronu pod Lipskiem strzelał do francuskich żołnierzy, cała Francya zawrzała oburzeniem przeciw Bernadottemu. *Monitor* co dnia zamieszczał z pro-

wincyi i wielkich miast adresy: „Wyprzyjmy się tego niewdzięcznego Francuza, tego zdrajcy kraju i t. d.”

Dn. 18 października Napoleon zaczął już o godzinie drugiej ściągać swe wojska w bliższym obrębie Lipska; miał on plan powolnego wycofania armii wśród ustawicznej walki na szosę pod Lindenau, by stamtąd odmaszerowała na zachód gościńcem, wiodącym do Lützen.

Pulkownik inżynierji, Montfort zwrócił się do Berthiera o rozkaz rzucenia kilku mostów nad małemi rzekami w okolicy miasta. Ale Berthier był jeszcze ciągle ogłuszony i nie chciał mówić z cesarzem o takich drobnostkach.

Walka dn. 18 października toczyła się głównie koło wsi Probstheida, w południowo-wschodnim kierunku od miasta, gdzie Napoleon bawił osobiście przy korpusie marszałka Victora.

Równocześnie jednak walczone cały dzień pod Dölitz, gdzie marszałkowie Poniatowski i Augereau stawiali opór księciu Hessen Homburg, który, otrzymawszy ranę, został zastąpiony przez generała Bianchi. Następnie walczył Marmont tak samo jak poprzedniego dnia, w północnej dzielnicy miasta, przeciw Blücherowi i Bernadottemu. Nakoniec w dzielnicy zachodniej, Austriacy pod wodzą Gyulaia usiłowali przeszkodzić Bertrandowi, który otrzymał rozkaz przygotowania wymarszu, zaczynając od wielkich trenów transportowych i najcięższych wozów.

Dokoła Probstheidy walka przez cały dzień toczyła się z ogromną zaciętością. O godzinie 2-jej przypuszczono główny atak do wsi, którą Francuzi dwukrotnie utracili. Ale cesarz uważał tę pozycję za tak ważną, że osobiście wykonał atak ostatni i wyparł też Prusaków.

W walce tej padli generałowie Vial i Rochambeau. Vial był jednym z wielkich. Otrzymał był dowództwo, gdy Kleber został ranny pod Aleksan-

dryą, niezadługo po wylądowaniu w Egipcie; Rochambeau zaś był tym, który po śmierci Leclerca podjął się wyprawy na Haïti.

W ciągu popołudnia Szwarzenberg wysunął swą artylerję, przyczem chodziło mu tylko o odparcie tego dnia armii francuskiej do Lipska. To mu się też udało. Tracono jedno stanowisko po drugim i Francuzi musieli coraz dalej cofać się do przedmieść miasta.

Równie zacięta walka toczyła się na północno-wschodniej stronie miasta, pod Pansdorf. Tu Ney, Marmont, Souham i Reynier, który nadciągnął ze swymi Sasami mieli przeciw sobie siły Blüchera, Bernadottego i zbliżających się od wschodu Rosyan.

Tu właśnie stało się, że oddział saskiej konnicy, wysłany przeciw Rosyanom, zamiast nacierać, wykonał zwrot i przeszedł na stronę rosyjską.

Ale był to tylko początek dezertowania. Bo w chwili zjawienia się nieprzyjaciela pod Pansdorf, reszta wojsk saskich z 40 armatami, oraz wirmberska konnica pod generałem Normanem przeszły na stronę Rosyan, a wszelkie usiłowania szefa, w celu powstrzymania ich od tego kroku, okazały się bezskuteczne. Szefem był bawarski generał v. Zeschau, jako człowiek honorowy pozostał u Francuzów z 500—600 żołnierzami.

I nie dość na tem, że wojska te zbiegły wśród walki; oddaliwszy się bowiem nieco, zwróciły swe armaty i zaczęły z nich strzelać do dywizyi Durutte, która została tu ustawiona wyłącznie jako osłona i rezerwa dla Sasów.

Tu padł generał Delmas, znów jeden ze starych bohaterów.

Strzelano z dwustu armat, dopóki można było widzieć i dopiero noc położyła kres krwawej kąpieli.

Francuzi zrozumieli, że teraz dokonać się ma dzieło rozpoczęte w Rosyi i z bohaterskim uporem walczyli dzielniej, niż kiedykolwiek.

A sprzymierzeni ze swej strony dość mieli do pomszczenia. Austriacy i Rosyanie pragnęli załatwić rachunki wieloletnie.

Ale największy zapal bojowy panował u Niemców, w młodych Niemczech, które się podniosły, by wziąć udział w wielkiej walce narodów, zdobyć wolność dla wielkiej niemieckiej ojczyzny i złamać narazcie moc tyrana.

Armia francuska musiała rozpocząć odwrót, chociażby z tej przyczyny, że prochu i kul starczyło już tylko na dwie godziny. A najbliższe arsenały były w Erfurcie i Magdeburgu. W ostatnich pięciu dniach padło ze strony francuskiej 250,000 wystrzałów armatnich, co na armaty ówczesne jest liczbą olbrzymią. Przez całą noc treny i wozy przeciągały przez most lindenauski; za nimi ruszyła konnica, gwardya i część piechoty.

Marsz był utrudniony przede wszystkim przez niedostateczną liczbę mostów.

Z pierwszym świtem rozpoczął się straszny tłok w ulicach Lipska, który się z każdą chwilą potęgował. Najgorzej było w pobliżu wielkiego mostu nad Elsterą, koło frankfurckiej szosy, wiodącej do Lindenau, która wraz z groblami miała niemal pół mili długości.

Gdyby cesarz usłuchał był nasuwającej się rady: spalił był przedmieście, i krok za krokiem brocił odwrotu, niszcząc za sobą wszystko, cała armia byłaby miała dość czasu do przeprawienia się przez most. Ale Napoleon nie chciał niszczyć Lipska ze względu na starego króla.

Serdecznie pożegnał swego jedyne go wiernego sprzymierzeńca, jedyne go wśród książąt, dla którego żywił pewną sympatyę.

Uradowani odwrotem, którego się prawie nie

spodziewali, sprzymierzeni gwałtownie wtargnęli do przedmieść Lipska, lecz bram starego miasta bronili uporczywie: Marmont, Reynier, Ney, Poniatowski i Lauriston. I gdyby byli jeszcze wytrwali przez parę godzin — a były wszelkie widoki, że to uczynić zdołają — cała armia byłaby mimo wszystko umknęła mostem pod Lindenau na drogę do Lützen.

Ale teraz zdarzył się jeden z tych nieszczęśliwych wypadków, które nigdy nie zdarzały się cesarzowi za dobrych jego czasów, tem mniej jeszcze generałowi Bonaparte, w które jednak tak bardzo obfituje kampania rosyjska i saska.

Most na Elsterze był podminowany, że każdej chwili można go było wysadzić w powietrze. Cesarz sam dozorował był tej roboty. I pozostawił zlecenie podpalenia miny w ostatniej dopiero chwili, gdy armia będzie już po drugiej stronie, a wróg tuż w pobliżu. Po wydaniu tego rozkazu przeprawił się przez most ze swym sztabem.

Ścisk tymczasem zwiększał się z każdą chwilą w sposób straszny. Niepodobna było objąć wzrokiem sytuacji. Mimo dezertowania z dni ostatnich była jeszcze wśród Francuzów pokaźna liczba obcych wojsk; zjawisko przeróżnych uniformów wśród najrozmaitszych głosów komendy przeprawiało się przez most w najwyższym nieładzie; a coraz bliżej rozbrzmiewały odgłosy armat i broni palnej.

Koło mostu powinien był stać generał inżynierzy ze swym sztabem. Tymczasem tylko wyższy oficer sprawował komendę koło min, a ten musiał chyba stracić zmysły. Nagle — powiadają — wpadło mu na myśl przedostać się przez most do cesarza, aby bliższy otrzymać rozkaz.

I stało się, co mógł być przewidzieć. Dostawszy się w szalony ścisk na moście, żadną miarą nie mógł się napowrót dostać na swe stanowisko przy minach. Tam stał teraz tylko nieszczęśliwy podoficer z zapalonym lontem w ręku.

Nie może też nikogo dziwić, że biedny sztyd-wach, zostawszy bez określonego rozkazu i bez przełożonego, któryby mu odpowiednią wskazał chwilę, zawczasie podpalił minę.

Straszny huk, który zagłuszył grzmot armat i wszelką inną wrzawę przebudził Napoleona, który zasnął był, dyktując rozkazy dla Macdonalda. Murat i Angereau wpadli, meldując, że wielki most na Elsterze został wysadzony w powietrze.

W ten sposób zostało 20,000 ludzi odciętych od niego i od Francyi i wydanych na łup najstraszniejszej rozpacz. Położenie było niemal tak okropne, jak nad Berezyną. Wielu wołało umrzeć, niż się poddać. Rzucali się do rzeki, lecz tylko bardzo dobrzy pływacy i oficerowie na doskonałych koniach zdołali się wplaw przeprawić.

Marszałek Poniatowski, tak samo, jak inni usłyszał silną eksplozyę i zrozumiał co ona znaczy. W tejże chwili zaprzestał bezużytecznej walki i z kilku oficerami rzucił się z koniem w rzekę. Wszelako, wyczerpany przez liczne rany i niesłychane wysiłki, nie zdołał dobić z koniem do drugiego brzegu. Koń się przewrócił, a księżę utonął. Dzielny Polak tylko przez trzy dni cieszył się swą łaską marszałkowską, na którą tak ucziwie był zasłużył.

Utonął także generał Dumoussier. Natomiast długi, silny Szkot, Macdonald, zrzucił z siebie mundur marszałka i całą odzież, a przepłynąwszy Elsterę, wdrapał się na drugi brzeg i pędził przed siebie skroś pól. Udało mu się napotkać kilkunastu żołnierzy z własnego korpusu i nagutenki, jak stał, natychmiast objął dowództwo. Miał on kryć odwrot.

Na równinach Lipska cesarz Napoleon zostawił kwiat francuskiej młodzieży i jądro swej starej, niezwyciężonej armii. Siedemnastu generałów dostało się do niewoli, między nimi hrabia Lauri-

ston. Tu utracił też Napoleon zaufanie swych oficerów i cały swój wpływ w Europie.

Niemniej codziennie jeszcze był na siodle i od Lipska do Erfurtu walczył z czerykroć liczniejszym wrogiem, który go prześladował. A nieprzyjaciele ciągle jeszcze widzieli w nim strasznego wojownika, do którego niebezpiecznie się było zbliżyć.

Dnia 22-go października znalazł się nakoniec w Oppenheim wśród samych Francuzów. Z niepewnych wojsk posiłkowych nie zostało mu ani jednego żołnierza. Ale właśnie w Oppenheim zaczęli go też odstępować swoi.

Murat, który przez trzy dni pod Lipskiem był znów dawnym, świetnym Muratem, odbył tu w nocy tajemną rozmowę z austriackim hrabią de Merem, który chyłkiem wsunął się do obozu. Hrabia zapewnił Murata imieniem Austrii i Anglii, że ocali dla siebie koronę Neapolu, jeśli porzuci Napoleona.

W dwa dni później rozstali się cesarz z Muratem i nigdy się już nie zobaczyli.

Na jedną tylko poważną przeszkodę natrafiła armia podczas marszu do Moguncyi. Bawarski generał Wrede, który tak długo służył był pod Napoleonem, zagroził Francuzom dalszy pochód, ustawivszy się pod Hanau z tak znaczną siłą zbrojną, że cesarz zdawał się być zgubionym. Lecz rozwiścieczona gwardya przebiła się przez szeregi wroga, torując armii drogę. Generał Wrede został ciężko ranny.

Nakoniec, dnia 31-go października przybyli do Moguncyi. Po raz ostatni bawił cesarz w tem mieście, gdzie tylekroć zatrzymywał się był ze swymi wojskami podczas wymarszu, lub wracając do Paryża.

W Moguncyi cesarz zabawił sześć dni. Zreorganizował tu, o ile się dało, armię i rozstawił woj-

ska, mające bronić Renu i granic Francyi, ustanowionych przez Republikę.

Macdonald miał bronić Renu koło Kolonii, Marmont koło Moguncyi, Victor koło Strassburga. Książę Valmy, stary marszałek Kellerman został wysłany do Metzu, gdzie miał ćwiczyć rekrutów.

Reszta armii została rozmieszczona w obrębie tych granic.

Dnia 9 listopada cesarz był znów w St. Cloud.

Powrót ten był znacznie gorszy, niż przed rokiem z wyprawy rosyjskiej. A tym razem mniej jeszcze było czasu, gdyż wróg był niedaleko. Napoleon pracował jak nigdy przedtem; dzień i noc był na nogach.

Ale tym razem celem sprzymierzonych książąt był Paryż. Pozornie, by Napoleona tumanić, prowadzono jeszcze rodzaj układów. Ale postanowienie ich było jednomyślne: z nim nie chciano już mieć nic do czynienia; musiał teraz zostać zgładzony.

Marszałek polny, Szwarcenberg, a z nim generał Bubna mieli teraz wkroczyć od strony Szwajcaryi. Blücher miał poczekać do chwili ich wymarszu, a następnie koło Mannheimu przeprowadzić się przez Ren. Bernadottemu poruczono zająć Holandję.

Po za tą linią nie pozostało już nic z posiadłości Napoleona. Tylko Rapp bronił jeszcze Gdańska, a Davoust Hamburga.

Dn. 11 listopada marszałek St. Cyr, pozostawiony przez Napoleona w Dreźnie, poddał się ze swymi 30,000 żołnierzy, pod warunkiem spokojnego odwrotu. Za ten czyn ostro marszałka ganiono.

Ale Szwarcenberg, wbrew wszelkiemu prawu i zwyczajowi, wzbraniał się uznać tę kapitulację i cały korpus jako nędznych jeńców wojennych odstawił do Austrii.

Dn. 21 listopada Szczecin musiał się poddać po ośmiomiesięcznem oblężeniu.

Dn. 24 listopada generał Bülow wkroczył do Amsterdamu, proklamując ród książąt Orańskich.

D. 2 grudnia padł Utrecht, dn. 4 grudnia Szwedzi weszli do Lubeki, aż wreszcie Francya utraciła wszystkie swe zdobycze i wszystkich sprzymierzeńców. Bo także wierna Dania została zmuszona do podpisania pokoju z Rosyą.

Tylko jeden Davoust uporczywie siedział w Hamburgu, zamknąwszy bramy miasta.

IX.

Znawcy spraw wojennych jednomyślnie twierdzą, że Napoleon nie okazał się nigdy większym wodzem, jak w walkach, które teraz w ciągu trzech miesięcy r. 1814 rozgrywały się między Paryżem, a granicą wschodnią.

O niezłomnej ufności we własne siły świadczy fakt, że ten na siebie tylko samego skazany człowiek, na przekór wszelkiemu zdrowemu rozsądkowi, ostatnie swe wojska przeciwstawiał tak ogromnie przeważającym siłom wroga.

A że inni, po wszystkim co się stało, jednak przy nim trwali, jako dzielni wojownicy i ludzie honorowi, wyężdżając resztki sił, dowodzi tylko tego, że całe ich życie i myśl nim tylko były wypełnione. Bo nie było wśród nich ani jednego, któryby nie wiedział, że każdy dzień walki i oporu jest stratą dla Francyi i bezsumienną igraszką ludzkim życiem. Wszelako jeden ten człowiek tak ich wszystkich w swem ręku trzymał, że walczyli dzień po dniu, bez nadziei, lecz z takim bohaterskim oddaniem dla swego wodza, że sprzymierzeni nieraz się znaleźli w trudnem położeniu.

Dn. 23 stycznia cesarz podpisał dokument, przenoszący regencyę na cesarzową. Opiekę nad

stolicą powierzył swemu bratu królowi Józefowi. Uściskawszy po raz ostatni Maryę Ludwikę i małego króla Rzymu, udał się do głównej swej kwatery, która znajdowała się pod Chalons nad Marną.

Teraz następowała bitwa po bitwie; gdzie cesarz był obecny, zawsze prawie odnoszono zwycięstwa, lecz zdarzały się także przegrane, a zwycięstwa nie były o wiele lepsze od klęsk, gdyż jedno i drugie osłabiały i zmniejszały siły jego z dnia na dzień topniejącej armii.

Sprzymierzeni tymczasem zwołali kongres do Châtillon, a wysłannik Napoleona, książę Vicenzy, czynił wszystko, co było w jego mocy dla uzyskania znośnych warunków pokoju. Ale nieszczęścia nie uczyniły Napoleona rozsądniejszym i po każdej wygranej stawiał takie warunki, że go tylko wyśmiewano. A poniosłszy kilka porażek, naglił tylko do dalszej walki, nie mogąc się żadną miarą uznać za zwyciężonego.

Przedewszystkiem stoczono pierwsze walki: dn. 29 stycznia pod Brienne, dn. 2 lutego pod La Rothiere, dn. 10 lutego pod Champaubert.

Dn. 17 lutego Napoleon wydał rozkaz marszałkowi Victorowi, by obsadził wojskiem wieś Monttereau w pobliżu Fontainebleau. Marszałek jednak nie wypełnił rozkazu cesarza ze swyłą ścisłością, a gdy 18 lutego przybył na wskazane miejsce, było zapóźno, gdyż Wirtembergowie zajęli już byli to stanowisko.

Napoleon nie posiadał się z gniewu. Odebrał marszałkowi dowództwo i powierzył je Girardowi, przysięgając, że Victora wykluczy z armii. Ale marszałek, który właśnie stracił w walce zwycięstwo, odpowiedział ze łzami w oczach, że armii nie opuści; raczej weźmie broń na ramię i stanie w szeregu jako zwykły żołnierz.

W oka mgnieniu cesarz się udobruchał. Po-

wierzył Victorowi komendę nad częścią gwardyi i zaprosił go do obiadu.

Także znakomity generał Gouyot, który był obecnym przy klęsce Vandammes'a pod Kulm, został przez cesarza skarcony, gdyż ludzie jego utracili dwie armaty. Cesarz w gniewie rzucił o ziemię kapelusz, a dowództwo oddał generałowi Excelmansowi. Ale niezadługo potem, gdy walka pod Montereau rozwinęła się w wielką bitwę, powierzył generałowi Gouyot dowództwo nad czterema szwadronami, stanowiącymi jego straż przyboczną.

Tu właśnie, pod Montereau, Napoleon, pozostający wśród najstraszniejszego ognia dział, powiedział do artylerzystów, proszących go, by się oddalił:

— Bądźcie całkiem spokojni; kula, która mnie ma ugodzić, nie została jeszcze ulaną.

Wirtemberczycy ponieśli наконец klęskę stanowczą, jak na to zasłużyli. Przy nieudalém wysadzaniu mostu został śmiertelnie ranny generał Chateau, zięć Victora, a generał Pajol znów się dostał pod konie.

Tego samego dnia, 18 lutego, Macdonald i Oudinot rozpędzili generałów Wrede i Wittgensteina tak szybko i niespodzianie, że francuscy marszałkowie mogli zasiąść do stołu dymiącego od gorących potraw i przybranego w laury, który zastawiony był dla tamtych.

To zwycięstwo pod Montereau do tego stopnia spotęgowało nadzieje Napoleona, że gdy adjutant Remigny po raz czwarty przybył z depeszami z kongresu w Châtillon, cesarz krzyknął doń, by z temi bezwstydnymi propozycjami udał się do Burbonów.

Sprzymieżeni książęta, po bitwie pod Montereau, skierowali się w pierwszej chwili do odwrotu, a Paryż raz jeszcze otrzymał przesyłkę zdobytych chorągwi. Wszelako sieć znów się zaciągnęła; przedewszystkiem Blücher, stary wilkołak ciągnął ze so-

bą Austryaków i Rosyan, nieubłaganie dokonywując zemsty za Jenę i Auerstädt.

Miasto Soissons, punkt niezwykle ważny podczas odwrotu, zostało haniebnie wydane wrogom przez francuskiego generała Moreau. Marszałek Augereau, który zawsze był opieszale, teraz całkiem się przestał troszczyć o sprawę Napoleona i zupełnie beczynny bawił w Lyonie z całym swym korpusem.

Nawet wierny przyjaciel Napoleona, Savary, ksiązę Rovigo, stracił otuchę. Tylko Talleyrand do najdrobniejszych szczegółów obmyślił zdradę i ze spokojem wyczekiwał tego, co nastąpić musiało.

Dn. 5 marca wywiązała się gwałtowna walka pod Craonne. Ney i Victor z piechotą, Grouchy i Nansouty z konnicą, wszyscy mniej lub więcej ranni, oraz generał Belliard, który po Muracie otrzymał był naczelne dowództwo nad jazdą, wypędzili wroga z miasta Craonne, przy pomocy armat Drouota. Ale smutne to było zwycięstwo. Wszyscy wokół Napoleona czuli, że zbliża się kres i zarówno wojownicy, jak dyplomaci, zwracali spojrzenia w kierunku Châtillon, gdzie, rozumieli dobrze, rozstrzygają się losy Francyi, a także ich własne.

Wśród sprzymierzonych natomiast panowało gorączkowe pragnienie dotarcia do Paryża. Cesarz Franciszek, król Fryderyk Wilhelm i cesarz Aleksander, w których stolicach Napoleon nie raz był rezydował, łaknęli teraz odwetu. Wielu znów pragnęło ujrzeć Paryż, gdzie za dni młodości spędził trochę czasu na najbardziej grzesznym i najwspanialszym z dworów Europy.

Ale losy wojny ciągle się jeszcze chwiała. Za nagle pojawieniem się Straszniego zdejmował wszystkich lęk śmiertelny, a cesarz powiedział, że w ciągu jednej nocy połowa włosów mu posiwała.

Dn. 20 marca w bitwie pod Arcis, cesarz zmusił swego konia, by skoczył przez granat, który

właśnie upadł. Excelmans chciał nań krzyknąć, ale Sebastiani go powstrzymał:—Czyż pan nie widzisz, że czyni to rozmyślnie? Chce już skończyć!

Ale gdy wyrzucone przez eksplozyę masy ziemi i kamieni opadły, cesarz nietknięty siedział na swym koniu.

Po mistrzowskim odwrocie z Arcis cesarz nie sądził, by sprzymierzeni odważyli się przeciągnąć mimo niego do Paryża. Ale tym razem zdobyli się na odwagę i maszerowali za Marmontem i Mortierem, którzy pod Fère Champenoise zostali napađnięci przez olbrzymią większość.

Generałowie Pacthod i Amey mieli przy swych dywizjach stosunkowo olbrzymią ilość wozów transportowych, których strzedz mieli. Otóż ten długi tren wozów sprawił, że sprzymierzeni generałowie zbyt przeceniali siłę nieprzyjaciela, a trwożni, jak zwykle, sądzili, że atak należy przypuścić ze wszech sił. Przeto cała sprzymierzona kawalerya odrazu rzuciła się do ataku i tak nagle, że książęta nie mieli już czasu cofnąć się ze swymi generalnymi sztabami, lecz galopem musieli się przyłączyć do pędzących, by nie zostać stratowanymi przez rozpędzonych jeźdźców.

W ciągu trzech minut cesarz Aleksander i król pruski znaleźli się w pośrodku kolumn francuskich, ze wszech stron otoczeni masą 16.000 jeźdźców: Rosyan, Prusaków i Austryaków, kirasyerów, dragonów, ułanów, husarzy i kozaków.

— Nigdy w życiu—powiada hrabia Rochechouart — nie ujrzę podobnej mieszaniny; nie zdołałbym żadną miarą opowiedzieć, co działo się tym strasznym zgielku i w jednej chwili wszystko się skończyło.

Mała garstka Francuzów, w puch rozbita pod Fère-Champenoise, składała się przeważnie z młodych francuskich rekrutów, noszących jeszcze swe chłopskie bluzy. Z generałów zostali pojmani: Pacthod, Amey, Jamin i Thevenot.

Dn. 28 marca cesarz, bawiący w St. Didier, dowiedział się, że sprzymierzeni stoją przed Paryżem. Skoczył na konia i pomknął galopem. Miał jeszcze nadzieję, że zdoła Paryż obronić — w każdym razie ani na chwilę nie myślał o poddaniu się i nie tracił otuchy.

Resztki armii francuskiej ścigały do Paryża, a w ślad za niemi szli sprzymierzeni. Francuzi stoczyli niejedną walną bitwę, dzielnie opędzając się wrogowi, aż nakoniec dnia 29 marca stanęli tuż koło Montmartre i wałów zewnętrznych. Ostatnia walka rozegrała się o Paryż, gdzie marszałkowie Mortier i Marmont z niezłomnem męstwem stoczyli ostatni, beznadziejny bój.

Wraz z przypadkowymi posiłkami, otrzymanymi w Paryżu, mieli 30,000 żołnierzy, gdyż ani król Józef, ani minister wojny Clarke nie uczynili nic dla obrony miasta, pomimo, że mieli do tego dość czasu i sposobności. Minister wzbraniał się nawet wydać 20,000 nowej broni z arsenału; był już widocznie gotów do porzucenia Napoleona.

O dwunastej w południe, dnia 29 marca, gdy z wyżyn Montmartre ujrzano już wrogie wojska, król Józef przesłał marszałkom rozkaz poddania Paryża. Marmont, który rozkaz ten otrzymał, włożył go do kieszeni.

W Tuileryach odbyła się narada. Dygnitarze państwa, ministrowie, król Józef i cesarzowa Marya Ludwika zgodzili się jednomyślnie, że regentka z małym następcą tronu musi opuścić Paryż.

Tylko jeden Talleyrand gorąco obstawał, by cesarzowa pozostała w stolicy i sprawowała rządy, jako regentka, do czego upoważniało ją pełnomocnictwo cesarza. Dawno bowiem ułożył się już był ze sprzymierzonymi i Burbonami, a byłoby dla niego jeszcze większym tryumfem, gdyby zaraz teraz mógł cesarzowi Franciszkowi wydać córkę i młode-

go orla. Ale inni, nie przygotowawszy się tak do-
brze, odprowadzili cesarzową do Blois.

Talleyrand natomiast poszedł się pakować, co
mu tyle zajęło czasu, że gdy wieczorem przybył
w swej karecie podróżnej do rogatek, straż zabro-
niła mu opuścić miasto. Został więc odprowadzony
do swego wielkiego pałacu, mającego mu służyć
niejako za rodzaj więzienia.

Tak więc, salony Talleyranda stały się punk-
tem zbornym dla tej części Paryża, która się jesz-
cze trzymała. Cesarz zamieszkał w hotelu Talleyran-
da, a w samym środku sieci siedział stary pajak,
trzymając wszystkie nici swego misternego, mocne-
go przędziwa.

Marmont nie powiedział Mortierowi o roz-
kazie króla Józefa, który nosił w kieszeni, lecz za-
warł zawieszenie broni, do którego przyłączył się
też Mortier. A po bohaterskiej obronie marszałko-
wie cofnęli się do Fontainebleau, zostawiając nie-
przyjacielowi wolny przystęp do Paryża.

Compans, Arrhigi, Ricard, Christiany, Curial i
Lagrange byli ostatnimi generałami, których dywi-
zye walczyły z całą uzbrojoną Europą.

Cesarz wysłał generała Dejean, by zapowie-
dział jego przyjazd do Paryża. Tego dnia przebył
był ze swą gwardyą piętnaście mil francuzkich i sta-
nął w Troyes. Rano dnia 3 marca znów był na
koniu, a o godz. 10 wieczór był tuż w pobliżu mia-
sta. Stał właśnie na drodze, by po raz ostatni zmie-
nić konie koło Fontainebleau, gdy generał Belliard
mu zameldował, że Paryż się poddał, a on wypro-
wadza właśnie ze stolicy kawaleryę.

Cesarz wysłuchał go w milczeniu.

— Dobrze — rzekł: — musimy teraz ruszyć do
Paryża.

— Ależ Najjaśniejszy panie! w Paryżu niema
wojsk.

— Nie szkodzi. Znajdę tam gwardyę narodową;

moja armia zbierze się jutro; ruszaj pan za mną ze swoją kawaleryą!

— Najjaśniejszy pan tyle tylko wskóra, że zostanie pojmany i będzie zmuszony patrzeć jak wróg plądruje stolicę, otoczoną 130,000 żołnierzy—odparł Belliard—ja sam chcąc się wydostać z miasta, musiałem się wraz ze swymi ludźmi zobowiązać, że nie powrócę.

-- Sześć godzin zapóźno i wszystko stracone!—rzekł cesarz. — Wszedł do małego przydrożnego budynku pocztowego, siadł na krześle i zapadł nareszcie w sen głęboki.

Podczas wkraczania sprzymierzonych książąt do Francyi, szwedzki następca tronu prowadził korpus, maszerujący najdalej na północy. Książęta nie mieli doń wielkiego zaufania i chętnie trzymali go nieco zdala; on sam czuł zawsze, jak bardzo niepewnem jest jego stanowisko. Zmierzając przez północne Niemcy ku zachodowi, przyswajał sobie po drodze wszystkie posiadłości, które Napoleon nadał był jego dawniejszym towarzyszom broni. Ale tak był jeszcze niepewny i przyzwyczajony zachowywać sobie na wszelki wypadek wszystkie fartki otworem, że w dalszym ciągu snuł intrygi, na lewo i prawo, gotów do każdej zdrady, byle tylko zastrzymać godność królewską.

Wkroczywszy do Flandryi, której bronił dawny jego towarzysz broni, generał Maison, uczynił pisemną propozycję, że rozbroi Prusaków, pozostających pod jego rozkazami i z wojskami szwedzkimi przejdzie na stronę Francuzów, jeśli otrzyma pisemne oświadczenie cesarza Napoleona, zapewniające mu tron w Szwecyi, lub w którymkolwiek innym kraju.

Napoleon się zgodził, lecz pod warunkiem, że król Józef podpisze to oświadczenie; na tem jednak układy się rozbiły.

Napoleon jednak zachował ten list Bernadotta

do generała Maison i postarał się później, by pismo to dostało się do rąk cesarza Aleksandra. Stąd podobno ma pochodzić niechęć do następcy tronu i późniejszego króla Szwecyi, przejawiająca się ostentacyjnym chłodem dworów europejskich względem Bernadottów. Co prawda istniało też po temu dość innych powodów.

Nawet z czcigodnym Carnotem usiłował Bernadotte wejść w jakieś układy. Ale Carnot broniący wówczas Antwerpji, kazał wysłannikowi Bernadotta powiedzieć: „Byłem przyjacielem francuskiego generała Bernadotta, lecz jestem wrogiem obcego księcia, który podnosi broń przeciw własnej ojczyźnie.”

Ale najgorszym z wszystkich postępków Bernadotta była może proklamacya, którą za zbliżeniem się wojsk sprzymierzonych przesłał za francuską granicę. W proklamacyi tej grozi on imieniem francuskiego bohatera, który niegdyś walczył za sławę Francyi, że w razie stawiania oporu, cała ludność zostanie wydana na łup zemsty kozaków.

Dn. 1 kwietnia Napoleon myślał tylko o ruszeniu na Paryż. Z Fontainebleau wyjechał konno do Essonne i obejrzał stojący tu korpus Marmonta, złożony — z samych świetnych i do boju gotowych żołnierzy. Tu po raz ostatni Napoleon rozmawiał z Marmontem.

Dn. 2 kwietnia, odbył przegląd własnej swej gwardyi, na wielkim podwórzu przed zamkiem Fontainebleau — ze zwykłym chłodem i spokojem. Książę Vicenzy przybył z Paryża z niepomyślnemi wieściami, lecz cesarz w dalszym mówił o nowej walce. W rzeczywistości, zebrawszy wszystkie oddziały wojsk, które mu pozostały wierne, miał jeszcze: Souлта i Sacheta w Hiszpanii, generała Grenier we Włoszech, wszystkie twierdze we Francyi i Wło-

szech—bądź co bądź, siły wystarczające do strasznej wojny domowej—któraby się może zakończyła ponownem wyniesieniem go na tron.

Zgromadził dokoła siebie gwardyę i kazał jej przysiądz, że nieprzyjaciół zostanie z Paryża wypędzony; w ciągu nocy wykonano nawet mały marsz ku stolicy.

Ale dn. 3 kwietnia wojska zaczęły odpadać.

Wojska, stojące koło Yvonne pod marszałkami Oudinotem i Macdonaldem, wyraźnie oświadczyły, że nie ruszą na Paryż.

Macdonald podjął się zakomunikować tę wiadomość cesarzowi i pojechał do Fontainebleau.

Tymczasem najwyżsi oficerzy z otoczenia cesarza odbyli naradę i z księciem Moskwy na czele udali się do pokoju cesarza, żądając, by abdykował.

Równocześnie dokonała się nieszczęsna zdrada Marmonta.

Nazajutrz ci sami mężowie znów się zgromadzili w pokojach Napoleona; byli tu Berthier, Caulaincourt, Moncey, Maret, Lefebvre i Ney. Cesarz kilkakrotnie próbował ułożyć pisemną abdykacyę; podczas tego przybył marszałek Macdonald ze swą wieścią.

Cesarz zwrócił się teraz do grona swych generałów i zapytał, czy przyłączą się do jego syna. Wszyscy jednogłośnie odpowiedzieli:—tak! Najgoręcej Macdonald.

Napoleon wybrał wówczas Caulaincourta, Ney'a i Marmonta, by wręczyli jego abdykacyę i jego imieniem układali się ze sprzymierzonymi książętami w Paryżu. Ale później na miejsce Marmonta, wybrał Macdonalda, jakkolwiek w owej chwili nie jeszcze nie mógł wiedzieć o odstępstwie Marmonta.

Pierwsza rezygnacya cesarza Napoleona brzmiała następująco: Ponieważ sprzymierzone mocarstwa w proklamacyach swych wyraziły, że cesarz Napoleon stanowi jedyną przeszkodę w przywróceniu Eu-

ropie pokoju, przeto cesarz Napoleon—wierny złożonej przysiędze—oświadcza gotowość wyrzeczenia się tronu, Francyi, a nawet życia dla dobra ojczyzny—obstając jednak przy nienaruszalności praw swego syna, regencyi cesarzowej i ustaw cesarstwa.

Z dokumentem tym wysłał księcia Vicenzy i obu marszałków. Ale jeszcze w ostatniej chwili Napoleon nieco na stronie rzekł do Macdonalda:

Wracaj pan, a ruszymy na nich jutro i ich pobijemy!—Marszałek jednak udał, że nie słyszy.

Marmont urodził się w r. 1774, a umarł dopiero w r. 1852; żył najdłużej z wszystkich marszałków Napoleona. Już od Tulonu towarzyszył wszędzie generałowi Bonaparte. We Włoszech, na Malcie, w Egipcie, podczas przejścia przez Alpy w r. 1799 wszędzie się odznaczył. Tak samo pod Marengo i w Dalmacyi, gdzie zdobył Raguzę—ztań też pochodził jego tytuł książęcy. Przybył w przeddzień bitwy pod Wagramem, a później pobił Austriaków na własną rękę pod Znaimem. Następnie został marszałkiem i gubernatorem w Iliryi, a Napoleon szanował go i wynagradzał więcej, niż wszystkich innych. Jeśli wogóle może być mowa o faworytach Napoleona, to byli nimi chyba Junot i Marmont.

Gdy jednak fortytowanie Junotą tem się przejawiało, że Napoleon zawsze, przynajmniej bardzo długo—był względem niego pobłażliwym, to stosunek cesarza do Marmonta, polegał na pełnem uznaniu wielkich zdolności wojennych młodszego oficera, które Napoleona cieszyły. Marmont więcej, niż ktokolwiek inny rozwinął się pod oczyma i kierownictwem cesarza. To tłumaczy pewną serdeczność Napoleona dla Marmonta.

To wprawdzie nie przeszkadzało Napoleonowi, by w sprawach służby był dla Marmonta tak samo zimny i twardy, jak dla każdego innego. Gdy Marmont po raz pierwszy po bitwie pod Salamanką

zjawił się w Tuileryach, blady, wynędzniały, ze zmiażdżonem obandażowanem ramieniem, Napoleon, przechodząc koło niego, rzekł:—Ramie musisz sobie dać odjąć, marszałku!

Niemniej zawsze i wszędzie pamiętał o Marmontcie, który też to czuł. Już po bitwie pod Montebello Bonaparte, za pośrednictwem brata swego Józefa, uczynił Marmontowi propozycję, by się ożenił z Pauliną. Odkąd rodzina Bonapartów zaczęła dochodzić do znaczenia, stale ofiarowywano jej rękę, gdy chciano komuś wyświadczyć zaszczyt, lecz zdaje się, że wielu z honoru tego rezygnowało. W każdym razie uczynił to Marmont. A gdy Napoleon bawił raz bardzo daleko, Marmont ożenił się w Paryżu z bardzo bogatą panią, niejaką Peregeaux.

Początkowo był bardzo zakochany, lecz żona jego okazała się nierozsądną i bardzo kapryśną; długie okresy rozłąki, fatalne dla wielu ówczesnych małżeństw, pchnęły ją do wiarołomstwa, a w dalszym ciągu dokuczała mu gdzie i ile tylko mogła.

Gdy Marmont w r. 1810 miał ruszyć do Portugalii w miejsce Masseny, cesarz rzekł doń:—Gdy półwysep Hiszpański zostanie zdobyty, podzielę go na pięć państw; każde będzie pozostawało pod rządami wice-króla. Jedno z tych królestw przeznaczone dla pana; zasłuż na nie, zdobywając półwysep.

Napoleon, mówiąc w r. 1813 o obcych oficerach, którzy podczas kampanii Saskiej wśród walki przeszli ze swemi wojskami na stronę wroga, począł roztrząsać, jaka jest różnica między sumiennym człowiekiem obowiązku, a człowiekiem honorowym; przy czem zwrócił się do Marmonta z temi słowy:

— Gdyby naprzykład wróg zawojował Francję i zajął wzgórze Montmartre, a pan w słusznem może przekonaniu, że tego wymaga dobro kraju—zdecydował się mnie odstąpić, to pozostałbyś pan może dobrym Francuzem, dzielnym wojownikiem, sumien-

nym człowiekiem obowiązku, ale nie człowiekiem honorowym.

Marszałek Marmont, który sam o tem opowiada w swych Pamiętnikach, dodaje całkiem chłodno:—O tych słowach musiałem później myśleć pod Essonne.

Jako jeden z najdzielniejszych walczył podczas całej kampanii Saskiej — pod Lützen, Budziszynem, Dreznem i Lipskiem — a teraz aż do końca wraz z Mortierem bronił Paryża, jak bohater, aż tu nagle wszystko się zmieniło. Niepodobna wyjaśnić dlaczego człowiek ten stał się jednym z najniewdzięczniejszych względem Napoleona.

Gdy korpus jego z Mortmartre maszerował dokola miasta Essonne, leżącego na drodze, do Fontainebleau wiodącej, Marmont pojechał konno do swego pałacu w Paryżu. Skrwawiony i brudny po tyłudniowej bitwie potrzebował się obmyć, ogolić i trochę wytechnąć. Natychmiast jednak został odszukany przez wysłańca Talleyranda, który zadawał sobie wszelkie trudy, by możliwie największą liczbę oficerów, skłonić do odstąpienia cesarza Napoleona. A generał Marmont, mający pod swą komendą cały korpus tuż w pobliżu Paryża, byłby ogromną zdobyczą, którąby mógł się poszczycić przed sprzymierzonymi.

Jako pośrednika do Marmonta wybrał był Talleyrand serdecznego jego przyjaciela, Bourienne'a, który był ongi prywatnym sekretarzem cesarza. Ale Marmont odrzucał wszelkie propozycje słowami, że pragnie zginąć u boku swego cesarza. W tym nastroju opuścił Paryż i przybył do Essonne.

Ale następnego dnia, 3 kwietnia, partya odpadłych od cesarza oficerów, zaczęła gońca po gońcu ślać do Marmonta, aż ten zaczął się nareszcie wahać i wdał się w układy z agentami księcia Szwar-

cenberga. Ułożono się, że korpus jego odmaszeruje przez szeregi wojsk sprzymierzonych.

Gdy Caulaincourt i dwaj marszałkowie przejeżdżali przez Essonne, wioząc do Paryża dokument abdykacyi Napoleona, Marmont przyznał się trzem starym towarzyszom do zdrady popełnionej i zdawał się w najwyższym stopniu zrozpaczonem. Wczesnym rankiem—było to 4 go kwietnia -- zwołał był swych generałów, a wszyscy jednogłośnie godzili się na to odstępstwo.

Teraz jednak, stanąwszy w obec trzech wysłanników cesarza, uczuł wstyd i prosił, by mógł się do nich przyłączyć; pojechał też z nimi do Paryża, głęboko ukryty w karecie. Oficerom swym pozostawił rozkaz, by niczego nie podejmowali, zanim nie otrzymają od niego bliższego rozkazu.

Napoleon tymczasem, nie domyślając się niczego, wysłał do Essonne konnego jeźdźcę, prosząc Marmonta, by przybył do niego do Fontainebleau, gdyż pragnie się z nim rozmówić. Generałowie Marmonta wysnuli ztąd wniosek, że zostali zdradzeni, a zdęci trwogą, nie czekając bliższego rozkazu, odmaszerowali w nocy przez szeregi wojsk sprzymierzonych, jak zostało ułożone. Prowadził ich generał Souham, który nigdy nie był przyjacielem Napoleona; lecz był tu także dzielny Compans z całą swą znakomitą dywizją.

Pułkownik Fabrier galopem popędził do Paryża po Marmonta, który obiecał przybyć za godzinę, ale wcześniej jeszcze przybył z Essonne oficer, meldując, że reszta korpusu Marmonta także już odmaszerowała. Tylko Polacy dochowali cesarzowi wierności; pod wodzą generała Ordenera, ruszyli do Wersalu, by się przyłączyć do regimentów, które stały pod Rambouillem i nie przeszły jeszcze na stronę wroga.

Teraz jednak Marmont do tego stopnia już był w mocy zdrajców, że sam galopem popędził do Wersalu i wprost zmusił swych ludzi, by porzucili generała Ordenra i partyę cesarza, a przeszli na stronę sprzymierzonych.

Odstępstwo Marmonta godne jest uwagi nie jako przejaw niewdzięczności—niewdzięczność nie jest bowiem zjawiskiem rzadkiem—lecz jako dowód, wymownie świadczący, jako niepewnymi czuli się w gruncie rzeczy wszyscy ci ludzie, towarzyszący Napoleonowi w jego niezwyklej karierze. Z chwilą gdy społeczeństwo zdawało się wracać do dawnych form, z dawnymi staremi nazwiskami na dawnych miejscach, życie ostatnich lat dwudziestu rozwiało się jak senna zjawia, a ludzie, którzy w niem brali udział, jak dzieci nagle zbudzone chwytali się znanej ręki, która się ku nim wyciągała.

Trzej wysłańcy Napoleona zostali tymczasem dopuszczeni do króla pruskiego, który zachował się ordynarnie i przed cesarza Aleksandra. Kręcono jeszcze nosem nad formą abdykacyi, gdy przybył wysłaniec, meldując odstępstwo całego korpusu Marmonta.

Wiadomość tę nawpół głośno podano cesarzowi, który, trochę głuchym będąc, powtórzył: totus corpus! Cała sala audyencyjna natychmiast zrozumiała, że chodzi o korpus Marmonta, (taką łaciną posługiwano się widocznie w otoczeniu cesarza).

Trzem pośrednikom zwrócono tedy dokument abdykacyi z oświadczeniem, że rezygnacya zostanie tylko wówczas przyjęta, gdy obejmie także potomków i rodzinę Napoleona.

Napoleon wzbraniał się przez dwa dni; przez cały ten czas pozostawał w swych pokojach, naprzemian mówiąc o tem, jak się urządzi na Elbie, to znów, że jeszcze w puch pobije sprzymierzonych i oswobodzi Paryż.

Nakoniec jednak, dn. 5 kwietnia podpisał całkowitą rezygnację z tronów Francyi i Włoch w imieniu swoim i swych potomków. Wówczas sprzymierzeni w Paryżu ułożyli dn. 11 kwietnia traktat i w dzień później przesłali go Napoleonowi przez Caulaincourta, Szuwałowa i Macdonalda. Ale Napoleon nie chciał go tego dnia podpisać.

Towarzystwo dokoła Napoleona w Fontainebleau zaczęło się już przerzedzać! Bo gdy żołnierze trwali przy ubóstwianym wodzu, to oficerzy natomiast zaczęli się już oglądać, gdzieby ulokować swe mienie po zatonięciu okrętu; a ci, którzy go mieli najwięcej, największą też uczuwali trwogę.

Marszałek Berthier, książę Wagramu i Neuchâtelu, obsypany dostatkami, zaszczytami i wszelkimi dostojenstwami—a wszyskiem z jednej ręki—wszedł do pokoju cesarza, prosząc o pozwolenie na małą wycieczkę do Paryża. Otrzymał je, skłonił się i wyszedł.

Ale gdy drzwi się za nim zamknęły, cesarz rzekł chłodno i spokojnie:—Ten już nie wróci.

Napoleon się nie pomylił: Berthier wyjechał do Paryża, by się poddać i zaofiarować swe służby rządowi prowizorycznemu.

Dn. 12 kwietnia Napoleon tak wyglądał, że trwogą przejmował całe swe otoczenie. Szambelan Turenne wyjął naboje z pistoletów, znajdujących się w jego sypialni.

W nocy cesarz zbudził swego kamerdynera i kazał mu rozpalić ogień na kominku. Służący słyszał jak cesarz pisał listy i znów je rozdzierał. Nakoniec wyjął ze swej szkatułki toaletowej mały czarny woreczek, wsypał jego zawartość do szklanki z wodą i położył się do łóżka.

Niewiadomo, czy zażył wówczas silne trucizny, którą w Rosyi nosił przy sobie, podobno w pieczęt-

ce, w każdym razie i pieczętka i woreczek były nazajrż puste.

Nie mógł jednak umrzeć; organizm jego był za silny, lub trucizna za słaba. Zbudził swego egipskiego służącego Iwana, który przyszedł i był mu pomocny. Następnie Iwan wyszedł do stajni, osiodłał konia i wyjechał, by już nie wrócić.

Następnego dnia cesarz wstał o 11-ej przed południem i zawezwał do siebie marszałka Macdonalda. Uczciwy charakter i rzadkie zalety tego człowieka Napoleon nauczył się cenić całkowicie dopiero w tych smutnych dniach nieszczęścia.

Noc miniona pozostawiła silne ślady na wyglądzie Napoleona. Twarz miał śmiertelnie bladą i kurczowo wykrzywioną, a oczy głęboko zapadłe. Opanował się jednak i zwykłym charakterem podpisał traktat.

Następnie w pięknych męzkich słowach podziękował Macdonaldowi, wyrażając ubolewanie, że teraz dopiero poznał go naprawdę. Na pamiątkę wręczył marszałkowi wspaniałą szablę turecką Murad-Beya, którą sam generał Bonaparte nosił był w bitwie pod Táborem.

Podług traktatu cesarz, cesarzowa i rodzina cesarska, mieli zachować rangi i tytuły. Elba miała tworzyć oddzielne państwo, z dwumilionowym rocznym dochodem—z czego jeden milion pobierać miała cesarzowa Marya Ludwika. Otrzymała też księstwa Włoskie: Parmę, Piazencę i Guastallę, które w pierw należały do sióstr Napoleona. Nadto wyznaczono milion dla Józefiny, oraz uchwalono inne pensye i postanowienia dla przyjaciół Napoleona i dla armii. Przykro jednak o tem czytać, gdyż nikt nie otrzymał pieniędzy, traktatem owym przyrzeczonych.

Dn. 10 kwietnia został rozwiązany dwór Maryi Ludwiki w Blois; cesarzową wraz z synem wysłano do Wiednia. Cała rodzina Bonapartów uciekła do Szwajcaryi.

Nakoniec dn. 20 kwietnia Napoléon miał się pożegnać z armią i ze swą gwardją. Ustawiła się na wielkiem podwórzu w Fontainebleau, a cesarz zszedł ze schodów i ociągającym się krokiem przechodził przez szeregi. Były tu jeszcze twarze z pod Arcoli, Abukiru, Marengo, Austerlitz, Jeny i Frydlandu, z pod Samo-Sierry, Wagramu i Moskwy—świetne dzieje całego jego życia, znalazły się wokół Napoleona.

Z trudem wypowiedział swą piękną krótką mowę pożegnalną:

„Żegnam was, żołnierze!

Dwadzieścia lat przeżyliśmy razem i jestem z was dumny. Zawsze was widziałem na drodze zaszczytnej. Europa zwróciła się przeciwko mnie, kilku mych generałów sprzeniewierzyło się swym obowiązkom i ojczyźnie, a Francya sama pragnie również nowej przyszłości. Wraz z wami i innymi dzielnymi ludźmi, którzy mi dochowali wiary, mógłbym być prowadzić wojnę domową, lecz od niej ucierpiałaby Francya.

Bądźcie wierni nowemu królowi i posłuszni nowym przełożonym; niech kochanej ojczyźnie nigdy niezbaknie waszego ramienia. Nie ubolewajcie nad mym losem! Będę szczęśliw, gdy usłyszę, że wy jesteście szczęśliwi. Mógłbym być wybrać śmierć, ale jeśli wybrałem życie, to poto, by pomnożyć waszą sławę; chcę opisać wielkie czyny, których dokonaliśmy wspólnie.

Nie mogę was wszystkich uściskać, lecz uściśnię waszego generała. Generale Pelet, zbliż się pan, bym cię mógł przycisnąć do piersi. I podaj mi pan orła, abym go mógł ucałować. Oby pocałunek ten rozbrzmiał w przyszłości! Bądźcie zdrowi, dzieci moje! Niech wam wszędzie towarzyszą moje dobre życzenia! Zachowajcie mnie w pamięci^u.

Nic dziwnego, że płakali—ci twardzi żołnierze i on sam, człowiek z marmuru — gdy zgromadzeni na pożegnanie stali tak wszyscy na starem podwórzu zamkowym, gdzie tak często rozbrzmiewała wesoła ich muzyka i okrzyki: *vive l'empereur!*

Podczas podróży na południe, niejednokrotnie groziło niebezpieczeństwo, że wzburzona ludność francuska rzuci się na złożonego z tronu cesarza. Ale 3 go maja cesarz na angielskiej fregacie dojechał do Porto Ferrajo, na wyspie Elbie. Orszak jego składał się z generałów: Bertranda, Drouota i Cambronne'a, oraz z 400 gwardzistów. Później przybyła do niego matka z Pauliną. Wierna jego kochanka, hrabina Walewska także była na Elbie. Tak samo jego służba — z wyjątkiem kamerdynera Constanta, który przez wiele lat był u Napoleona, lecz w skutek fatalnego nieporozumienia nie towarzyszył cesarzowi.

Constant sam opowiedział tę historję jak następuje: Jednego z ostatnich dni w Fontainebleau cesarz wręczył mu czek na 100,000 franków, radząc przytem, by podniósł go w złocie i ukrył. Constant też tak uczynił i zakopał pieniądze w swym ogrodzie, sądząc, że jest to pożegnalny podarek cesarza; a wobec olbrzymich sum, jakie Napoleon ludziom swym rozdawał, myśl ta nie była znów tak nieprawdopodobna.

Gdy przeto Constant ostatniego dnia składał rachunki przed generałem Bertrandem, oddając pieniądze cesarza, które znajdowały się w jego pieczy, nie wspomniał owych 100,000 franków. Ale Napoleon powiedział Bertrandowi, że w rachunku Constanta brak 100,000 franków, a nie przypomina sobie, by mu tę sumę był darował.

Constant dotknięty, że go cesarz przed Bertrandem w dwuznacznem przedstawił świetle, wy-

kopał pieniądze i wręczył je Bertrandowi, lecz w rozżaleniu poprosił równocześnie generała, aby powiedział cesarzowi, że występuje z jego służby i nie jedzie na Elbę.

Trudno powiedzieć, co się w owych dniach działo z Napoleonem. Niepodobna uwierzyć, ażeby z kimkolwiek ze swej służby postąpił był niesprawiedliwie i bezwzględnie; wszyscy go kochali i wszyscy przy nim pozostali. Później uczynił cesarz kilka prób w celu porozumienia się, lecz Constant pozostał nieubłagany.

X

Wisiało niejako w powietrzu, że upadek Napoleona spowoduje ponowne osadzenie na tronie legitymistycznego rodu królewskiego; dlatego wjazd sprzymierzonych monarchów do Paryża, aczkolwiek byli wrogami i zwycięzcami, miał jednak pewien odcień uroczysty. Bo mimo rewolucyi i Napoleona w wielkim narodzie żyło jeszcze wiele przywiązania do królewskiej rodziny; to też dostojne matrony i młode kobiety jawiły się z kwiatami, pochlebając mocno obcym monarchom. Cesarz Aleksander zwłaszcza był w pewnych kołach wprost ubóstwiany.

A on pozwalał się ubóstwiać, gdy równocześnie dzikie jego hordy, przodując wszystkim innym wojskom cudzoziemskim, grasowały w Paryżu i całej Francyi północnej. Jednakowoż i obcy monarchowie musieli wracać do swych krajów, by w nich przywrócić porządek. Niektórzy z nich z przerażeniem myśleli, ile śpiewów, mów i niebezpiecznych entuzyazmów zmuszeni byli znosić podczas t. zw. wojen wolnościowych; czas był najwyższy wszystkiemu temu kres położyć. Przytem należało też na dawnych miejscach poustawiać słupy graniczne Eu-

ropy, bo wszystko zostało wszak w najokropniejszy sposób pomieszane przez tego strasznego człowieka. Zwołano przeto wielki kongres do Wiednia na dzień 20 czerwca.

Gdy minęło już wszelkie niebezpieczeństwo, przyciągnęli też Burboni ze swą rzeszą zgłodniałych emigrantów—na ich czele gruby król Ludwik XVIII. Odrazu całkiem inne nastały czasy. Tuilerye napełniły się nowymi postaciami, starymi postaciami rodowemi, których tu nie było od dwudziestu, czy trzydziestu lat.

Zamiast zwinnych oficerów, pobrzękujących bronią, przez komnaty przesuwali się teraz ostrożnie stare peruki, w odwiecznych dworskich strojach, lub młode fireyki, którzy na wygnaniu nie absolutnie nie mieli do czynienia. A w miejsce cesarza, który stanowczym drobnym krokiem w obcistych jedwabnych pończochach i trzewikach, lub błyszczących wysokich butach lekko dzwoniąc ostrogami przechadzał się po pokojach, teraz chwiejnym krokiem laził po Tuileryach gruby pedogryczny Burbon w olbrzymich pantoflach z fioletowego aksamitu.

Cheąc zrozumieć stanowisko, jakie w 1814 r. zajęli mężowie, którzy stali wokół Napoleona, my, wiedzący co później nastąpiło, musimy zapomnieć o Stu Dniach i wyobrazić sobie, że pierwszy powrót Burbonów był ostatecznem zakończeniem dziejów Napoleona.

W danej sytuacji dla niezliczonej liczby oficerów armii było rzeczą zupełnie naturalną pozostać nadal w służbach i złożyć przysięgę nowemu władcy. Byli przecież jak wpierw w służbach Francji gotowi walczyć z jej wrogami pod wodzą generałów, wyznaczonych im przez rząd.

Wobec tego marszałkowie: Macdonald, Oudinot i Lefebvre mogli, bez ściągnięcia na siebie hańby, zatrzymać swe stanowiska pod królem francuskim; tak samo Victor, St. Cyr i Kellerman, generałowie: Maison, Lauriston i wielka liczba oficerów przeszli do Burbonów, gdy Napoleon bawił na Elbie.

Ale byli także tacy, których łączył z Napoleonem tak bliski stosunek osobisty, że niepodobieństwem było dla nich służyć pod innym monarchą. Tymi byli: wicekról Eugeniusz, krewniacy Napoleona: Arrighi i Sebastiani, generałowie: Mouton, Savary, Cambronne, Grouchy i wielu innych.

Burboni byli gotowi przyjąć każdej chwili przedstawicieli wielkich nazwisk, zwłaszcza niepownych przyjaciół Napoleona. Potrzebowali ich z wielu przyczyn. O ile jednak byli gorliwi w pozyskiwaniu dla siebie nazwisk znanych w Europie, o tyle w bezwzględny sposób postępowali z biednymi podoficerami i prostymi żołnierzami.

I wogóle, gdziekolwiek, nie narażając się na szwank, mogli unicestwiać i gnębić wszystko, co Francya przez dwadzieścia lat kochała i z czego była dumna, czynili to z małostkową złośliwością, jaka ród ten cechowała. Armii narzucono mnóstwo starych generałów, którzy się w niczem nie oryentowali i nie chcieli wiedzieć o nowej organizacji wojska, jego sławie i jego tradycjach. Młodzi szlachcice wychowani zostali zagranicą w dumnej pogardzie dla Napoleona, jego wojsk i wszystkiego, co z nim było związane.

Ministrem wojny zamianowano natychmiast człowieka, mającego w armii opinię najgorszą: generała Dupont, który poddał się był pod Baylén. Wydalono mnóstwo poddowódców, by zrobić miejsce przeróżnym służalcom i nieponiom. Trzy tysiące weteranów z wojen Republiki i Cesarstwa wypędzono z hotelu Inwalidów, gdzie znaleźli byli pomieszczenie; musieli teraz włóczyć się po wsiach ja-

ko żebrzące kaleki, a miejsce ich zajęła stara służba królewskiej rodziny z Wandei, która najdłużej stawiała była opór rewolucyi i Napoleonowi.

Straszne oburzenie weszło w narodzie w ciągu paru miesięcy, a zaślepieni Burboni i ich ludzie wcale się nie domyślali, że w całej niemal Francyi panował nastrój tembardziej niebezpieczny, że żył jeszcze i był w ich pobliżu ten, który niedawno jeszcze wiódł był naród do niesłychanej potęgi i świetności.

O tem wszystkiem dobrze wiedział cesarz Napoleon. Znał kraj swój tak doskonale, że z gazet otrzymywanych wyczytywał między wierszami, jak opacznie postępuje król Ludwik; skutkiem czego nie tylko armia, lecz także cały naród, podobnie jak w okresie porewolucyjnym przerażony jest i oburzony tem głupiem i surowem postępowaniem.

Co prawda niewielu ludzi przybywało doń na Elbę — zbyt na to baczili Anglicy. Ale król Joachim znów uczynił nowy zwrot i zbliżył się do Napoleona. Z Włoch miał doskonałą sposobność korespondowania z wyspą Elbą, a gdy z początkiem 1815 r. zameldował, że kongres wiedeński przygotowuje się postąpić podług rady Talleyranda i wysłać cesarza na wyspę św. Heleny, Napoleon natychmiast powziął postanowienie.

Potajemnie zaopatrzono się w trochę amunicyi z Neapolu, nieco broni z Algieru i kilka małych statków z Genui. I nagle na znak umówiony ludzie jego udali się dnia 26 lutego 1815 r. o godzinie 8-ej wieczór na wybrzeże w Porto Ferrajo. Było ich wszystkich razem 1,000 ludzi; 400 grenadyerów wyruszyło z cesarzem w stronę małego statku, na którym znajdowało się 26 armat. Inni rozmieścili się na drobnych statkach.

Dla odwrócenia uwagi, cesarz wydał tego samego wieczora zabawę, a matka jego i siostra przyjmowały gości. On sam wymknął się wieczorem

na wybrzeże i z sześciu innymi statkami ruszył ku Francji.

Szczęście, towarzyszące mu zawsze na morzu Śródziemnem, i tym razem pozostało mu wierne. Dnia 1 marca zawinął do francuskiego portu, nie postrzeżony przez Anglików. Jedynem zdarzeniem podczas tej morskiej podróży było zetknięcie z francuską fregatą, która z pewnej odległości rzuciła pytanie, jak się miewa cesarz na Elbie. Napoleon sam krzyknął w odpowiedzi, że cesarz doskonale się czuje. Po za tem w ciągu całej tej przeprawy gorliwie pracował, dyktując przeróżne odezwy i proklamacye.

Człowiek, przybywający z wyspy Elby, nie był już, jak powiada jeden z współczesnych autorów, owym generałem Bonaparte, który po powrocie z Egiptu skoczył na ląd. Mały oficer z 1799 r. — chudy i niezłomny w swej woli, stał się otyłym szefem państwa — niezdecydowanym i zmysłowym. A wszystko zależy od ustroju fizycznego. Ludzie chudzi przeprowadzają swą sprawę i do nich należy przyszłość; natomiast ludzie tyjący muszą walczyć z brakiem własnej stanowczości, a raczej: właściwości ich charakter zmieniają się i przeobrażają.

U człowieka otyłego pierwotne jego właściwości pozostają coprawda dominującemi; ludzie talentu zachowują nadal talent; a ludzie czynu w dalszym ciągu posiadają dar kierowania i wydawania rozkazów. Niemniej u jednych i drugich zmieniają się pierwotne właściwości: człowiek talentu staje się gruboskórnym i cynicznym, a energia przejawia się w sposób osobisty i egoistyczny.

U Napoleona inne jeszcze przyczyny złożyły się na spowodowanie upadku i zmiany. Był on w skandaliczny sposób psuty przez wszystkie kobiety, do których się zbliżał. Nieostrożna Paulina pisywała z Elby listy, które przejmowano w drodze i czytano. Do dwóch pułkowników, z którymi łą-

czyły ją bliskie stosunki pisała listy wręcz odmiennie: jednego prosiła, by nie przyjeżdżał, bo Napoleon jest ogromnie zazdrosny; drugiemu znów pisała, by przybył co rychlej, gdyż ma wiele wolnego czasu. Zdaje się przeto być rzeczą pewną, co mówiono o tej okropnej rodzinie, że Napoleon mianowicie utrzymywał zakazane stosunki z własnymi siostrami. Wiedziano też zawsze, że cierpiał na katar pęcherza czy coś podobnego, co mu sprawiało straszne bólesci, zwłaszcza gdy był przeziębiony, jak pod Borodino. Nadto cierpiał na hemoroidy, a cierpienie to z latami się wzmagало. Zaś z listów Pauliny i z nowszych badań wynika, że cesarza męczyła w późniejszym wieku choroba weneryczna, czemu należy w znacznej mierze przypisać stopniowe jego przeobrażenie.

Bądź co bądź nie był on znów tak bardzo zmieniony; nie zaasymilował żadnych nowych pierwiastków charakteru, ani też nie utracił dawnych—co się rychło miało przejawiać.

Pomijając nowe cierpienia i hańbę, jakie powrót ten cesarza sprowadził na Francję, to sam fakt należy do najwznioślejszych przeżyć, jakie kiedykolwiek stały się udziałem człowieka.

Ten sam człowiek, który z biedą umknął z życiem, gdy rozgoryczony lud pragnął go poszarpać w kawałki, w dziesięć miesięcy później wraca do tych samych miejscowości; a wojska wysłane przeciw niemu, dostrzegłszy zaledwie jego szary mundur, wybuchają nieskończonym entuzjastycznym okrzykiem: „Niech żyje cesarz! Niech żyje cesarz!” I, posłuszne jego głosowi, natychmiast przechodzą pod jego komendę, gotowe iść za nim, jak dawniej, na śmierć i życie.

Rozpoczęło się pod Grenoble; zamknięto drogę, a żołnierze królewscy stali gotowi, by na rozkaz dać ognia do Napoleona i jego małego orszaku. Wówczas on pieszo podszedł do swych gre-

nadyerów, odchylił swój stary szary mundur i spokojnym głosem zapytał:

— Czy jest tu ktoś, chcący strzelać do swego cesarza?

W jednej chwili zmieniła się groźna postawa żołnierzy. Z wszystkich szeregów zagrzmiął jeden okrzyk: „niech żyje cesarz!”

Jeden strzał byłby całej tej sytuacji inny na dał przebieg.

Dzielny pułkownik Labedoyère przeciągnął siódmy regiment na stronę cesarza, który wkroczył teraz do Grenoble; obywatele tego miasta sami zbuczyli bramy; radość zapanowała bezgraniczna i w jednej chwili cesarz stał się znów bożyszczem żołnierzy i francuskiego wojska.

Gdy wieść ta doszła do Paryża—przed stu laty komunikacja nie była zbyt szybka — *Monitor* zamieścił oświadczenie królewskie, ogłaszające generała Bonapartego za wyjątego z pod praw. Równocześnie organ ten donosił Paryżowi, że zuchwała próba zupełnie się nie powiodła, a Bonaparte, nie znalazłszy żadnych sprzymierzeńców, ukrywa się w górach przed zemstą ludu.

Tymczasem siostrzeniec króla, książę Angoulême wraz z marszałkami Masseną i Macdonaldem i generałami Marchandem i Duvernetem mieli w Lyonie cesarza przytrzymać.

Ale wojska opuściły swych dowódców: książę Angoulême i Macdonald musieli uciec z Lyonu, a miasto to przyjęło cesarza tak samo, jak Grenoble.

Napoleon wypowiedział był w Grenoble słowa, które w wielu najwyższe wzbudziły nadzieje: „Odtąd chcę być nie samorządcą Francyi, lecz najlepszym jej obywatelem.”

Jednakowoż już w Lyonie okazało się, że tkwi w nim samorządca i to w wyższym stopniu niż kiedykolwiek.

Wydał dekret, znoszący Izby, a zwołujący nowe nadzwyczajne zgromadzenie ciał wyborczych, celem poddania rewizji konstytucji istniejącej i ukoronowania cesarzowej i króla Rzymu.

Równocześnie pojawił się także inny dekret, oskarżający cały szereg odstępców i skazujący dobra ich na konfiskatę; w ich liczbie byli: Talleyrand, Marmont i Bourienne. Augereau został na prośby generałów z listy tej wykreślony.

Nawet generał Bertrand, a nawet Maret wzbranił się dekrety te podpisać.

— Ja nie podpiszę. Nie to przyrzekał nam cesarz—oświadczył Bertrand.

A gdy cesarz podczas bankietu w Lyonie zapytał swoją sąsiadkę przy stole, panią Duchâtel, czy mąż jej, zarządca dóbr państwowych, skonfiskował już dobra Talleyranda, dama ta odpowiedziała sucho: „Nie tak śpiesznego, najjaśniejszy panie!”

Cesarz odwrócił rozmowę i zaczął mówić o czem innem.

Biedny marszałek Ney, którego głowa i rozsądek nie pozostawały w żadnym stosunku do jego dzielności i odwagi, przyrzekł właściwie Ludwikowi XVIII, że przywiezie mu Napoleona, zamknętego w żelaznej klatce.

Ale zbliżywszy się do swego dawnego władcy i on mu się poddał.

Napoleon dobrze przyjął Neyą i nawet go uściślał. A jednak czuli obaj, że między nimi stoi ta żelazna klatka. To też stosunek między Napoleonem a Neyem nigdy już nie był takim, jak dawniej; a co prawda, Ney również nie był już tym, co dawniej.

Dn. 20 marca o godz. 4 z rana Napoleon wjechał znów na podwórze zamku w Fontainebleau, gdzie rok temu był uwięziony, a następnie zegnał się był ze swą gwardyą. Teraz miał znów całe swe wojsko.

A tej samej nocy Ludwik XVIII opuścił zamek swych ojców, otoczony małym, przerażonym orszakiem, pragnącym co rychlej wydostać się z Paryża.

Kongres wiedeński, gdzie nie panowała już dawniejsza jedność, teraz zlał się znów w silny związek przeciw wspólnemu wrogowi.

Wieczorem 20 marca cesarz wjechał do Paryża. Przed Tuileryami został pochwycony przez tłum, nie dający się już dłużej trzymać na wodzy. Na rękach wniesiono go z karety przez wielkie schody do rzęsisto oświetlonych sal, gdzie czekali już dawni jego ministrowie i marszałkowie, oficerowie, urzędnicy i damy dworu. Byli tam wszyscy Bonapartowie—nawet Lucyan.

Zaimprovizowana gwardya przyboczna, składająca się z samych generałów, ustawiła się w jego przedpokojach; radość była powszechna.

Nazajutrz rano *Monitor* ogłosił, że najjaśniejszy pan wrócił poprzedniego wieczora do Fontainebleau.

Z nieprawdopodobną szybkością przeobraził się Paryż, a po części też cały kraj. A Francya na przeciąg stu dni stała się znów cesarstwem, wojującym z resztą Europy.

Wielu jego wiernych sprzymierzeńców natychmiast objęło poprzednie swe stanowiska, tak, że część ogromnej administracyi wróciła do dawnego trybu, funkcyonując niemal bez przerwy. Generalny poczmistrz Lavalette, złożony z urzędu przez króla, na pierwszą wieść o wylądowaniu Napoleona we Francyi objął poprzednie swe urządowanie.

Dla wielu jednak ciężkie nastały czasy. Tyśiące oficerów zaprzysięgło było wierność królowi Ludwikowi, a oto wrócił cesarz i kazał im wracać do służby. Trudno było się opierać, a niepodobna też było wiedzieć, jak się to wszystko zakończy. Sam powrót cesarza i przyjęcie zgotowane mu przez

kraj, zdawały się być rękojmią, że przyszłość znów do niego należy.

Oprzytomniawszy jednak po wielkiej niespodziance, naród czekał przedewszystkiem, by Napoleon przystąpił do wcielenia w życie słów, kilkakrotnie wypowiedzianych od czasu wyładowania. Przyrzekł był mianowicie, że nada Francyi ustrój wolnościowy i sam pchnie państwo na drogę rozwoju konstytucyjnego.

Tymczasem wbrew radom i mimo oporu wszystkich dawnych swych przyjaciół i sług, cesarz ogłosił akt dodatkowy, podtrzymujący dotychczasowy absolutyzm rządu.

Odrzucając Francya zrozumiała, że Napoleon wrócił niezmienny, bez zrozumienia dla wolnościowych dążeń narodu—czego od wielkiego charakteru po przebytych ciężkich próbach można się było spodziewać. Wszyscy zwolennicy ustroju wolnościowego, którzy z radością przywitali go jako dyktatora, mającego wyzwolić kraj z pod głupiego i złośliwego przymusowego jarzma Burbonów, czuli się gorzko rozczarowani i cofnęli się przygnębieni i nie-szcześliwi.

Od tej chwili Europie, gotującej się do zadania Francyi nowej hańby, nie można już było nie przeciwstawić, prócz wojska w rękę tego jednego człowieka i narodu, wyczekującego w milczeniu i zniechęceniu tego, co nadejść musiało.

Cesarz zamianował 118 nowych członków izby panów. Z odznaczeniem tem nie zwracał się tym razem przedewszystkiem do przedstawicieli starych rodów, dla których okazywał zwykle pewną słabość. Pięciu czy sześciu mężów zaszczytu tego nie przyjęło—w ich liczbie był też marszałek Macdonald, co cesarza bardzo dotknęło. Później wszyscy emigranci biegali po kraju, chwając się, że oni to nie chcieli przyjąć od Napoleona godności parów.

Później kazał też zwołać wielkie zgromadzenie, zwane Champ de Mai. Miało ono przywołać do pamięci uroczystą przysięgę, złożoną na tem samem miejscu przez Ludwika XVI w r. 1790.

Na polu Marsowem zbudowano olbrzymi ołtarz. Napoleon ukazał się w fantastycznym stroju imperatora z ogromnym kapeluszem z piórami, w którym niski, otyły cesarz wyglądał bardzo niekorzystnie. Ceremoniał przepisany przez samego cesarza był ogromnie wystawny; były tu wielkie słowa, przysięgi i obietnice w stylu manifestów. Armia wydawała okrzyki radości; po za tem jednak nastrój był mdły i nie się z tego wszystkiego nie wyłoniło. Było to dn. 3 czerwca.

Nakoniec wybuchła wojna; Napoleon opuścił Paryż w nocy z 11 na 12 czerwca.

Kompania trwała krótko, prowadzona tylko na granicy belgijskiej z Anglikami pod lordem Wellingtonem i z Prusakami pod marszałkiem polnym, Blücherem.

Murat nie odzyskał już spokoju ducha. Teraz przerzucił się znów na stronę Napoleona. Dn. 3 maja, zupełnie nie w porę i wbrew rozkazom Napoleona, napadł Austryaków pod Tolentino, gdzie jego Neapolitanie na głowę zostali pobici. On sam raz po raz rzucał się na wroga, lecz, jak dawniej, pozostał niedosiężony przez kule. Nakoniec, po bezplanowem wałęsaniu się, został schwytany, postawiony pod mur i rozstrzelany.

Po raz ostatni pojawiły się teraz w armii wielkie nazwiska. Brakło jednak wielu najlepszych generałów Napoleona. Davoust, którego Napoleon zastał w Paryżu, objął stanowisko ministra wojny. Marszałek Soult przybyły z Hiszpanii, stanął na czele wojsk, tak samo generałowie Cleusel, Decaen i Labord. Przybyło stosunkowo dość wielu oficerów z Hiszpanii; nie byli oni świadkami kampanii rosyjskiej ni saskiej, ni upadku Napoleona. Stawili

się też: Ney, Excelmans, Gerard i Girard, Milhaud, Moraud, Friant, Lefebvre-Desnouettes, Pajol i Vandamme.

General Grouchy został marszałkiem.

Planem Napoleona było, by Ney możliwie najszybciej zajął z lewem skrzydłem stanowisko *Quatre bras* w kierunku Brukselli, gdzie lord Wellington miał główną kwaterę. Równocześnie miał marszałek Grouchy obsadzić wieś Fleurus; w ten sposób zostałyby odcięte od siebie armie Wellingtona i Blüchera.

Plan był dobry i wydawało się, że wszystko pójdzie jak z płatka. Wieczorem dn. 14 czerwca panował w Brukselli, Charleroi i Namur zupełny spokój; nikt się nie domyślał planów cesarza, a wojsko nadciągało.

Ale wieczorem 15 czerwca zdezerutował jeden z francuskich generałów i wraz z dwoma pułkownikami przeszedł na stronę Prusaków. W ten sposób Blücher dowiedział się o planie Napoleona.

Owym zdrajcą był generał Bourmont. Był on dzielny oficerem i z niezachwianem męstwem walczył aż do bitwy pod Montereau w r. 1814, gdzie został ranny. Należał on przytem do oficerów, którym Napoleon nigdy zbyt nie dowierzał; jednakowoż Ney i Girard polecili go tak gorąco, że otrzymał dowództwo. Nie było już zresztą tylu wodzów, by można było zbyt przebiegać, a Napoleon nie miał jak ongi własnej, nieugiętej woli.

Ten sam generał Bourmont, który w przeddzień bitwy porzucił Napoleona, pod Burbonami doszedł następnie do wielkich godności, a w r. 1830 po wojnie w Algierze został nawet marszałkiem.

Co gorsza jednak, Ney nie prowadził swego korpusu jak dawniej. Zamiast z całym drugim korpusem co szybciej maszerować do Frasnes, przy czem pierwszy korpus miał zająć stanowisko w Goselies—w ten sposób możnaby było z łatwością

obsadzić pobliskie Quatre bras — marszałek wysłał tylko drobny oddział do Frasnes, skutkiem czego lewe skrzydło zbyt pozostało w tyle.

Dn. 16 czerwca cesarz pobił Blüchera w wielkiej bitwie pod Ligny. Tu padł generał Girard, jeden z bohaterów pod Lützen.

Zarówno przed bitwą jak podczas niej Napoleon słał gońca za gońcem do marszałka Ney'a, by jaknajprędzej ruszył z Quatre bras na wschód, pędząc Prusaków w stronę marszałka Grouchy, stojącego pod Sombreuf. W ten sposób zostałaby armia Blüchera ze wszystkich stron zamknięta.

— Losy Francji spoczywają w pańskich rękach — kazał Napoleon powiedzieć Neyowi — w ciągu trzech godzin wojna może być rozstrzygnięta.

Ale teraz zaszedł nieszczęśliwy wypadek. Generał Drouet, hrabia Erlon — nie generał artylerji Drouot — skutkiem nieporozumienia wykonał był fałszywy manewr, przez co utracono szczęśliwy moment, kiedy można było Prusaków zamknąć.

Wówczas Napoleon przebił się skroś pruskich szeregów. Blücher, który sądził, że już ma zwycięstwo w ręku, został powstrzymany przez francuską kawalerję pod Milhaudem i Gerardem. Stary marszałek polny dostał się pod konia, a jeźdźcy francuscy popędzili dalej, nie spostrzegłszy go nawet.

Pod Ligny padło 20,000 Prusaków; zdobyto 40 armat i 8 chorągwi. Zwycięstwo było całkowite; niczem jednak było, w porównaniu z tem, czem być mogło, gdyby hrabia Erlon nie był popełnił omyłki, a Ney nadciągnął był z lewem skrzydłem.

Po bitwie Napoleon wysłał do Ney'a adjutanta z rozkazem, by zajął wreszcie stanowisko pod Quatre bras i powstrzymał Wellingtona aż do przybycia cesarza.

W celu powstrzymania Blüchera i generała Bülowa, dopóki nie uprzątnie się z Anglikami, ce-

sarz wysłał marszałka Grouchy na czele okazałej liczby 50,000 żołnierzy na wschód, by śledził ruchy pruskich generałów.

To spowodowało nieszczęście. Blücher, który istotnie spotkał Bülowa, zyskał teraz na czasie, pomaszerował tak szybko, że z północnej strony przesunął się koło Grouchy'ego i popędził na zachód do Waterloo. Tego samego popołudnia stanął też na placu bitwy.

Walka rozpoczęła się o godzinie pierwszej, a cały plan bitwy polegał na tem, że Grouchy ze swymi 50,000 żołnierzy wyprzedzi Niemców.

I rzeczywiście, popołudniu walka dla Anglików była niemal stracona. Ney na polu bitwy stał się znów sobą i dokonywał cudów waleczności. Nakoniec biegł pieszo na czele swych batalionów gwardyi, wraz z Friantem, Cambronne'm i Duhesme'm.

Ale Grouchy zachowywał się tego dnia w sposób niepojęty. Nie zważał na rozkazy, otrzymane od Excelmansa i Gerarda; nie trzymał się też dawnego głównego rozkazu Napoleona: maszerował zawsze za odgłosem dział. A ponieważ nie stawiał się dość wcześnie, by wziąć udział w walce, natomiast nadciągnął Bülow, a wkrótce po nim Blücher, więc bitwa została stanowczo przez Francuzów przegrana.

Doszczętnie zginęła cała armia. Trochę uporczywych niedobitków gwardyi, pozostałych na równinie ocalili nakoniec Morand i Colbert.

Dziwne, jak często w obydwu tych walkach — pod Ligny i pod Waterloo — wszystko zdawało się wisieć na włosku.

Gdyby Ney był się pośpieszył, mógłby był lorda Wellingtona pojmać na balu w Brukselli. Gdyby hrabia Erlon nie był wykonał fałszywego manewru, Prusacy mogliby byli zostać zamknięci pod Ligny. Blücher mógł być wzięty w niewolę, gdy-

by ktoś był ujrzał, że spadł pod konia; a Napoleon mógł być zwyciężyć pod Waterloo, gdyby Grouchy spełnił był swój obowiązek.

Wszystko to wskazuje zapewne, że cały aparat, ongi tak ścisły i dokładny, zarówno jak szef sam, byli już wysłużeni. Generałowie utracili doń w Rosyi ślepe zaufanie, jako do niezwycięzonego; a teraz się okazało, że to bezwzględne zaufanie było też istotną przyczyną ich własnej niezwyciężoności.

W nieopisanym zamęcie, jaki nastąpił po tej bitwie, Napoleon sam i niepoznany jechał wśród fali uciekających.

Po bitwie sztab generalny z księciem Bassano i sekretarzami cesarza utracili go nagle z oczu. Długo go szukali, aż wreszcie dowiedzieli się, że widziano go przejeżdżającego do Laon; popędzili więc za nim, przedzierając się przez okropny zamęt i jazdę nieprzyjaciela, od której wszędzie się roilo.

Przypadkowo napotkali wierzchowce Napoleona i każdy z nich skoczył na koń. Tylko Maret był tak pełen czci dla osoby cesarza, że tamci z trudem zdołali go skłonić, by skoczył na jednego z jego koni, gdy Prusacy byli już tuż za nimi.

Odnaleźli cesarza w Philippeville, w niedającym się opisać stanie duszy. Był w nędznym domu, bez powozu, bez niczego!

Oficerzy jego obszarpani, brudni, okrwawieni, niepodobni byli do siebie; z oczyma opuchłemi od płaczu—wprost bezprzytomni.

Na szczęście przejeżdżały tędy powozy marszałka Soult'a. Cesarz z Bertrandem wsiedli do karety. Do drugiej wsiedli Maret, Drouot i kilku generałów, do trzeciej młodszy oficerowie: Fleury, Labedoyère, Flahaut i Corbineau.

Oficerowie rozmawiali z sobą podczas tej jazdy.

Labedoyère twierdził, że nieszczęście to skupi wszystkie siły Francyi.

Fleury natomiast sądził, że Izby rzuca się teraz na cesarza, jako na sprawcę ruiny kraju.

— W takim razie — odparł Labedoyère — za osiem dni będziemy znów mieli w Paryżu sprzymierzonych, a po nich Burbonów i wtedy ja pierwszy zostanie rozstrzelany.

Flahaut był zdania, że cesarz będzie stracony, jeśli uda się do Paryża. Tylko przy pomocy i na czele armii mógłby się układać ze sprzymierzonymi książętami na korzyść swego syna. — Być może jednak — dodał po chwili — że wielka część generałów teraz już ofiarowuje swe służby królowi.

— Ja zgadzam się z Flahaut'em — rzekł Fleury — że w Paryżu cesarz nie ma się po co pokazywać. Nigdy w życiu mu nie wybaczę, że cztery razy opuścił armię: w Egipcie, w Hiszpanii, pod Smorgoniem, a na koniec tu, na ziemi francuskiej.

W Laon zgromadziło się blisko 3,000 ludzi około króla Hieronima, który w nieszczęściu postępował na koniec jak mężczyzna. Tu byli także: marszałek Soult i generałowie Morand, Colbert i Petit.

Wśród wyższych oficerów natomiast była jednomyślna opinia, by cesarz co śpieszniej udał się do Paryża i ze wszech sił go do tego skłaniali.

Cesarz długo się wzbraniał, a uległszy nareszcie po gorących naleganiach, rzekł:

— Dobrze! Jadę do Paryża. Jestem jednak przekonany, że skłanianie mnie do popelnienia głupstwa.

Takich słów nie byłby nigdy wypowiedział generał Bonaparte.

Porучzył marszałkowi Soult, który po Berthierze objął obowiązki naczelnego wodza generalnego sztabu, by zebrał i zorganizował resztki armii. Sam zaś zaczął dyktować biuletyn bitwy pod Waterloo, który następnie przedstawi generałom.

Cesarz złożył jasne sprawozdanie o klęsce,

jak ongi w 29-ym biuletynie ze Smorgonia; dziwna jednak, że generałowie z trudem tylko zdołali go skłonić do umieszczenia w biuletynie, że wszystkie cesarskie powozy dostały się w ręce nieprzyjaciela. Znajdowała się tu garderoba cesarza, pieniądze, papiery i najbardziej osobiste drobiazgi — nadto bardzo cenny dyamentowy naszyjnik, ofiarowany mu przez siostrę Paulinę, na wypadek potrzeby.

Przybywszy do Paryża, cesarz wysiadł w pałacu elizejskim, nie w Tuileryach, których nie miał już zobaczyć.

Gdyby — jak było jego zamiarem — wprost z pola bitwy stanął był przed Izłą deputowanych i ze swą wymową, której niepodobna się było oprzeć, przedstawił był, jak ogromnymi środkami obrony jeszcze rozporządza — dzięki wspaniałym swym przygotowaniom — być może, że byłby porwał za sobą zgromadzenie i nowe z wyniszczonego kraju wycisnął ofiary.

Ale niezmierne znużenie zwyciężyło nakoniec ten silny organizm. Od 15-go czerwca cesarz bez przerwy niemal spędził cały czas na koniu, niekiedy wśród strasznych bólów; w ciągu trzech dni dowodził w trzech bitwach i przeżył okropną noc po bitwie pod Waterloo. Żadną miarą nie był teraz w stanie mówić na wielkiem zgromadzeniu.

A tymczasem Fouché zdołał Izłą deputowanych usposobić wrogo dla cesarza; za jej przykładem posła Izba parów i Napoleon po raz drugi zmuszony był wyrzec się tronu. Uczynił to na korzyść swego syna, Napoleona II-go. Ustanowiono rząd prowizoryczny, złożony z Fouché'go, Carnota i generała Grenier; oni mieli się układać ze sprzymierzonymi monarchami, którzy po raz drugi zbliżali się teraz do Paryża.

Dn. 22 czerwca cesarz zażądał, by mu oddano do dyspozycji dwie fregaty, spoczywające w Rochefort, na których chciał się z rodziną przeprawić

do Ameryki. Odpowiedzi postanowił czekać w Malmaison, gdyż ogromne tłumy ciekawych poczęły teraz oblegać pałac Elizejski.

Gdyby był otrzymał okręty, kiedy o nie prosił, z łatwością byłby umknął, gdyż Anglicy nie strzegli jeszcze wówczas wybrzeża. Ale Fouché, którego najwyższem życzeniem było, by Napoleon w ten lub ów sposób został pozbawiony życia, zwlekał rozmyślnie, ostentacyjnie przygotowując owe dwie fregaty. Równocześnie wysłał gońców do lorda Wellingtona z prośbą o paszporty dla Napoleona i jego orszaku.

Było tego aż nadto dla rozbudzenia czujności Anglików — i odtąd opuszczenie brzegów Francji, stało się niemożliwością.

Gdy cesarz wyczekiwał odpowiedzi w Malmaison, gdzie spędził był najszcześliwszy swój okres, jako pierwszy konsul, hrabia Flahaut pojechał pewnego dnia konno do Paryża, by nareszcie otrzymać paszporty i wyjechać. W Tuileryach spotkał księcia Eckmühlu.

— Wasz Bonaparte zawiele coś potrzebuje czasu do wyjazdu — rzekł Davoust; — powiedz mu pan odemnie, że najlepiej uczyni, przyspieszając tę sprawę; bo jeśli nie wyjedzie natychmiast, każe go uwięzić.

— Nigdybym się nie spodziewał, że podobne słowa będę zmuszony usłyszeć z ust człowieka, który jeszcze przed tygodniem leżał u stóp cesarza.

Davoust się zerwał i chciał adjutanta ukarać, lecz hrabia Flahaut natychmiast podał się o dymisję.

Gdy po powrocie do Malmaison opowiedział o swem spotkaniu z Davoustem, cesarz rzekł całkiem spokojnie: — Niech tylko przyjdzie, jestem gotów nastawić mu szyję.

Zamęt i niepewność wśród oficerów Napoleona wzmogły się teraz do najwyższego stopnia. Wielka

ich część skompromitowała się podczas Stu dni; a wszyscy przeczuwali, że Burboni za powrotem nie będą żartowali.

Savary i wielu innych podało się do dymisji. Massena już za pierwszej Restauracji przeszedł na stronę króla, a Napoleon po powrocie z Elby na próżno go do siebie wzywał. Marszałek otrzymał komendę nad gwardyą narodową w Paryżu po generale Durosnel — tym samym, który ongi na balu u księcia Szwarzenberga uratował był swą żonę.

Podczas kampanii rosyjskiej nadeszła wieść do Paryża, że generał Durosnel poległ. Żona jego włożyła ciężką żałobę i to samo poleciła całemu domowi. Gdy niezadługo potem dowiedziano się, że generał został tylko ranny, pani Durosnel rzuciła żałobny strój i rozkazała służbie znieść wszystkie czarne liberye na podwórze hotelowe. Tu złożono wszystko na jeden wielki stos i wśród ogromnej radości spalono żałobne szaty.

Marszałek Jourdan i generał Rapp, bawili przy armii nad Renem i pozostali na swych stanowiskach.

Napoleon prosił generała Drouot, który z nim był na Elbie, by mu towarzyszył do Ameryki. Drouot jednak sądził, że nie może opuścić gwardyi cesarskiej, gdyż naraziłby ją na prześladowania Burbonów. Cesarz zwrócił się wówczas do Savary'ego, księcia Rovigo, a ten zgodził się na towarzyszenie mu w podróży.

Sprzymierzone armie zbliżały się tymczasem do Paryża, a Prusacy zdawali się zmierzać wprost do Malmaison. Wówczas cesarz pożegnał królową Hortensyę i niezliczonych wiernych przyjaciół, którzy jeszcze przy nim bawili.

Dn. 3 lipca przybył z Savary'm i Bertrandem do Rochefort.

Właśnie tego samego dnia oddano Paryż marszałkowi polnemu Blücherowi w Saint Cloud, gdzie

stanął główną kwaterą. Francuską armię wyprowadzono za Loarę, by ją tam rozbroić.

Równocześnie *Monitor* ogłosił deklarację króla.

— Dowiaduję się, że jedne drzwi mego królestwa są otwarte; biegnę z powrotem... Niewątpliwie, styl zupełnie inny niż u Napoleona.

Oświadczenie to, redagowane przez Talleyrendę, jako szefa ministerium, zawierało także przebaczenie króla dla wszystkich, z wyjątkiem tych, którzy brali udział w odstępstwie za Stu dni.

W Rochefort i na zachodnim wybrzeżu Francji, żyły jeszcze silne sympatye dla cesarza. Koło Bordeaux generał Clausee miał w pogotowiu kilka okrętów. Widocznie jednak było niemożliwem przedostać się mimo Anglików; dlatego Napoleon dobrowolnie udał się na angielską fregatę Bellerofon i kapitanowi Maitlandowi oświadczył: — Powierzam się wspaniałomyślności narodu angielskiego.

W rzeczywistości nie mógł też być uczynić nic innego i nie lepszego. Gdyby został był uwięziony, mógłby był przypłacić to życiem. A jakkolwiek Napoleon w owej chwili niewiele cenił życie, to bądź co bądź, nieznosną jest dla oficera sama myśl, że zostanie uwięziony, rozbrojony i zastrzelony może przez kupę żołnierzy.

Jego stosunek do obcych monarchów był taki, że spotkanie w obecnych warunkach byłoby dlań męczarnią, gorszą od śmierci. Król pruski, którego rabował był i wyszydzał w sposób bezlitosny; cesarz Austrii, własny jego teść, którego armie gnębił przez lat dwadzieścia; wreszcie cesarz Aleksander, który go z zimną krwią wystrychnął na dudka i spowodował jego upadek.

Pośród Anglików znał tylko podwładnych; oni także byli wrogami, lecz nie miał wyboru.

Polegając na wspaniałomyślności narodu angielskiego, miał on zupełną rację. A gruntowne rozczarowanie, jakiego doznał, było nietylko rozczaro-

waniem Napoleona, lecz całego świata, który zarówno wówczas, jak obecnie, żywił znacznie wyższe wyobrażenie o angielskim narodzie. I sędzę, że po dziś dzień gentlemani Anglii wstydzą się z tego powodu.

Bo, odliczając nawet bardzo wiele na karb przesady, niewątpliwą jest jednak rzeczą, że obchodzili się z Napoleonem z wyrafinowaną złośliwością i małodusznością, dręcząc go i prześladując w sposób najbardziej niski. Gdyby wśród jego nieprzyjaciół był choćby jeden człowiek prawdziwie wielki, byłby niewątpliwie ustrzegł swych ziomków od hańby, jaką się okryli wobec potomności swą nikczemną zemstą na Napoleonie.

Napoleon wystosował list do księcia regenta, najpotężniejszego, najkonsekwentniejszego i najszlachetniejszego wroga.

Ale z listem tym stało się to, co z wszystkimi jego pismami do monarchów, a nawet gorzej; gdyż Gourgaud, będący tym razem jego wysłańcem, nie dostał się nawet do Anglii. A po długim krążeniu angielskiej fregaty Bellerophon poniżej angielskiego półwyspu, nadeszła wieść, że generał Bonaparte ma zostać wywieziony na wyspę św. Heleny. Zarówno jego, jak jego towarzyszy rozbrojono i poddano rewizyi. Dyamenty, pieniądze i wszystkie wartościowe przedmioty zostały im zabrane na „pokrycie kosztów więziennych”. Wszystkie listy miały być czytane przez gubernatora.

Generałowie Bertrand, Moutholon i Gourgaud, oraz szambelan Las Cases otrzymali pozwolenie towarzyszenia Napoleonowi. Natomiast generałowie Savary i Lallemand, skazani już przez króla Ludwika na śmierć, musieli opuścić okręt.

Dn. 7 sierpnia przeprowadzono cesarza wraz z orszakiem na fregatę Northumberland, a dn. 17 października nastąpiło wylądowanie na wyspie św. Heleny.

XI.

Jeśli Napoleon był zmieniony po powrocie z Elby, to całkiem też innymi zuchami byli sprzymierzeni monarchowie, gdy po raz drugi, jako zwycięzcy, stanęli w Paryżu. Czuli się całkiem pewni, przytem ostatnio przeżyta trwoga wprowadzała ich w podniecenie. Uroczyście ich też teraz przyjmowano; wśród ludu panowała znacznie silniejsza niechęć do cesarza, niż za pierwszym razem.

Cesarz mieszkał znów u Talleyranda, pozwalając się ubóstwiać. A przetrząsnawszy jeszcze raz i jeszcze gruntowniej zbiory Luwru, czy nie odkrywają gdzieś jeszcze kawałka płótna lub marmuru, przywiezionego przez cesarza do Paryża, rozjechali się do swych krajów, pozostawiając grubemu Burbonowi uporządkowanie i uśmierzenie zniszczonego kraju, w którym kozacy hulali byli do woli.

Powrócili do swych państw, książęta niemieccy głównie w celu najrychlejszego stłumienia zapalów narodowych, które bardzo im były na rękę, dopóki trony ich się chwiały, teraz jednak do niczego im nie mogły służyć.

Powrócili do swych państw, by w bezrozumie i niewdzięczności stłumić i złamać z dołu idącą siłę, w której niemogli widzieć nic innego prócz bun-

tu i niebezpieczeństwa. I całe to światło, które ruch młodych Niemiec byłby rozniósł po całej Europie, gdyby znaczenie jego zostało było zrozumiane i ocenione, zostało znów zdmuchnięte przez surowego tajnego nadgasiela światła, Metternicha. I Niemcy usiadły znów—na pozór całkiem zadowolone — w przyjemnym półmroku, w którym dotychczas siedzą; ale strasznie dużo przytem wyłopano piwa.

O tej to reakcyi chciałem właściwie mówić. Początkowo była ona niemal gorsza we Francyi, niż w Niemczech. Zuchwałość i bezrozum Burbonów nie znały granic.

Postąpienie z Neyem nie było jeszcze najgorszem. Po pierwsze Ney przechwalał się być żelazną klatką, w której przywieźć miał Napoleona; następnie dla legitymistycznego króla, przykro było chyba patrzeć, jak przeważna część jego wodzów i cała armia przeszła na stronę znienawidzonego wroga. Musiał więc postąpić surowo, a w każdym razie dać przykład odstraszający, a wobec tego sprawa Neya przedstawiała się fatalnie.

Mimo to czyniono rozmaite usiłowania, celem udaremnienia tego wyroku, który musiał być ciosem, przeszywającym serce każdego Francuza. Marszałkowi nastroczano niemal sposobność ucieczki. Był jednak do tego stopnia ogłuszony, że nie mógł się na nic zdecydować. Nie umknął, póki miał czas po temu; aż wreszcie, ku ogólnemu żalowi został uwięziony.

Jego obrońcy prawni czynili co mogli, marszałkowie wzbraniali się go skazać; — kilku, ponieważ byli jego przyjaciółmi, jeden czy dwóch, ponieważ byli jego wrogami. Musiano się zwrócić do Izby parów, by wydała wyrok — i wydała wyrok śmierci, jak tego oczekiwano. Żona napróżno błagała o jego życie; król pozostał nieubłagany. Ten nędzny, marny człowiek, któremu Francya nie miała nic do zawdzięczenia, mógł dzięki swej legimi-

stycznej krwi królewskiej pozbawić życia najpierwszego wojownika Francyi. Ney został rozstrzelany przez dwunastu biednych żołnierzy, odkomenderowanych do spełnienia wyroku.

Gdy marszałek padł — było to w ogrodzie Luksemburskim — nadpędził nagle galopem jeździec angielski, przesadził leżącego bohatera i znikł. Miało to być wyrazem tryumfu zwycięzców, a było tak samo ordynarne, jak wszystko, co Anglia i jej ludzie wymyślili, powodowani zemstą nad Napoleonem.

Wśród widzów był także rosyjski generał, który w pełnym uniformie z konia przyglądał się straceniu Neya. Ale cesarz Aleksander, dowiedziawszy się o tem, wypędził tego zucha z armii.

Także dzielnego pułkownika Labedoyère spotkał los, jaki sobie był przepowiedział, jadąc z kolegami w powozie, po bitwie pod Vaterloo. Został stracony, zostawiając po sobie żal powszechny.

Lavalette, który po powrocie Napoleona z Elby, objął własnowolnie zarząd poczt, został uwięziony. Uszedł śmierci tylko dzięki temu, że żona jego, pozostawszy z nim na chwilę sama w celi, szybko zrzuciła suknie i przebrała w nie męża, który wyszedł w ten sposób niepoznany, żona zaś została w celi, w ubraniu męskim. Była ona kuzynką cesarzowej Józefiny.

Rozpoczęły się straszne rządy Burbonów, które w przeciwieństwie do teroru Rewolucyi, nazwano terorem białym. Wydawano wyroki śmierci, skazywano na wygnanie, a degradacyom w armii nie było końca. Roilo się od emigrantów, jak od moli. Talleyrand mówił, że było ich 50,000; a zajęciem ich było miotać obelgi i szyderstwa na armie i generałów Napoleona.

Jeśli ścisłe, wzorowe oddziały wielkiej armii tak rychło zniknęły z francuskich szeregów, to niewątpliwie należy to przypisać prześladowaniom, na

jakie byli narażeni ze strony Burbonów podkomendni i żołnierze. Przyczyniły się też do tego zdemoralizowane bandy żuawów, wprowadzonych przez Napoleona III; oni już podczas wojen w Algierze wysmiewali stare uniformy z czasów Napoleona.

Natomiast Prusacy po bitwie pod Jeną chwycili się środków wręcz odmiennych. Gdy więc armie znów stanęły naprzeciw siebie, wielki Napoleon niewątpliwie byłby z większem zadowoleniem oglądał wojska pruskie, niż własne swe regimenty, jak się przedstawiały w r. 1870.

Ale arystokracja wojskowa, stworzona przez Napoleona, przydała się nowemu społeczeństwu, głównie dzięki olbrzymim majątkom, pozostającym w rękach tych rodzin. Tem da się wytłumaczyć fakt, że rozmaite wielkości, kreowane przez Napoleona wyszły cało z owego czyścica: za pierwszej Restauracji przeszli oni na stronę Burbonów, za Stu dni wrócili do Napoleona, a w r. 1815 znów byli zwolennikami króla. Wielu z nich szczęśliwie dokonało tego manewru.

Marszałek Soult przypiął białą kokardę i został ministrem wojny u Ludwika XVIII, pomimo, że był z cesarzem pod Waterloo; w r. 1827 został parem Francyi, a w r. 1830 ministrem. W 82 roku życia zmarł jako książę Dalmacyi, pozostawiając ogromny majątek i sławną galeryę hiszpańskich obrazów, „zebranych” przez niego samego.

Podobnie postąpił Davoust. Powróciwszy jak inni nawpół bezprzytomny z kampanii rosyjskiej, zreorganizował armię w północnych Niemczech, wysadził w r. 1813 stary most w Dreźnie i zamknął się w Hamburgu. Przez dziesięć miesięcy trzymał nieszczęsne miasto w swojej mocy — starzy Hamburgczycy dotąd trzęsą się z gniewu na sam dźwięk jego nazwiska. Dopiero w maju 1814 r. zdołał uwierzyć w upadek Napoleona i kazał zatknąć białe sztandary Burbonów.

Na razie książę Eckmühlu osiadł w swych rozległych dobrach we Francyi, ale już 27 marca — mimo wszystko, co ich dzieliło — został ministrem wojny cesarza. Jego przygotowania wojenne są sławne.

Po bitwie pod Waterloo poddał się królowi. Był on ożeniony z siostrą generała Leclerc, pierwszego męża Pauliny, a najmłodsza jego córka, czy wnuczka kazała w r. 1897 wystawić w północnej Francyi wielką latarnię morską, którą nazwała Phare d'Eckmühl. W ten sposób nieznana nazwa małego niemieckiego młyna stała się tytułem znakomitego francuskiego wodza, którego pamięć utrwała teraz daleko sięgające światło morskiej latarni.

Marszałek St. Cyr dostał się do ministerjum; Macdonald objął naczelne dowództwo nad armią; Mortier, który w r. 1812 wysadził Kreml, w r. 1835 został sam rozerwany przez piekielną maszynę, sporządzoną przez Fieszego dla Ludwika Filipa.

Generał Mouton został za Ludwika Filipa marszałkiem. Był surowym, lecz znakomitym oficerem. Napoleon kazał mu się ożenić z dostojną damą dworu bawarskiego. Liczyła lat dwadzieścia i była bardzo ładna, a on miał przeszło czterdzieści, przytem był szkaradny. Z okazji swego ślubu zwrócił się z krótką przemową do swych oficerów.

— Żądam, moi panowie, byście panią generałową uważali za posąg z marmuru, za posąg z *czarnego* marmuru? — dodał, rzucając surowe spojrzenie na młodych adjutantów.

Generał Sebastiani był spowinowacony z rodziną Bonapartych; nigdy Napoleona nie porzucił, lecz mimo to żył w Paryżu do 1851 r. w najświetniejszych stosunkach i został nawet marszałkiem.

Wielu oficerów napoleońskich, których znaczna część rozpoczęła służby od najniższych stopni, zachowało mienie i dostojenstwo, a nazwiska ich potomków dotąd figurują wśród najwyższej arysto-

kracyi francuskiej. Potomkowie Neya: książę Moskwy, książę Elchingen; rodzina Lannesa: księżęta Montebello; Caulaincourt'a: księżęta Vicenzyi.

Znacznie jednak większa część głośniejszych nazwisk zniknęła w ubóstwie i zapomnieniu.

Niektórzy zbyt wysoko cenili swą godność, by przyjąć mieli służbę u króla. Tak naprzykład Las Cases. Po powrocie z św. Heleny zaofiarowano mu wysoki urząd dworski, lecz odmówił.

— Służyliśmy—oświadczył—najpotężniejszemu władcy na ziemi; a gdy nas wysyłał na obce dwory, przyjmowano nas jak książąt, dlatego, że nosiliśmy jego mundur. My sami czuliśmy się w jego służbach książętami. W jego przedpokojach widzieliśmy siedmiu królów, którzy stali wśród nas i czekali, tak samo, jak my.

Istniała też dokoła Napoleona inna grupa ludzi, którzy nigdy nie mogli się doń całkiem zbliżyć, gdyż pewien rodzaj dumy nie pozwalał im go w całej pełni podziwiać.

Typem tego rodzaju był generał Thiebault. Był to człowiek dzielny, lecz, nie chcąc się narzucać, pomijał każdą sposobność zrobienia karyery. Wcześniej przeto przyłączył się do Masseny i innych niezadowolonych, zachowując się głupio i odpornie wobec pierwszego konsula i jego ludzi.

Dlatego krytykuje wszystkich, dochodzących do znaczenia, sam zaś trzyma się partyi niezadowolonych.

Tak np. twierdzi Thiebault, że generał Kellerman młodszy, odniósł zwycięstwo pod Marengo; nie Rampon wziął redutę pod Montenotte, lecz całkiem nieznanym oficerem; nie Davoustowi należy się sława zwycięstwa pod Auerstädt, lecz jego podwładnym generałom, Morandowi i Gudin'owi; a manewr Bonapartego przed bitwą pod Marengo został wykonany podług planu, który on, Thiebault, przedstawił był poprzednio ministerstwu. Jednem słowem,

z wszystkich tych sądów przebija zawiść, niezdolna do podziwu.

Po za tem był to człowiek dzielny i waleczny, wesoły i otwarty.

W jednym miejscu surowo gani generała Bonaparte, że, wracając z Egiptu, nie zastosował się do przepisów kwarantanny. Później opowiada w swych pamiętnikach, jak on sam i jego towarzysze, wracając, wygłodzeni, z Genui, bronionej przez Massenę, wrzucili do wody urzędników, domagających się od nich odbycia kwarantanny, poczem pobiegli do Nicei i rzucili się do jadła, które u niektórych trwało całe siedem godzin.

Pośród tych rozmaitych ludzi i tysiąca innych, którzy się przez całe życie do niego cisnęli, Napoleon stoi jakby wśród rojnego mrowiska. A jak ich oddanie i nienawiść, ich niezadowolenie i ich pochlebstwo, ich wierność i ich zdrada kolejno rzucają cień na niego, tak znów jego jedyna, bezprzykładna wyższość promieniuje światło na nich wszystkich i wydobywa ich wyraz prawdziwy, kształtuje ich charakter i wpływa na ich rozwój z tą samą niemal potęgą, z jaką dzierżył w swej dłoni ich losy i zewnętrzne warunki życia.

Jakkolwiek idea jego życia nie sięgała po za niego, to jednak indywidualność jego była tak potężna, że inni sądzili, iż cierpią i walczą za coś większego. Dlatego miarą wartości każdego był sąd, jaki wydał o Napoleonie—upadłym.

Po bitwie pod Waterloo cała Europa usiadła i odetchnęła.

Zniszczenie i nieszczęście, spowodowane przez tego jednego człowieka, wielką falą zalało całą Europę. A im dalej od ogniska, tem mniej widziano wojennej glori. Odczuwano tylko nieznośny ucisk i bezustanną przeszkodę w interesach, handlu, że-gludze i wszelkiem zajęciu codziennem.

Poczawszy od Wielkiej Brytanii, wzdłuż wy-

brzeży północnych aż do Hamburga i Norwegii, trudno było z radością śledzić zwycięski pochód Napoleona. Całe życie było zatamowane z powodu szalonego czynu, jakim było zamknięcie kontynentu. Jako prowincya duńska mieliśmy być rozdwojeni z najlepszymi naszymi przyjaciółmi na morzu Niemieckiem; a jakkolwiek Angliecy byli tymi, którzy nas omal pozbawiali życia, to jednak wszystkiemu winni byli przekłęci Francuzi.

W latach między 1807 a 1811 r. Angliecy zabrali memu pradziadkowi dziewiętnaście okrętów, między nimi statek Jakóba Kiellanda i syna ze Stavanger. Obraz tego statku, przybijającego w 1806 r. do portu w Marsylii wisi tu, nad mojem biurkiem. Zabrali mu też mniejszy statek Jenseman, nazwany przez pradziadka imieniem jego pierworodnego syna.

Losy jednego z mych wujów były o tyle wplątane w najdalsze nici, biegnące od Napoleona, że po wstąpieniu na tron Bernadottego, został jego szambelanem. Cieszył się nawet do tego stopnia względami króla, że w 1826 r. należał do poselstwa, wyjeżdżającego ze Sztokholmu do Moskwy, z okazji koronacyi cesarza Mikołaja I.

W Petersburgu posłowie złożyli wizytę temu samemu generałowi Jomini, który brał udział w naradzie, odbytej przed przeprawieniem się przez Berezynę. W 1813 r. Jomini zdradził Napoleona i przeszedł na stronę wroga; obecnie był generałem adjutantem cesarza. „Miał rysy wydatne, lecz chytne“.

A w Moskwie wuj mój bywał kilkakrotnie na wielkich przyjęciach u marszałka Marmonta, księcia Raguzy, który prawdopodobnie był tu francuskim ambasadorem.

Oczywista, że chętnie poszczyciłbym się innemi koligacyami, bo przykro wyznać, że krewny mój, wysłany przez jednego zdrajcę, bywał u drugiego, a tańczył u trzeciego. Jednakowoż poselstwo to ma pewien rys polityczny, zasługujący na utrwalenie.

Szwedzko-norweskie poselstwo z okazji owej koronacji składało się bowiem z następujących przedstawicieli: Z Szwecyi wydelegowano staro-
rego marszałka polnego, hrabiego Stedingk i jednego lub dwóch hrabiów. A z Norwegii wyjeżdżał tylko major, Jens Bull Kielland.

Zajmującą jest rzeczą obserwować, z jak drobiazgową pieczołowitością Szwecya już za owych czasów Unii czuwała, aby równouprawnienie obu państw pełny otrzymało wyraz, zwłaszcza gdy chodziło o reprezentacyę wobec zagranicy.

Nad Bałtykiem i morzem Niemieckiem, a także na wybrzeżu Norwegii, naprzekór wszelkim nieważnościom i krzywdom, wycierpianym od dumnych angielskich oficerów marynarki, sympatye nasze były zawsze nawpół i pozostały przy wielkim bracie na morzu Niemieckiem. A także od najwcześniejszej młodości nie przypominam sobie, bym w którymś ze starych domów widział kiedykolwiek obraz Napoleona, słyszał o nim jaką piosnkę, lub nawet jego nazwisko. Nie czytałem zbyt wiele, lecz przecież mi się zdaje, że w literaturze i korespondencyi z owych czasów nie zajmuje on w naszym kraju tego miejsca, jakiego należałoby się spodziewać.

I czy aby gdzieś nie czytałem, że młody Öhlenschläger, siedząc w Paryżu, tak był gorąco zajęty swymi własnymi papierowymi bohaterami, że nie miał czasu wybiedz, by zobaczyć żywego Napoleona, zajętego przeglądem swej gwardyi na podwórzu Tuileryów.

Ale stopniowo i w miarę jak Francya znów się podnosiła, starając się odpędzić cienie gorzkich wspomnień, nazwisko Napoleona wysuwało się na pierwszy plan, a obecnie zapełnia literaturę całej Europy.

Tak samo wśród mężczyzn, Napoleon zajmował całkiem specjalne stanowisko wobec kobiet.

Brał wszystko, co mu ofiarowywano, a ofiarowywano mu niemal wszystko.

Pod innym jednak względem był on mężem względnym, prawie kochającym. Jego przywiązanie do Józefiny przetrwało ich rozwód. Pewnego dnia rachunki jej znów były w nieporządku; nigdy bowiem nie zdołała się tak urządzić, aby jej wystarczyły ogromne dochody, jakie jej był wyznaczył.

— Idź pan do Józefiny — polecił gwałtownie jednemu z ministrów — i powiedz jej, że dłużej tak być nie może, niech ograniczy te swoje szalone wydatki.

Minister spełnił zlecenie i wrócił następnego dnia.

— I cóż — zawołał Napoleon — co odpowiedziała Józefina?

— Och, najjaśniejszy panie — odparł minister — cesarzowa płakała i...

— Co? — zerwał się Napoleon — ona płakała? Nie chciałem, by ją pan doprowadził do łez. Jedź pan do niej natychmiast i powiedz jej, że sprawę pieniężną już załatwimy; niech tylko nie płacze. Powiedz jej pan, że cesarz zakazuje jej płakać.

A ona w nierównym swym charakterze również zachowała kilka pięknych linii. Była przyjaciółką wielkiego człowieka i o tem nie zapomniała nigdy.

Gdy podczas krótkotrwałego buntu Maleta w 1812 r. cały Paryż zapomniał o panującej cesarzowej i następcy tronu, Józefina powiedziała: „Gdyby istotnie niebezpieczeństwo zagrażało było cesarzowej i synowi Napoleona, byłabym, nie troszcząc się, co na to ludzie powiedzą, pobiegła sama do cesarzowej i stanęła obok niej i dziecka“. To samo byłaby też uczyniła Hortensya.

Zupełnie inną była Marya Ludwika. W rzeczywistości nie pamiętała ona wcale, że należała do wielkiego człowieka.

Już w r. 1815 oświadczyła: Lord Wellington nie wiedział nawet, jaką mi oddał usługę, odnosząc zwycięstwo pod Waterloo.

Wszelako szlachetny lord doskonale sobie zdawał sprawę z sytuacji, gdyż sam powiedział: „Fakt jest, że wówczas już nosiła w sobie dziecko austriackiego barona, Neippberga, który ją następnie zaślubił; a gdyby Napoleon wyszedł był zwycięzcą z bitwy pod Waterloo, cesarzowa byłaby zmuszoną powrócić do niego w tym stanie“.

Jeśli niechciał być wobec dam ujmującym, mógł być brutalnym. Łatwo jednak zrozumieć, że gdy pani Staël zadała mu pytanie, którą kobietę ceni najwyżej, nie mógł sobie odmówić satysfakcyi i odpowiedział: — Tę, która najwięcej rodzi dzieci. Doskonale wiedział, jak bardzo jest ordynarnym, lecz to wymuszanie z jej strony komplementów zbyt go jednak musiało razić. Przytem, co prawda, nie lubił kobiet o wybitnych zdolnościach umysłowych. Ani też zbyt cnotliwych. Nie znosił pruskiej królowej Luizy, pomimo, że była pięknoscią. A gdy w szczerym żalu nad nieszczęściami ojczyzny zniżyła się do podania zwycięzcy róży ze słowami: — „różę za Magdeburg“, Napoleon pominął sposobność okazania się wobec dostojnej damy rycerskim. Przyjął różę i zatrzymał Magdeburg.

Nie też dziwnego, że wszystkie dwory nazywały go gburem.

Nigdy nie ulegał on wpływowi kobiet. Zdawało się wprowadzić, że w sprawach małżeńskich Józefina mogła na niego wpłynąć lub skłonić go do spełnienia prośby niezbyt uzasadnionej; należy to jednak złożyć raczej na karb przyjaźni, niż miłości.

A gdy hrabina Hatzfeld w Berlinie uzyskała w r. 1807 przebaczenie dla swego męża, a tak samo panie Polignac dla swych małżonków po spisku Cadoudala, to wcale na to nie wpłynęła okoliczność, że petentkami były kobiety.

Nigdy się jednak nie zdarzyło, by się dla kobiety poniżył był do jakiegoś niskiego czynu, lub zbrodni politycznej. A jakkolwiek miłość przejawiała się u niego jako silna namiętność, to przecież nie było dokoła Napoleona owej ohydnej gospodarki metres, tak częstej na dworach królewskich, począwszy od wstrętnego króla Dawida, którego dziećmi będąc, zmuszeni byliśmy podziwiać.

A także księża nie mieli nad nim najmniejszej władzy.

Napoleon Bonaparte nie był nigdy mistykiem. Nie spędzał młodości na chorobliwych rozmyślaniach nad tajemnicą swego pochodzenia. Wiedział doskonale kim był: był człowiekiem wielkim, któremu należało się stanowisko najwyższe. A miał do niego prawo całkiem inne, niż nasi pretendenci do tronu, mającący o królewskim posłannictwie i wmawiający w siebie i w drugih, że królewską krew czują w swych żyłach.

Ambicya Napoleona była zdrowa i silna; nie wiedział wcale o siłach nadnaturalnych, a całą swą moc nosił w sobie. Nie wierzył w żadną inną pomoc, a liczył na własną swą tęgą głowę, a niedołączność drugih.

Usiłowano przedstawić go jako człowieka przesądnego, wierzącego w dobre i złe dni, oraz w gwiazdę, czuwającą nad jego losem.

Napoleon tymczasem wiedział tylko jakie znaczenie posiadają wspomnienia, tem więcej wśród żołnierzy, u których stanowią niemal treść rozmów i myśli. I on, znający sztukę skupienia w odpowiedniej chwili walki wszystkich sił na jednym punkcie, dbał też o to, by dni, mogące spotęgować siłę i zapal żołnierzy, nie uległy zapomnieniu. To też wystarczyło mu wymienić tylko szereg dat i nazwisk, by rozplomienić całą armię.

O tyle więc wierzył w dni dobre i złe, lecz wiara ta wolna była od przesądu.

A co do tej jego gwiazdy, to rzecz się miała jak następuje: Pewnego wieczora kardynał Fesz mówił w Tuilleryach długo i szeroko na temat mądrości i umiarkowania, dowodząc, że należy poprzestać na osiągniętem. Wspomniął o łuku zbyt silnie napiętym i o dzbanie, w którym noszą wodę aż do czasu itp.

Napoleon słuchał go uważnie, a gdy kardynał skończył, poprowadził go do jednego z wysokich okien i wskazał na ciężko zachmurzone niebo.

— Czy widzisz wuju gwiazdę? — spytał Napoleon.

Kardynał patrzył i patrzył. Nie! nie widział żadnej gwiazdy.

— A ja ją widzę — rzekł cesarz poważnie i odszedł.

Czy była na niebie jaka gwiazda? tego rozstrzygnąć niepodobna. Ale pewnem jest, że ostrożni kardynałowie nigdy jej nie dostrzegą.

A w tem nie było też nic przesadnego.

Ja co prawda nigdy nie rozumiałem całej tej historyi z konkordatem, ani też całego stosunku do papieża i kościoła. Tyle tylko wiem, że chociaż Napoleon stykał się z papieżem, który był człowiekiem honorowym i szlachetnym, to jednak ani on, ani jego otoczenie nie liczyło się z klechami—a tem mniej dopuszczało się pod tym względem obłudy.

Jego proklamacye i odezwy nie zawierały tej pustej frazeologii, tak często powtarzającej się w podobnych wypadkach. Napoleon w manifestach swych nie powoływał się nigdy na coś innego, jak tylko na Francję, honor i własną osobę, a do tego miał prawo zupełne. Dostojnikom kościoła pozwalał figurować z okazji wielkich uroczystości kościelnych; poza tem nie miał żadnego zastosowania dla całego religijnego aparatu.

W sprawach pieniężnych Napoleon okazywał chłodną obojętność. Niecierpiał, by go oszukiwa-

no, a nie imponowały mu też wory złota. Jeśli sądził, że ktoś zbytńio się obłowił, nie zastanawiał się długo, lecz odcigał mu parę milionów. Stosunki, na jakie często patrzymy, gdy królowie wdają się ze spekulantami, pozostając w takiej zawisłości od złotych milionerów, że niewiadomo, kto właściwie rządzi krajem — czy ci, co na głowach noszą złote korony, czy też ci, którzy je mają w swych kasach — stosunki takie były za Napoleona niemożliwe.

Napoleon był też umiarkowany w jedzeniu i piciu. Nie umiał, jak niektórzy królowie, być przy kieliszku serdecznym i wylanym dla otaczających go dygnitarzy; ale z drugiej strony nie znał też poniżających ordynarnych bachanalii, idących w parze z nadużywaniem władzy, jakim się oddawał cały szereg królów, począwszy od Aleksandra Wielkiego.

Dla sztuk pięknych Napoleon, mojem zdaniem, niewiele miał odczucia. Lubił on porządek, wspinalność, symetryę; dlatego najlepiej się rozumiał na architekturze i dekoracyi. Do malarstwa odnosił się trzeźwo; powstałe za jego czasów nowe kierunki i dążności były mu obce.

W literaturze lubił prostoliniyny dramat, gdzie wielkie i nieskomplikowane namiętności opisywano wierszem jędrnym i zwartym jak szeregi jego żołnierzy. Dla muzyki nie miał więcej zrozumienia, niż każdy przeciętny oficer francuski. Najlepiej odczuwał piękny śpiew; włoskie arye o trudnej koloraturze i kadencyi wzbudzały jego zachwyt. Muzyka bardziej skomplikowana, gdzie pierwiastek czysto melodyjny zdaje się rozplýwać w subtelnem cieniowaniu i zespole głosów z instrumentami, nie byłaby mu sprawiła przyjemności.

Napoleon Bonaparte był cały, od stóp do głowy, nastrojony na b-dur; nie znał krzyżyków, ni bemoli, a tonacya molowa była odeń daleka.

Na pierwszy rzut oka uderza ogromna różnica

między tym człowiekiem, a wielkimi założycielami religii, którzy także spowodowywali ewolucję czasów, w których żyli. Ruch, przez nich wszczęty, wzmagał się bowiem i dopiero przez ich śmierć dochodził do najwyższej potęgi. Z śmiercią Napoleona natomiast wszystko się skończyło.

Bo Napoleon nie dał światu żadnej idei. Myśl jego nie przekraczała jego życia, gdyż przez całe życie nie myślał nigdy o czem innem, jak tylko o sobie.

To też niekorzystnem będzie dla niego porównanie bodaj ze skromnym pracownikiem na polu nauki, trawiącym swe życie nad ukształtowaniem myśli, która krzepi potomność.

Jednakowoż w kole swych równych, ludzi, do których należy, dzięki wrodzonym swym zdolnościom, a zatem wśród monarchów, cesarz Napoleon zajmuje stanowisko niezwykle wysokie. Jeśli ktokolwiek, to chyba *on* najwięcej się zbliża do ideału tyra-
na, w dawnem znaczeniu tego słowa.

Napoleon musiał grać figurami, stojącemi na szachownicy—wyższego zadania nie widział. Słowo pokój nie mogło w głowie jego oznaczać nic innego jak tylko pauzę w międzyczasie dwóch wojen. Myśl, że pokój mógłby się stać normalnym stanem narodów nie mieściła mu się w głowie, ani też w głowie nikogo z jego otoczenia.

A jeśli głowa taka istniała, to była ona umieszczona na karku nieznanego człowieka, który siedział jeszcze na poddaszu i przy słabem oświetleniu spisywał swe utopie.

Jako książę i wódz Napoleon osiągnął szczyt najwyższy; równocześnie był też ostatnim, któremu udało się zjednoczyć dokoła swej osoby całą tę wspa-
niałość i przepych, które od wieków upiększały to krwawe rzemiosło. Wraz z nim wszystko to się skończyło.

Później uczyniono z sztuki wojennej studyum

fachowe, oparte na obliczeniach — zaczęła ona się coraz bardziej upodabniać do zajęcia przemysłowego, gdzie zwycięstwo odnoszą najlepsze maszyny.

Ogałacamy teraz armie ze złotych sznurów i powiewnych pióropuszków; a admirał, który dawniej w galowym uniformie, w szarfi i orderach rzucał z mostu rozkazy, teraz siedzi w stalowem pudle i naciska guziki elektryczne jak telefonistka.

A z zanikiem wspaniałości idzie też zwykle w parze zanik rzeczy samej. Być może, że wspaiała postać cesarza Napoleona, usunięta w cień dalszej przeszłości, stanie się jeszcze pociechą dla tych ideologów, dla których miał tak głęboką wzgardę, gdy pewnego dnia uda się nam odnieść także największe zwycięstwo:—pokój powszechny.

Wszystkie języki świata użyły najsilniejszych swych określeń—dodatnich i ujemnych—dla scharakteryzowania tego człowieka. A wielu myślicieli usiadło i z żalem oddawało się rozmyślaniom, jak niezwykle zwierzęciem byłby tygrys, gdyby posiadał także przymioty jagnięcia.

Doskonałość tymczasem nie polega na wszechstronności.

Ani w kuchni, ani w życiu nie powstaje doskonałość przez pomieszanie w jednym garnku wszelkich możliwych ingrediencji.

Doskonałość polega na tem, że jest w niej wszystko, czego potrzeba—ani o jotę więcej.

Co do mnie, to jestem zadowolony, że nie potrzebuję się uciekać ani do określeń najwyższych, ani najniższych. Dla mnie Napoleon jest przede-wszystkiem i w każdym calu mężczyzną, o właściwościach czysto męzkich.

Towarzystwo w Longwood — miejsce pobytu cesarza na wyspie św. Heleny—przez sześć lat żyło koło tego wielkiego człowieka.

Był tam generał Montholon z dziećmi i żoną,

która prowadziła gospodarstwo. General Bertrand z rodziną żył w pewnem oddaleniu od Longwood.

Las Cases bawił ze swym synem; oprócz niego generał Gourgand, irlandzki lekarz O'Meara i orszak wiernej służby.

Ta garstka ludzi, z których każdy na swój sposób przywiązany był do cesarza, była sobie jednak wzajem obca.

W ciągu długotrwałej bolesnej samotności—jakby na okręcie na biegunie północnym—nie mogli ku wielkiej przykrości cesarza żyć zawsze w zgodzie, bez drobnych zatargów i zawiści, będących niejako pozostałością dawnych ambicyi. Raz nawet omal że nie przyszło do pojedynku między generałami Montholon'em a Gourgand'em.

Co jeszcze rozjätrzało wzajemne rozgoryczenie, nadając ostatniem latom Napoleona fizyognomię tak bardzo bolesną, to wyrafinowana złośliwość i małoduszność Anglików.

I w ogóle istnienie w tych warunkach byłoby zgola niemożliwe, gdyby nie to, że Napoleon ze swym zmysłem dla pracy i porządku ściśle ułożył był tryb życia swego otoczenia.

Każdemu wyznaczył stanowisko i obowiązki, zupełnie jak na dworze i ani na chwilę cień śmieszności nie padał na tę nędzę, która do ostatniej chwili umiała zachować godność.

Cesarz trzymał się od nich tak samo zdala jak w Tuileryach, lecz niebywały urok, otaczający tego człowieka rozpędzał nudy, które byłyby ich zabiły.

Cesarz ustanowił ścisły tryb życia dla siebie i swego otoczenia, wyznaczając pewne godziny pracy; generałom dyktował dzieje swych kompanii; jednemu dzieje włoskiej, drugiemu niemieckiej.

A wieczorem zbierało się drobne kółko dworskie i rozmawiało, słuchając beznadziejnego szumu morza, uderzającego o brzegi wyspy. Cesarz zwykle chodził tam i napowrót, czasem przysiadając,

by opowiedzieć dawne jakieś przeżycie lub porozmawiać z mężczyznami.

Stopniowo jednak dawne jego choroby zapomniały nad żelaznym organizmem. Ze zwykłym chłodem i spokojem, patrzył na swe zanikające życie. Przez cały rok 1820 niedomagał, a w r. 1821 szybko się poczał zbliżać kres.

Dn. 15 kwietnia napisał testament, pamiętając w nim o wszystkich, od syna do ostatniego ze służby.

„Życzę sobie, by prochy moje spoczęły nad Sekwaną, wśród francuskiego narodu, który tak bardzo kochałem“.

Było to jedno z nielicznych życzeń Napoleona, które spełniono. Natomiast obawiam się, że przy rozdziale milionów, będących prywatną jego własnością, mniej uwzględniono jego wolę.

To jednak nie wpływa na jego intencje, które były najlepsze.

„Synowi memu pozostawiam order, tabakierki, srebrne przedmioty, oraz broń, siodła, ostrogi, uniformy i garderobę, szary mundur i błękitny płaszcz z pod Marengo.

Hrabiemu Montholon wyznaczam dwa miliony franków, że mi tu towarzyszył“.

Drobną pamiątkę dla matki i każdego z rodzeństwa; właściwie byli sobie bardzo bliscy. Nawet o Maryi Ludwice wspomniał w pięknych słowach, jakkolwiek Anglicy z pewnością nie oszczędzili mu wieści, jak ładnie się sprawowała.

Dn. 2 maja zerwał się w delirium gorączki, wołając generałów z czasów młodości: Steingel, Dessaix, Massena. Widział znów słońce Włoch, wyzłascające bagnety jego żołnierzy.

Dn. 4 maja szalał na wyspie wściekły orkan, który wyrwał i przewrócił ostatnie drzewo w pobliżu Longwood.

Cesarz leżał cicho, gdy burza przeciągała... Ale dopóki w nim była isierka życia, słyszeli jak mamrotał wielkie słowa komendy — — — — —.

Ale jeszcze w wiele lat później, gdy dawno już spadła była kurtyna i noc osłoniła Europę, Talleyrand, powłócząc kulawą nogą, śpieszył do zielonego stolika, gdzie wśród brzęczącego złota w towarzystwie złotej młodzieży i starych cheiwych dam wysiadywał i grał—noc po nocy.

K O N I E C.

WYCIĄG Z KATALOGU

„BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH”.

Do nabycia w Administracyi „BIBLIOTEKI DZIEŁ
WYBOROWYCH” (Warszawa, Warecka Nr 14) i we
wszystkich księgarniach.

WYSZŁY Z DRUKU:

Rok 1908.

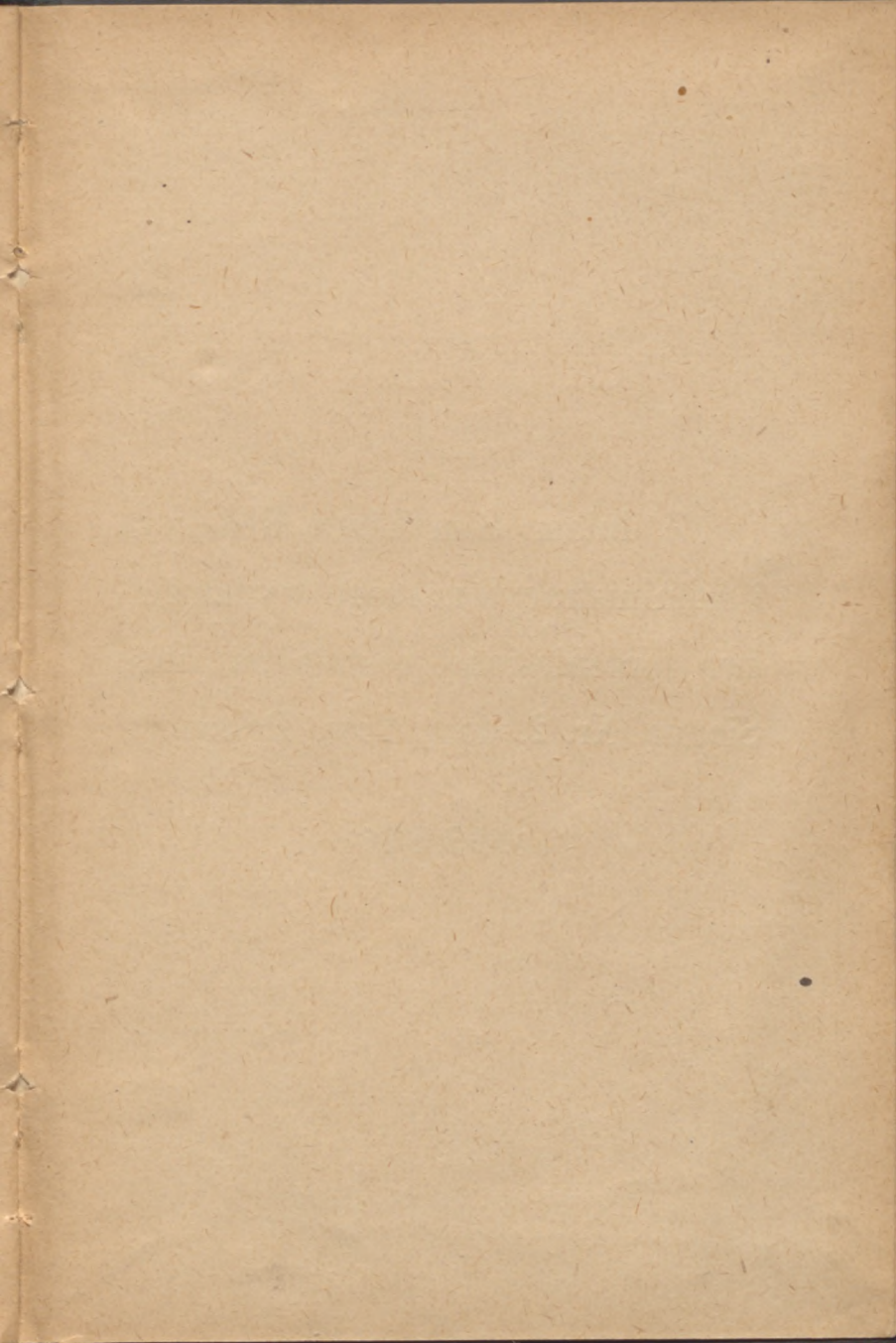
Tom.	CENA	
	w opr. brosz.	
	kop.	kop.
517, 518. Gabriel Sarrazin. WIELCY POECI ROMANTYCZNI POLSKI. Mickiewicz.—Słowacki.—Kraśiński. Przekład z francuskiego Wacławy Kisiłłskiej, z przedmową Jana Lorentowicza	80	50
519. Wincenty Kosiakiewicz. ŻYWE OBRAZKI.	40	25
520, 521, 522. Marion. MIRAŻE. Powieść. Wydanie drugie	1.20	75
523. RADCA STANU A. KOLB JAKO ROBOTNIK W AMERYCE, przełożone z niemieckiego przez M. G.	40	25
524. Conan Doyle. CZTEREJ. (The sign of four) Powieść. Tłom, z angielskiego Bronisława Neufeldówna	40	25

Tom.	CENA	
	w opr. brosz.	kop. kop.
525. MAROKKO, w historyi, w życiu i w pieśni, według opowiadań francuskiego podróżnika skreślił Jan Bieszyński	40	25
526. Stanisław Ostrowski. A GDY SIĘ ŁAŁA KREW OFIARNA. Nowela z końca XVIII wieku	40	25
527, 528, 533. Juiusz Falkowski. WSPOMNIENIA Z ROKU 1848 i 1849, z przedmową Tadeusza Gruźewskiego	1.20	75
529. Artur Schnitzler. ŚMIERC Nowela z przedmową Adolfa Strzeleckiego	40	25
530, Alexandrn Suszczyńska. INACZEJ Nowele	40	25
531. Willa Zyndram-Kościałkowska. SZKICE LITERACKIE II. Prometeusz	40	25
532, 535, 536, 537, 539, 541, 543, 545. Teodor Dostojewski. BIESY. Tłumaczył T. K.	3.20	2.00
534, 538. Maurice Leblanc. WYTWORNY WŁAMYWACZ. Przekład J. P.	80	50
540. Wiktor Gomulicki. OPOWIADANIE O STAREJ WARSZAWIE. Serya II	40	25
542. Ryszard Jefferies, HISTORIA MOJEGO SERCA. Autobiografia. Przełożyła z angielskiego A. Z.	40	25
544. Eliza Orzeszkowa. WIDMA. Powieść z przedmową Stanisława Krzemińskiego	40	25
546. Tadeusz Jaroszyński. DWIE NOWELE.	40	25

72038

72038





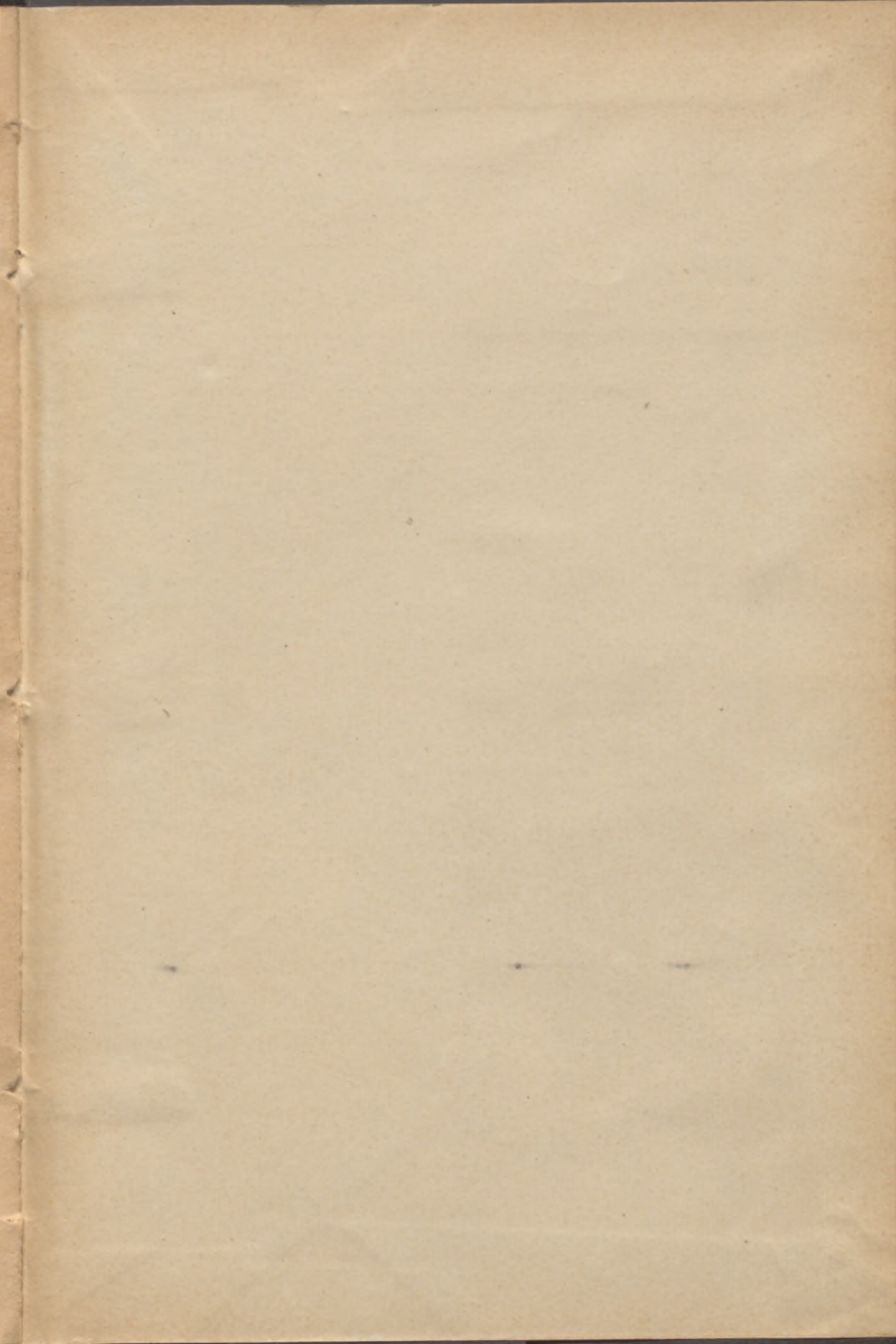
Biblioteka Główna UMK



300044152744

Z dniem 8-m Lipca Redakcyja
i Administracyja naszego wydawnic-
twa przeniesioną została na ulicę
Sienną Nr. 2, dom Tow. Rossya.





x-rite

colorchecker CLASSIC



mm

500-
A
1/2 m



BIBLIOTEKA * * * * *
UNIWERSYTECKA
72038
* * * * * W TORUNIU

